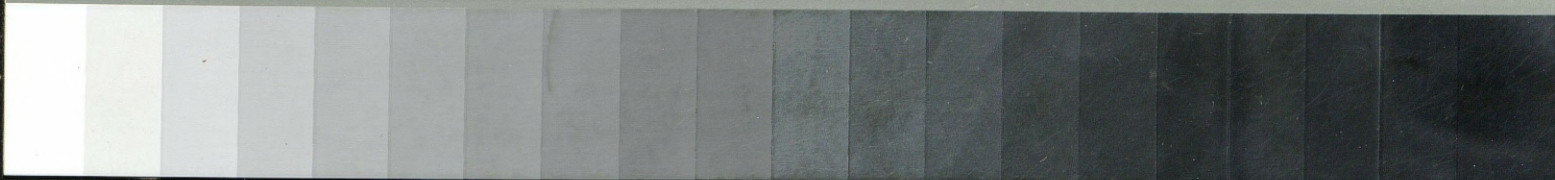


Grey Scale #13



DANES  
PICTA  
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



# NA OBCZYŻNIE I U SIEBIE

Z PRZEŻYĆ JEDNEJ SZKOŁY



WARSZAWA

NAKŁADEM KOŁA OPIEKI RODZICIELSKIEJ PRZY GIMNAZJUM  
KAZIMIERZA KULWIECIA (POD WEZWANIEM Ś-go KAZIMIERZA)





84199. 2/5

# NA OBCZYŻNIE I U SIEBIE

Z PRZEŻYĆ JEDNEJ SZKOŁY

XVII



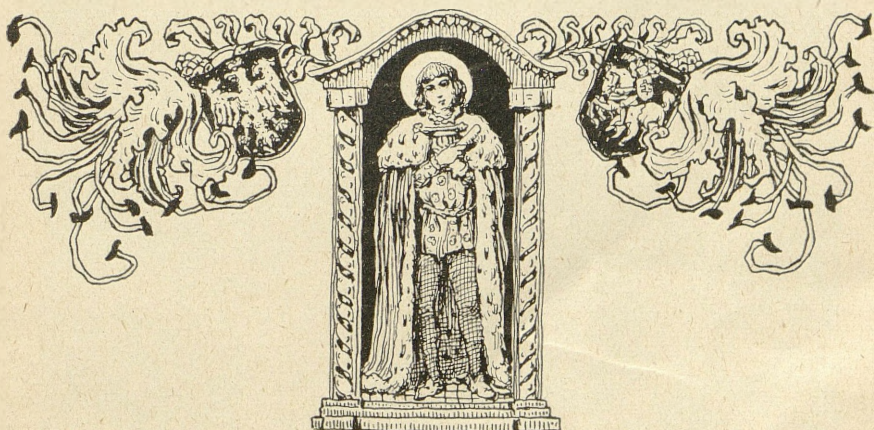
WARSZAWA

NAKŁADEM KOŁA OPIEKI RODZICIELSKIEJ PRZY GIMNAZJUM  
KAZIMIERZA KUŁWIECIA (POD WEZWANIEM Ś. g o KAZIMIERZA)



# NA OBCZYŻNIE I U SIEBIE

Z PRZEŻYĆ JEDNEJ SZKOŁY



WARSZAWA

NAKŁADEM KOŁA OPIEKI RODZICIELSKIEJ PRZY GIMNAZJUM  
KAZIMIERZA KULWIECIA (POD WEZWANIEM Ś-go KAZIMIERZA



42.1 343



33754/2



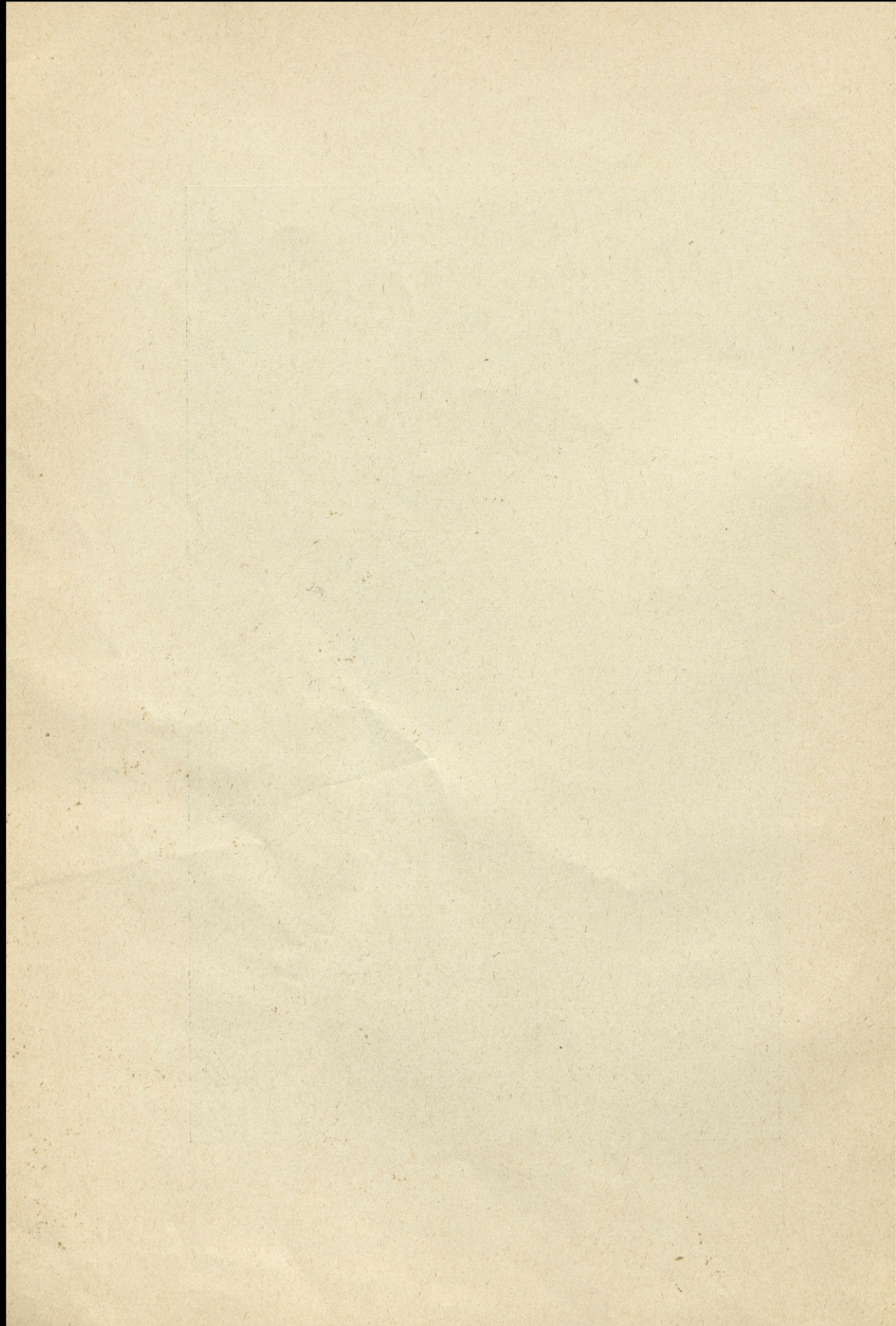
WYDANO Z DUBLETÓW  
Biblioteki Narodowej





*Pod Sztandarem*







## PER ASPERA...

**W** kropli rosy, na nikłym listku zawieszanej, odbija się w świetle wschodzącego słońca zarówno błękit bezdenne nieba, jak i gęstwa strzelających ku górze borów z ich gotyckimi iglicami świerków, mocarnymi konarami buków lub dębów, wiotkimi różgami leszczyny lub przyziemnymi oślizgłymi plazmodjami śluzowców, chłonecami produkty rozkładu ze zmurszałych pniaków...

W kropli tej, jak w lustrze kulistem, jak w soczewce badawczego mikroskopu, załamuje się i odzwierciadla: i ogrom wszechświata, i krasa przyrody całej, i ruch kalejdoskopowy nieskończonych przemian pędzących w mirażnym pochodzie obłoków, i gra barw, linii i ruchu naszych łęgów i łąnów — z ich wiecznie pulsującym życiem, biegnących falującym zbożem — gdzieś hen — w nieznaną nam dal...

Stań przed tą kroplą, przechodniu, wpatrz się w jej brylantowe błyski, pomyśl o jej znikomości, o odwiecznych zjawiskach przyrody, o tryskających z niej „prawach” życia...

Walka i praca, tęsknoty i bóle, ułomności i cnoty, i wszystko to, co na życie się składa, jak promienie pałającego słońca załamały się we wrażliwych duszach polskich, tworząc w nich jaskrawe obrazy przeżytych niedawnych i wspomnień przyćmionych...

\* \* \*

Daleko nam jeszcze do zebrania całego materiału faktycznego do skreślenia dziejów przeżyć ducha polskiego z okresu Wielkiej Wojny, w których z martwych powstała Ojczyzna nasza...

A jeszcze dalej do zamknięcia ostatniej dziejów tych karty...

Dzień dzisiejszy jest jeszcze organicznym składnikiem tego „Zmartwychwstania”.

Zbieranie wszystkiego, co może być obrazem, odbiciem „załamaniem się” niby w kroplach rosy, w duszach polskich poszczególnych momentów zmagania się życia naszego — jest obowiązkiem każdego z nas, kto był lub jest zjawisk tych obserwatorem, wśród zjawisk tych przechodniem, lub ich składnikiem.

\* \* \*

Tylko kroplą taką drobną była i jest szkoła nasza; znikomą, jak rosa po nawałnicy dziejów, a jednak w tak niezwykłych warunkach ustawioną, że wnikały w nią niby promienie słoneczne, wielkie poruszenia ogólnoludzkie, niepokoje, cierpienia i wysiłki polskie, załamywały się w niej wielkie fale ruchów i przeobrażeń społecznych, skupiały się iskry poczynąń jednostkowych...

\* \* \*

Dziesięć lat minęło, odkąd współ z braćmi Lutosławskimi otwieraliśmy w dalekiej Moskwie szkołę polską, by spośród tysiącznych



łumów zawieruchą wojenną wygnane z gniazd swych dzieci polskie — niby zbłąkane motyle — zwabić, z mroków ponurego Wschodu skupić, ciepłem nauki polskiej ogrzać, do przyszłej służby krajowi zszeregować...

Dziesięciolecie to za pretekst do utrwalenia garści wspomnień z niedługiego, lecz w przeżycia głębokie brzemienne, okresu przełomowego bierzemy, — wspomnień, co w pamięci ludzkiej tylko chowane, błedną i nikną, dla potrzeb ogólnych przepadając...

Księgę pamiątkową ku czci tych, co odeszli, poświęcamy — zmarłym profesorom gimnazjum, 20 poległym w walce z bolszewikami uczniom, i ceniom zamordowanych opiekunów szkoły — braci Józefa i Marjana Lutostawskich.

\* \* \*

Nie znajdzie w księdze tej czytelnik pełnej historii naszej uczelni, znajdzie tylko do niej nieco przyczynków.

Pisać historii takiej dziś ani chcemy, ani możemy. Właściwy na to przyjdzie czas w przyszłości. Historia nie może niczego przemilczeć, niczego stuszować, niczem się krępować.

W niej odzwierciedlenie swe znaleźć musiały te osoby i okoliczności, które uczelnię naszą dźwignęły, tworzyły i podtrzymywały, jak i te, które jej fundamenty podważyć a pracownikom — kamienie pod nogi ciskać chciały...

Od roli historyka szkoły, której znaczną część życia swego poświęciłem, w którą cały zasób swoich sił włożyłem, uchylić się muszę, ustępując ją tym, co po mnie ster jej ujmą.

Okres od 1915 do 1918 — *to trzylecie moskiewskie*, od 1918 do 1921 — *to pierwsze trzylecie warszawskie*, r. 1922 — to rok represji; okres 1923—1925 — *to ostatnie trzyletnie ogniwo życia warszawskiego*. Oto przełomowe węzły na dziesięcioletniej nici rozwojowej szkoły naszej, przez wypadki polityczne nawiązane.

W okresie pierwszym (1915—1918) szkoła pozostawała pod opieką Centralnego Komitetu Obywatelskiego. Kr. Polskiego (C. K. O.). Przez krótki okres r. szk. 1918 — 1919 korzystała z patronatu Rady Głównej Opiekuńczej (R. G. O.) — od końca zaś 1919 r. po 1925 — pozostawiona została siłom własnym — prawnie — na mojej osobistej odpowiedzialności moralnej i materialnej (K. K.). Trzy te okresy — to trzy etapy rozwojowe bytu materialnego szkoły.

Przy słupach granicznych okresów tych przyszłemu historykowi szkoły zatrzymać się wypadnie, by logikę rozwoju w życiowe powiązać ogniwa.

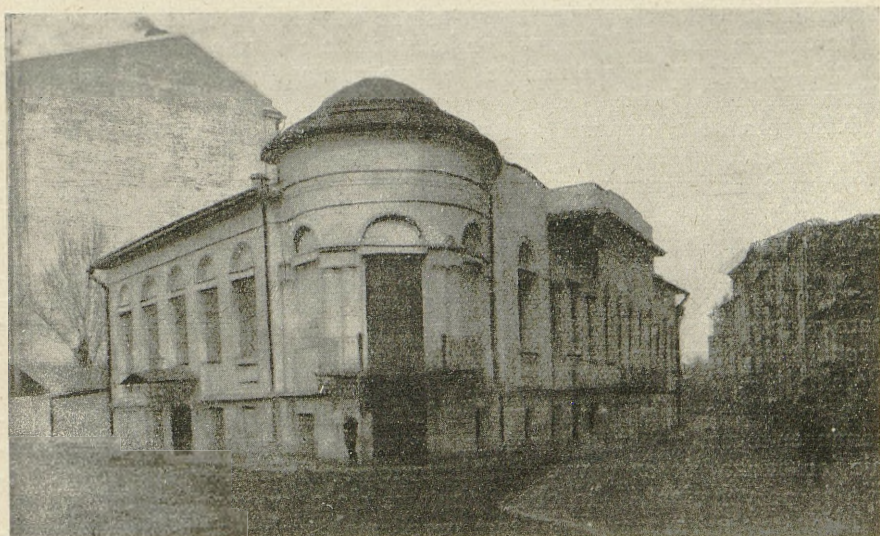
Ustawiły je czynniki zewnętrzne — wypadki polityczne krajowe lub z krajem związane. Treść zaś wewnętrzna pracy szkolnej, istota jej rozwoju — z własnych, w personelu pedagogicznym i wychowawczym tkwiących płynęła pierwiastków oraz z wysiłków własnych młodzieży.

Ideą przewodnią kierownictwa zwierzchniego szkoły, w rękę moim przez lat dziesięć spoczywającego — było: wydobyć i skoordynować wszystkie dodatnie siły, tkwiące w polskim pedagogu i uczniu, na drodze samorządnych, dobrowolnych wykładów, zmierzających ku zasadniczemu szkoły polskiej celowi: wychować wolnego człowieka dla ludzkości i dać pożytecznego, wiernego obywatela — Polsce.



Moment wybuchu Wielkiej Wojny przeżyć mi wypadło w wagonie, przejeżdżającym granicę Królestwa pod Katowicami, w drodze z Warszawy do Zakopanego, gdzie z rodziną wakacje 1914 spędzić miałem.

Spowodowany wojną tą przymusowy aż do listopada pobyt w Zakopanem, uciążliwy z różnemi perypetjami powrót okólną drogą przez Węgry i Rumunię na Ukrainę, a stamtąd do Warszawy, ponowny wyjazd w czerwcu 1915 r. w Nowogródczynę, a potem na Polesie — gdzie od szeregu lat prowadziłem studia krajoznawcze, — rejterada z tej krainy błot wśród największego zamętu cofających się na wschód rozbitków armji rosyjskiej z pod zajętych przez Niemców Warszawy,



Lokal Gimnazjum polskiego w Moskwie przy zaulku Rzewskim.

Brześcia i Wilna (koniec lipca 1915 r.), poszukiwania mej rodziny, która wśród niezliczonych rzesz, wypędzonej ze swych siedzib ludności kresowej, ratując się przed okropnościami wojny, oparła się aż w Moskwie — oto szereg etapów, przez które zdarzenia lat 1914 i pierwszej połowy 1915 zagnały mię do stolicy carów...

Iście amerykański rozmach i pośpiech, w jakim wypadło organizować szkołę polską dla licznej młodzieży naszej, ściągającej tu z olbrzymich obszarów rosyjskich, środki materjalne, zapewnione dzięki wysiłkom Centralnego Komitetu Obywatelskiego Kr. Polskiego w Moskwie z funduszków im. W. Księżny Tatjany, podniosły nastrój duchowy całego odłamu społeczeństwa polskiego, który wśród zawieruchy wojennej znalazł się w Moskwie — oto warunki, które składały się na tę gorącą atmosferę, i ten żyzny grunt ideowy, na którym wypadło nam w ciągu lat trzech prowadzić największą na obszarze rosyjskim uczelnię polską... Trzy lata „wygnania”... Trzy lata żmudnej, od świtu do nocy pracy... A jednak ile wspomnień podniosłych, ile



zadzierzgniętych węzłów ideowych, ile głębokich szlachetnych porywów wiąże nas ze wspomnieniami, unoszącemi dziś myśl naszą ze stolicy Wolnej Polski ku tak odległemu życiowo trzechleciu moskiewskiemu!

Ale bo też życie nasze szkolne w Moskwie dawało taką pełnię zadowolenia moralnego pedagogowi polskiemu, jakiego dziś we własnym kraju próżno byśmy gdziebądź szukali...

Nie krępowały nas tam żadne narzucone z zewnątrz przepisy, żadne cyrkularze, żadne tajemnicze „wizytacje”.

Władza administracyjna, która z urzędu miała sprawować dozór nad pracą naszą — Kuratorjum Warszawskie — do Moskwy przewiezione — nie wtrącała się bez potrzeby w naszą pracę, niczem jej nie krępując. Kurator ówczesny, książę Kurakin, rosjanin, lecz człowiek europejskiej kultury, wizytując osobiście szkołę, przychodząc na lekcje lub egzaminy maturalne, zawsze znalazł dla nas jakieś słowo (francuskie) zachęty, jakiś wyraz uznania...

Nikt tam nam kamieni pod nogi nie rzucał, nikt nie podpatrywał, nikt jadem zawiści politycznej zatruć nie próbował...

Własne, przywiezione z kraju doświadczenie, własne zbiorowe sumienie dyktowały nam cały tryb postępowania, regulowały stosunki, układały programy...

Harmonja ideowa personelu pedagogicznego, pełne zaufanie społeczeństwa własnego, zapał ideowo urabianej młodzieży — dawały nam moc ducha, wzniecały wiarę w słuszność i zbawienność obranej drogi, podtrzymywały nadzieję — na szczęśliwy powrót do Wolnej Polski...

A jeżeli zdarzały się w naszej rodzinie szkolnej jakie chwilowe dyssonanse, to czujna świadomość zbiorowa wskazywała nam niezwłocznie ich cudzą, przez powiewy bolszewickie wznieczoną genezę, i potrafiła je natychmiast, jako obce, plugawe ciało, wyżenać...

Mieliśmy już wprawdzie i tam przedsmak tych obrzydliwych uprzedzeń i swarów politycznych, które miały nas potem w Kraju spotkać i codzienną „rodzimą” atmosferą otoczyć. Przepojeni jednak byliśmy wiarą, że to są objawy, płynące z rozkładu polskich dusz, na bolszewickiem bagnie wygasłych, że z powrotem do Kraju pełną odetchniemy piersią, przez rodaków gorąco powitani, „do łona Ojczyzny przytuleni”!

I wróciliśmy...

Przywieźliśmy z sobą do kraju te same sumienia, ten sam zapał, te same artykuły wiary — bo nie skonfiskował ich nam bolszewik na granicy, przebywanej pod Orszą...

Dziś багаż ten na gruncie ojczystym powinien był wielokrotnie wzrosnąć, stokrotnie rentować...

Historja przeżyć naszych na gruncie warszawskim, której tu dziś pisać nie możemy, wnikać w realizację oczekiwań tych będzie musiała, zważyć źródła rozczarowań i zawodów...

\* \* \*

Gdy w perspektywie minionego dziesięciolecia spojrzymy na przeżycia nasze tam, na obczyźnie, i tu, wśród swoich, to cisną się nam z nich wspomnienia podniosłe i ciężkie, pełne niepokoju i radosne —



## OBECNA DYREKCJA GIMNAZJUM



Dyrektor K. Kulwiec w swym gabinecie szkolnym  
(ur. I/V 1871 r. na Litwie Kowieńskiej).



prof. W. Ruszczycki  
Vicedyrektor Gimnazjum  
(ur. 25/X 1882 na Ukrainie).



prof. K. Elwertowski  
Inspektor Gimnazjum  
(ur. 8/XII 1877 na Mazowszu).



wspomnienia, które w naturalny sposób rozsegregować możnaby na tamte, odległe w czasie i dalekie w przestrzeni, i te, późniejsze, z życia bieżącego w kraju.

I jeżeli tamte odzywają się do nas w tonie podniosłym, w aureoli optymizmu, to nie dlatego jedynie, że z okresu tego wykazać się możemy widocznymi doraźnie owocami swej pracy w wyrazistszej, niż gdziebądź i kiedybądź formie, lecz dlatego przede wszystkim, że, nie czując tam gruntu własnego pod nogami — jeno stąpając po obcym — duchem swym, myślą i uczuciem unosiliśmy się raczej w sferę marzeń, w tę dziedzinę, gdzie się dusza więcej nadzieją na przyszłość i rozważaniami przeszłości, niż codzienną, szarą teraźniejszością żywi.

Gdyśmy wrócili do kraju, wielki moment dziejowy Zmartwychwstawania Ojczyzny tak nas pochłonał swą realną teraźniejszością, że ta ściągnęła nas z wyżyn, aureolą świecących — na szary załóg codziennych zmagañ, trudności i zawodów; a tu przed pesymizmem osłonić się nie łatwo...

Nie łatwo — a jednak należy.

Bo pesymizm stały — z negacji wyłącznie i z utraty wiary w swe siły wypływa.

Pedagogowi zaś polskiemu dziś ani negacją operować ani zwątpienia w swe siły żywić nie wolno.

Pozytywne przede wszystkim wysiłki, entuzjazmem owiane wyznania wiary od niego ku młodzieży iść winny — bo one tylko zasłoniętą przelotnymi mgłami teraźniejszości jasną gwiazdę ideałów polskich odszukać mogą i do tej gwiazdy, Jej Wielkiej Przyszłości, serca młodego pokolenia przykuć zdołają.

*K. Kulwiec.*



# ZAŁOŻENIE SZKOŁY I JEJ ADMINISTRACJA

JAN LUTOSŁAWSKI

LATO 1915 r. miałem spędzić z rodziną w Nowogródzkim, nastąpiło to w porozumieniu z Państwem Kulwieciami, którzy już tam bawili i wielce życzliwą pomoc w zrealizowaniu tego projektu ofiarowali. Wojna się zaciągała i nie zapowiadał się jej rychły koniec. Przygarnął nas wszystkich gościnny i cichy dworek p. Wojciecha Karpowicza w Mołodowie, gdzie dzieci miały wymarzone warunki wytchnienia po roku szkolnym w Warszawie, w którym wysiłek nauki przeplatany miał wrazeniami, toczących się całymi miesiącami tak blisko naszej stolicy, operacyj wojennych.

Niepokój o dalsze losy kraju, a i własne, trawił nas, często obezwładniając duchowo. Ulgę nielada sprawiało obcowanie z piękną przyrodą — cuda Ziemi Nowogródzkiej coprawda po raz pierwszy oglądane, zwiedzaliśmy z pietyzmem. Tuchanowicze, wizyta u P. Tuchanowskiej, Świteż, Nowogródek — niezatarte pozostawiły wrażenie.

W sierpniu, gdy już powrót do Warszawy mieliśmy odcięty, trzeba było przemyśliwać o najbliższej przyszłości, układając jakieś praktyczne plany. Wieczorami zaczęły wtedy dolatywać z zachodu odgłosy zbliżającego się ku nam frontu — złowroga kanonada artylerji.

Słyszało się o wielkim ruchu uchodźczym z Polski. Część członków Centralnego Komitetu Obywatelskiego z Warszawy przejechała do Petersburga, ustanowiony został jego oddział w Moskwie, pod kierunkiem mego brata Marjana. Zaczęła się celowa praca organizacyjna. Po krótkim wahaniu postanowiłem i ja do tej pracy, w której uczestniczyłem w Warszawie, powrócić. Przyszła mi myśl założenia szkoły średniej w Moskwie — poddałem ją p. Kulwieciowi, znajdując jego aprobatę. Przed ruszeniem naszych rodzin z Mołodowa — wypadało jednak zbadać wprzód grunt dla takich planów. Wybrałem się w tym celu sam do Moskwy.

Organizacja opieki nad uchodźcami, nasza własna, była podówczas dopiero w zaczątkach. Funkcjonował t. zw. Komitet Pomocy W. ks. Tatjana, córki cesarskiej, który asygnował na te nasze cele pewne środki. Odwiedziłem w Moskwie „wszechmocnego” p. Lednickiego, znanego tamtejszego patrycjusza — uznał potrzebę, nawet konieczność założenia szkoły, obiecał poparcie. Wkrótce jednak losy mego projektu złożyłem w ręce C. K. O. (Centralnego Komitetu Obywatelskiego) i w ścisłej łączności z tą instytucją, przy kochanej pomocy ś. p. brata mego, doprowadziłem do jego realizacji.

Sprawy oświatowe, w zakresie potrzeb polskich uchodźców, leżały pod względem formalnym w kompetencji ewakuowanego właśnie do Moskwy Kuratora Okręgu Naukowego warszawskiego, ks. Kurakina. Człowiek przystępny, gładki i uprzejmy — nie robił trudności. Złożyłem mu podanie o koncesję na szkołę średnią ogólno-kształcącą



z oddziałami filologicznym i realnym, zakreślając odrazu najszersze granice swojej inicjatywie. Myślałem o niej z przyjemnością, bo zajmowałem się (teoretycznie) od lat już kilkunastu wtedy pewną specjalną gałęzią szkolnictwa, szkolnictwem zawodowo-rolniczem; znałem te sprawy dosyć gruntownie — strony organizacyjnej projektowanej szkoły mogłem się podjąć z czystym sumieniem, umieszczając w tej pracy z pożytkiem, i społecznym i własnym, swoje siły. Zresztą liczyłem trochę na to, że p. Kulwiec, z którym współpraca zapowiadała się tak pociągająco, podejmie się zostać dyrektorem zakładu; byłem tego prawie pewny. Podział pracy byłby dobry, zresztą zakład, odrazu zakrojony na większą skalę, wymagał go niezbędnie: dyrektor spraw administracyjno-gospodarczych nie byłby udźwignął obok swych właściwych zadań.

Jeśli mnie pamięć nie myli, to zapewniłem przyszlęmu zakładowi odrazu lokal na ul. „Milutynskij pereułek” — za pierwszej bytności w Moskwie, jeszcze zanim otrzymałem koncesję.

Wszystkie te starania nie trwały razem bodaj kilkunastu dni. Wyjechałem śpiesznie z powrotem do Mołodowa. Pośpiech był wskazany. Front rosyjski cofał się.

Ale zaszła przeszkoda. Dyrektora Kulwiecia nie zastałem w Mołodowie. Wybrał się był tymczasem w Pińszczyznę na studia krajoznawcze, jak był zapowiedział rodzinie — na czas dłuższy. Tam był podobno spokój i trudniejsza orjentacja w przebiegu wypadków na teatrze wojny. W tych warunkach nieobecność Pana Kulwiecia mogła się przeciągnąć. Wysłałem obszerną depeszę, donosząc w niej Dyrektorowi o pomyślnym wyniku moich starań w Moskwie i stawiając konkretną propozycję objęcia kierunku wychowawczego otwieranego zakładu.

Odpowiedzi nie było.

Powziąć trzeba było decyzje stanowcze. Przedewszystkiem dłużej pozostawać w Mołodowie było trudno. Pani Kulwieciowa przesadziła sprawę wyjazdu — na wszelki przypadek wysłana została do Dyrektora druga depesza, że wyjeżdżamy wszyscy do Moskwy i tam go będziemy oczekiwali.

Była to chwila ostatnia. W Baranowiczach przedzierać się musieliśmy przez wielkie obozowiska armji rosyjskiej. Był wieczór. Wojsko porozpalało ognie na biwakach. Szykowano się do jakiegoś wielkiego ruchu nazajutrz. Z trudnością dostaliśmy się do pociągu. W Mińsku przyłączyła się — nieoczekiwanie dla mnie — cała prawie moja rodzina, matka i bracia.

Jechaliśmy w milczeniu, z ciężkiem sercem — do Moskwy.

\* \* \*

Sprawa szkoły rozwijała się odtąd, jakby automatycznie. Dyrektor Kulwiec nadjechał wkrótce po nas. W d. 12 września 1915 r. podpisaliśmy, ku mej wielkiej radości, naszą umowę (odnawianą następnie 2 razy: 8 czerwca 1916 r. i 31 maja 1917 r., i wypowiedzianą przeze mnie w dn. 1 stycznia 1918 r. „wobec niepewności położenia” — w dn. 1 lipca 1918 r.). Dokument ten w artykule 2-im opiewał: „Obowiązki Dyrektora są następujące: a) skompletowanie personelu nauczycielskiego i wychowawczego, zatwierdzonego przez radę nadzorczą szkoły;



b) przyjmowanie uczniów do szkoły oraz kwalifikowanie ich do poszczególnych klas; c) zwierzchni nadzór nad wychowawczym i naukowym kierunkiem Szkoły; d) uzgadnianie prowadzenia Szkoły z obowiązującymi prawami i przepisami". Była „Uwaga: wszystkie sprawy, dotyczące wewnętrznego życia szkolnego, Dyrektor rozstrzyga za zgodą rady pedagogicznej”.

Koncesję otrzymałem w dn. 22 września 1915 r. Uzyskiwałem w niej „prawo otwarcia i utrzymywania w Moskwie, czasowo, prywatnej szkoły męskiej z oddziałami gimnazjalnym i realnym, z warunkiem pozyskania dla kierownictwa zakładem odpowiednio ukwalifikowanej osoby, zatwierdzonej w tym charakterze przez władze naukowe, oraz z warunkiem stosowania się zarówno koncesjonariusza jak dyrektora do obowiązujących przepisów”.



Marjan Lutosławski

(ur. 1/IV 1871 r. w Drozdowie łomżyńskim, rozstrzelany 5 Września 1918 r. w Moskwie).



Józef Lutosławski

(ur. 19/III 1882 r. w Drozdowie łomżyńskim, rozstrzelany 5 Września 1918 r. w Moskwie).

W dn. 26 września 1915 r. miało miejsce pierwsze posiedzenie Rady pedagogicznej (w internacie na ul. „Rzewskij pereułek” l. 2).

Otwarcie szkoły (pierwszego roku szkolnego) nastąpiło z wielką uroczystością, w lokalu przy ul. Milutinskij per. l. 4, w dn. 1 października 1915 r.

\* \* \*

Nie będę opisywał wszystkich szczegółów techniczno-organizacyjnych. Było z tem dużo wysiłku. Te szczegóły należało traktować poważnie. Formalne kontrakty rejentalne zabezpieczały szkole spokojne bytowanie w pozyskanych odpowiednich lokalach — tak dla kilku-





nastu klas, jak i kilku dużych internatów, które były niezbędne wobec napływania w znacznej liczbie młodzieży, pozbawionej opieki rodziny. Przypominam sobie malarza pokojowego i tapicera Riabinina, z tęsknym dyszkantem, który przez wszystkie te lata remontował, przebrał, oklejał nam liczne nasze lokale — z wyjątkową sprawnością i dokładnością. Najbardziej fundamentalne przeróbki szły przy jego, wielce fachowej i chętniej, pomocy, jak z płątka. Ale trzeba powiedzieć, że i ludzie tamtejsi, z którymi mieliśmy do czynienia, czy to rzemieślnicy, czy gospodarze domów — charakterystyczny kupiec miejscowy z Roźdiestwienki, czy kompanja popów z Łubianki, czy reżyser teatralny, w swej sztuce zamilowany p. Popow z Rzewskiego, i tylu innych — wszyscy byli pełni szacunku i uznania dla energii polskiej, gruntowności, jaka cechowała nasze poczynania. Metoda, jaką rozwijaliśmy przy organizowaniu opieki nad naszymi uchodźcami, widocznie im imponowała. Wysilek był duży, powtarzam — ale nie pamiętam, bym miał jakie istotne trudności do przezwyciężenia w tych przecie, tak nam obcych stosunkach.

Jedna okoliczność dopomogła szkole polskiej: okoliczności wojenne, mobilizacja, konieczność zajęcia masy inteligentnych sił na tyłach, zmusiły rząd rosyjski do zwijania wielu instytucyj, nie wyłączając szkół. Zastaliśmy kilka świetnie zaopatrzonych zakładów w Moskwie — pustych. Skompletowaliśmy całe potrzebne nam urządzenia wewnętrzne (ławki, katedry, tablice, nawet niektóre pomoce szkolne) z wielką łatwością — wynajmując je poprostu w innych miejscowych szkołach, nieczynnych. Niemiecka szkoła Piotra i Pawła (zakład znakomicie postawiony, prowadzony po rosyjsku przez Niemców dla dzieci miejscowych ewangelików) oddała nam bardzo chętnie swe wyborne sprzęty.

\* \* \*

Szkoła nasza istniała trzy lata: 1915/16, 1916/17, 1917/18. Pierwszy rok był rokiem organizacji i stopniowego rozwoju. Drugi — pełnią rozwoju. Trzeci — rokiem likwidacji. Rok drugi, środkowy daje właściwą miarę tego, co się dało dokonać. Był w tem przedsięwzięciu rozmach. Wyniki namacalne, bo młodzież lepilo się, jak glinę mięką, na piękne formy dla przyszłego bujnego i płodnego życia. Jej życie — to miało być życiem Polski. Urabialiśmy w tej szkole przyszłych budowniczych miłej Ojczyzny, wskrzeszonej, odzyskanej, wyśnionej. Tą jedną myślą żyliśmy w okresie naszej pracy na wygnaniu wszyscy. Rzecz działa się w Moskwie — a myśmy chodzili po niej z niezanikającym w naszej wyobraźni ani na chwilę obrazem Polski, którą wciąż śniliśmy pełną blasku, potężną...

Młodzież nasza była tworzywem wybornem. Byliśmy w niej zakochani. Ale śniliśmy naiwnie...

Jakże trudno odbudować Polskę pełną blasku, potężną... z naszymi słabymi siłami, tak strasznie — jak się później okazało, gdyśmy już po łokcie urobili się w pracy za powrotem do kraju — nadwątlonemi i wyniszczonemi stuletnią niewolą.

Ale wtedy — przed tą wielką walną próbą 1918—1926 — była w nas wiara, i — oby nas podtrzymawała i dalej.

Mówię o naszym gronie, zgrupowaniem koło przedsięwzięcia, któremu księga ta pamiątkowa poświęcona: wydaje mi się, że gdy dzisiaj



nieraz siły nas opuszczają i wiara jakby gdzieś chyłkiem od nas uchodziła, wstydząc się naszej słabości — to dobrze może nam będzie wziąć tę księgę do ręki i przewracając jej karty, wpawić duszę znowu w ten ruch nadziei i woli, który wówczas ją podnosił — tak wysoko ponad wstrętne otoczenie.



Redaktor Jan Lutosławski  
dyrektor administracyjny Gimnazjum w Moskwie  
(ur. 27.I.1875 r. w Drozdowie łomżyńskim).

W roku 1916/17, roku pełni rozwoju szkoły moskiewskiej, mieliśmy 640 uczniów, z tego  $\frac{1}{4}$  w internatach naszych była utrzymywana. Trzy duże lokale szkolne (Milutinskij per. 4, Wielka Łubianka 17, Rożdziestwienka 9) mieściły parę dziesiątków klas (cały szereg równoległych). Cztery internaty (Rzewskij 2 w dzielnicy Arbat, Wielki Uspienski 5, Gołowin 5, Diegtiarnyj 7) prowadzone były z wielkiem poświęceniem i oddaniem przez prawdziwe apostołki powierzonego im zadania: Panie Restorffową, Sienkiewiczową, Tomaszewską i Wyrzykowską. Te dzielne i zacne osoby potrafiły nieustającym wysiłkiem utrzymać wzorowy ład w zakładach swoich, przepoić je atmosferą życia rodzinnego — oba czynniki wychowawcze pierwszorzędne. Jeśli młodzież, która tam przebywała, nie zmarnowała się na wygnaniu i wyszła na ludzi, to niech nie zapomni nigdy, że to zawdzięcza w znacznej mierze tej troskliwej, prawdziwie matczynej opiece w internatach moskiewskich.

Wydatki pieniężne, poniesione przez C. K. O. na utrzymanie szkoły i internatów w r. 1916/17, dadzą także pewien pouczający obraz organizacji i funkcjonowania naszego rozgałęzionego zakładu. Możliwość podania go zawdzięczam żonie mojej, która była także kółkiem w tej naszej maszynie, prowadziła bowiem z gruntownością iście-litewską, a benedyktyńską cierpliwością — szczegółową rachunkowość Szkoły, jak i internatów. Nasze formularze, które służyły za podstawę do tej rachunkowości, były bardzo drobiazgowo.





Oto trochę cyfr z tego źródła:

Ogół *wydatków* roku szkolnego 1916—1917 wyniósł rb. 227.000.

Z tej sumy przypada:

|                                                 |            |            |
|-------------------------------------------------|------------|------------|
| na personel . . . . .                           | 90.097 rb. | czyli 40 % |
| na komorne, opał, światło i remont lokali . . . | 25.596 "   | " " 11 "   |
| na inwentarz (meble i pomoce szkolne) . . .     | 3.263 "    | " " 1,6 "  |
| na druki i koszty kancelaryjne . . . . .        | 2.249 "    | " " 1 "    |
| na pomoce uczniom . . . . .                     | 923 "      | " " 0,4 "  |
| na koszty ogólne i różne . . . . .              | 2.966 "    | " " 1 "    |
| na kolonję letnią . . . . .                     | 13.689 "   | " " 6 "    |
| na utrzymanie 3-ch internatów (140 chłopców)    | 88.217 "   | " " 39 "   |

*Wpływy* własne wynosiły w liczbach absolutnych w tym samym roku (1916/17):

|                                               |            |
|-----------------------------------------------|------------|
| z wpisów szkolnych . . . . .                  | 31.278 rb. |
| z opłat w internatach . . . . .               | 23.245 "   |
| z opłat za utrzymanie w kolonji letniej . . . | 3.020 "    |
| ze sprzedaży druków szkolnych . . . . .       | 497 "      |
| z innych źródeł . . . . .                     | 2.404 "    |

co uczyniło razem . . 60.444 rb.

czyli trochę wyżej niż  $\frac{1}{4}$  wydatków; deficyt, sięgający  $\frac{3}{4}$  wydatków, pokrył Centralny Komitet Obywatelski z funduszków przekazanych mu na cele opieki oświatowej nad uchodźcami przez t. zw. Komitet Tatjanowski.

Gospodarka w trzech internatach (czwarty na Diegtiarnym został otwarty dopiero 1 sierpnia 1917 r.) daje taki obraz w liczbach za tenże rok 1916/17:

Ogół wydatków 88.217 rb. rozpadał się na następujące kategorie:

|                                   |            |            |
|-----------------------------------|------------|------------|
| produkty spożywcze . . . . .      | 44.485 rb. | czyli 50 % |
| komorne, opał i światło . . . . . | 18.427 "   | " " 20 "   |
| personel . . . . .                | 13.751 "   | " " 15 "   |
| pomoce uczniom . . . . .          | 4.220 "    | " " 6 "    |
| inwentarz . . . . .               | 2.673 "    | " " 3 "    |
| koszty zdrowia . . . . .          | 1.247 "    | " " 1 "    |
| koszty ogólne . . . . .           | 3.414 "    | " " 5 "    |

Poziom utrzymania w poszczególnych internatach był utrzymywany ściśle jednakowy, o ile pozwalały na to naturalnie uzdolnienia poszczególnych kierowniczek. Na dowód, jak dalece udało się to jednak w praktyce, przytoczę, że np. w jednym z internatów wydano na produkty w jednym miesiącu w stosunku dziennym na jedną osobę 1 rb. 50 kop., w drugim 1 rb. 53 kop. w tym samym miesiącu; w innym miesiącu wydatek ten wynosił 1 rb. 76 kop. i 1 rb. 74 kop. Interesujące są różnice ilości produktów względnie wydatków na nie w tych samych dwóch miesiącach dwóch różnych lat (październik 1916 r. i tenże miesiąc 1917 r.). Wydatkowano w tym miesiącu na jedną osobę:

|         | Mleko | Pieczywo      | Mięso                            | Masło              | Słonina            |
|---------|-------|---------------|----------------------------------|--------------------|--------------------|
| 1916 r. | 7 kw. | 5 rb. 97 kop. | 13 f. (7 rb. 48 k.)              | 2 $\frac{1}{4}$ f. | 3 $\frac{3}{4}$ f. |
| 1917 r. | 8 kw. | 4 rb. 34 kop. | 3 $\frac{1}{2}$ f. (3 rb. 40 k.) | $\frac{3}{4}$ f.   | 1 $\frac{3}{4}$ f. |



|         | Jaja     | Mąka  | Kasza | Ziemniaki | Jarzyny       |
|---------|----------|-------|-------|-----------|---------------|
| 1916 r. | 12½ szt. | 3½ f. | 3¾ f. | 15 f.     | 1 rb. 63 kop. |
| 1917 r. | 3 szt.   | 16 f. | 4½ f. | 41 f.     | 9 rb. 14 kop. |

|         | Śmietana | Ser   | Owoce   | Drobne  |
|---------|----------|-------|---------|---------|
| 1916 r. | ¾ f.     | 3½ f. | 65 kop. | 43 kop  |
| 1917 r. | —        | —     | 75 kop. | 38 kop. |

|         | Herbata | Kawa  | Cukier | Groch | Sól   |
|---------|---------|-------|--------|-------|-------|
| 1916 r. | 4 ł.    | ½ f.  | 4¾ f.  | 1½ f. | ¼ f.  |
| 1917 r. | 5½ ł.   | 14 ł. | 2¾ f.  | 2¾ f. | 1½ f. |

To ostatnie zestawienie dowodzi między innymi postępującej zmiany stosunków aprowizacyjnych na gorsze. Produkty zwierzęce w roku 1917 bardzo podrożały (mięso, masło, jaja), to samo cukier. Należało zaprowadzić tu oszczędności, a zarazem zmienić sposób odżywiania internistów, zwiększając z tłuszczów słonię, przejść na wikt zawierający więcej jarzyn, także ziemniaków, mąki, kaszy; zwrócono między innymi uwagę na groch, zawierający więcej białka; udało się na szczęście zastosować niezmienną rację mleka; natomiast ser, śmietana odpadły zupełnie. Ale takie mniej wybredne i mało urozmaicone jadło wypadło za to obficiejsze! Ogólny wzrost kosztów znaczny: gdy na produkty na jednego chłopca wydawano w jesieni 1916 r. ok. 30 rb. miesięcznie — w rok potem wypadało blisko dwa razy tyle.

\* \* \*

Stosunki pogarszały się, gdy nadszedł trzeci rok pobytu naszego w Moskwie. Pogarszały się i warunki materialne i warunki moralne. Wielu rodziców już nie mogło sobie pozwolić na utrzymanie dzieci zdala od siebie, internaty do połowy opustoszały; liczba uczniów w szkole z 640 spadła do 480. Lokal szkolny na Milutynskim zwinięto.

Bolszewizm zrzędał niestety spustoszenie moralne i w naszych własnych szeregach. Zaciemniały się pojęcia, z którymi przyjechaliśmy tam, nawet wśród inteligencji. Atmosfera rewolucji, a raczej powodziawszy anarchii, podkopywała normalne funkcjonowanie zakładu. Pierwszy dowód tego niepokojącego stanu umysłów znajdujemy już w maju 1917 r. Gdy Centralny Komitet Obywatelski, z inicjatywy dyrektora Kulwiecia, rozważał możliwość i korzyści przeniesienia szkoły bliżej kraju, mianowicie do Mohilowa, rachując właśnie na lepsze warunki dla utrzymania nietkniętej moralnej atmosfery zakładu, wynikły na tem tle tarcia wśród personelu nauczającego. Niepokoje ten był nieuzasadniony, gdyż Komitet Obywatelski kierował się niewątpliwie najlepszymi intencjami względem szkoły. „Pełnomocnik C. K. O. na Rejon Środkowy”, brat mój Marjan, uznał za właściwe odwołać się do władz głównych C. K. O. w Petersburgu. W połowie lipca 1917 r. nadeszło pismo z Wydziału Opieki nad dziećmi i Oświaty C. K. O., w którym Wydział „nie aprobeuje protestu grona 14 nauczycieli” Szkoły C. K. O. w Moskwie i celem wzmożenia organizacji wewnętrznej zakładu ustala „Zasady ustroju Szkoły średniej męskiej C. K. O. w Moskwie”.



Szkoła z Moskwy nie została ruszona.

Stosunki finansowe zaczęły niedomagać. Znajduję charakterystyczną wzmiankę w jednej ze swoich korespondencji z tego lata do Dyrektora Kulwiecia, bawiącego na wywczasach letnich u znajomych PP. Ciundziewickich w Mohilewszczyźnie: „Zebrawszy siły finansowe, przesyłam Panu Dyrektorowi na rachunek rat wakacyjnych 267 rb. 50 kop. zaliczki. Wczoraj wysłałem depeszę do Zarządu Głównego” (C. K. O. w Petersburgu) „przedkładając grozę sytuacji”.

Jakoś zaczęliśmy ten ostatni rok szkolny, przeczuwając, że trudności będą stale wzrastały i że „piękne dni Aranjuezu” roku poprzedzającego nie powrócą. Jednak budżet ostatniego półrocza (styczeń — lipiec 1918 r.) zakrojono jeszcze blisko na 100.000 rb. Tak wysoka suma, bez względu na zmniejszenie się uczniów i internistów, była potrzebna, ponieważ przy rządach bolszewickich szybko wzrastała drożyzna.

Szkoła zakończyła swe istnienie jednak już w połowie maja 1918 r.

Ostatni kwartał był nad wyraz ciężki. Zaczął się Krzyż Pański z polskimi bolszewikami, którzy, przy pośrednictwie kilku żydków naszych, pokumani z władzami sowieckimi, rozpoczęli rządy swe nad liczną kolonją uchodźców polskich w Moskwie. Część opinii kolonji naszej, ta mianowicie, która pozostawała w bliższym kontakcie ze starą emigracją polską w Moskwie i pod jej wpływami, prowadziła rodzaj polityki ugodowej, pozyskując łatwiej środki pieniężne.

Wywierano i na nas nacisk coraz silniejszy, by poddać szkołę pod te wpływy. Żądano sprawozdania z ustroju i funkcjonowania zakładu, przedstawienia budżetu, według którego był finansowany i podania ewentualnych potrzeb. Uczyniono temu w formie nieobowiązującej zadość, pragnąc jednak o ile się tylko da oddalić chwilę zaprzepaszczenia zbożnego dzieła naszego w rękach tych barbarzyńców, właściwie zbiorów moralnych.

Bolszewicy wychodzili z założenia, że skoro szkoła otrzymywała przez pośrednictwo Komitetu Tatjanowskiego do swej dyspozycji środki o charakterze bądź-co-bądź rządowym — mieli prawo rozciągnąć nad zakładem kontrolę.

Brat mój Marjan odparował te zamysły na razie następującem pismem pod datą 6 marca 1918 r. do polskiego komisarza bolszewickiego, niejakiego Lipińskiego, tej treści:

„Uprzejmie zawiadamiam WPana, iż złożona Mu notatka, dotycząca przypuszczalnego kosztu utrzymania szkoły C. K. O., w razie jeśli związane z niem wydatki będą pokrywane ze środków rządowych, dotyczy funduszków, które należałoby uzyskać na przyszły rok szkolny.

„Szkoła nasza już w IV kwartale 1917 r. żadnych środków rządowych nie otrzymała i była prowadzona jako zakład prywatny z funduszków prywatnych (zebranych przez C. K. O. i przez Radę Rodzicielską Szkoły). Fundusze te były na wyczerpaniu, lecz obecnie szkoła ma je zapewnione na dociągnięcie dobiegającego już roku szkolnego do końca, pozostając od czasu ostatniego przewrotu zakładem prywatnym, nie korzystającym z pomocy i opieki rządowej.

„Natomiast na następny rok szkolny, poczynawszy od 1 czerwca r. b., potrzeba jest według złożonej notatki 33 tysiące rubli miesięcznie i jeśli Komisarjat jest w stanie zapewnić szkole tę sumę na stałe aż



do powrotu do Kraju — prosimy o zakomunikowanie warunków, jakim szkoła musi się poddać, aby uzyskać fundusze rządowe na swe utrzymanie”.

Nazajutrz, 7 marca 1918 r., brat mój przybył na posiedzenie Rady Pedagogicznej Szkoły i udzielił wobec zaniepokojenia naszego personelu — wyjaśnień co do rzeczywistej wartości propozycji finansowych polskich bolszewików moskiewskich w przedmiocie przejęcia przez nich utrzymania szkoły C. K. O.: chodzi im o zniszczenie zakładu, jako polskiej placówki narodowej, to też „Zarząd C. K. O. w Moskwie uznał za właściwe wycofać się z jakiejkolwiek zależności od władz bolszewickich i nie przyjmować zupełnie niedostatecznych środków od rządu, podstępnie proponowanych”. (Według protokołu posiedzenia Rady Pedagogicznej z dn. 7.III. 1918 r.).

Dobry duch opiekuńczy szkoły, jakiego mieliśmy w bracie moim Marjanie od początku jej powstania, aż do chwili, kiedy go bolszewicy uwięzili na tragiczną kaźń męczenniczą, jeszcze raz oddał nam przysługę.

Bolszewicy nie ustawiali z podminowywaniem szkoły. Różnymi środkami i stosunkami starali się zdemoralizować środowisko rodzicielskie, pragnąc z Rady Rodzicielskiej uczynić coś w rodzaju „sowietu” Szkoły, któryby rządził w niej — niezależnie naturalnie od prawowitych władz zakładu.

W dn. 15 marca 1918 r. na licznych zgromadzeniu Rady Rodziców, które jako główny punkt porządku dziennego miało rozważyć „reformy projektowane przez Komisarza rządowego”, brat mój stanowczo, ale gruntownie przemyślana i rozważna postawą utrzymał atmosferę zebrania na wodzy. Na zebranie zjawił się był p. Stefan Poznański, „sekretarz wydziału kultury i oświaty komisariatu do spraw polskich”, w charakterze zastępcy p. Lipińskiego. Wobec bałamutnych wyjaśnień p. Poznańskiego, pełnomocnik C. K. O. krótko oświadczył, że „jeżeli prawa obowiązujące szkolnictwo prywatne będą ogłoszone i jeśli szkoła C. K. O. i Rada Rodziców nie uznają za możliwe im się poddać, to szkoła zostanie zamknięta, wyłamywać się bowiem z pod praw obowiązujących nikt nie ma zamiaru”.

Na temże zebraniu, które dowiodło zachowania przez środowisko rodziców, których dzieci były w naszej szkole, zupełnego zdrowia moralnego, zapadło postanowienie (90 głosami na 104 głosujących), by naukę prowadzić bez przerwy wakacyjnej na Święta Wielkiejnocy, byle jaknajrychlej zakończyć rok szkolny, nie narażając całorocznej pracy uczniów i jej wyników na jakieś perturbacje, a może i całkowite wykoślenie przez czynniki zewnętrzne.

Pod koniec marca musiały być z braku środków zwinięte internaty. Skuteczną pomoc materialną okazała internistom naszym w następstwie organizacja rodzicielska, kierowana doświadczoną dłońią zacnego generała J. Latour'a.

Zamknięcie ostatniego roku szkolnego przez Szkołę w Moskwie nastąpiło uroczystym aktem w dn. 5 maja 1918 r.

Pozostaje parę słów powiedzieć o organizacji „Powrotu do Kraju”. I tu bolszewicy zrecznie operując „Komitetem Polskim”, analogiczną organizacją do C. K. O., ale obsadzoną głównie przez przedstawicieli starej emigracji, starali się dostać do rąk swoich nasz personel nauczycielski celem należytego zmacerowania go.



Protokół ostatniego posiedzenia Rady Pedagogicznej, odbytego w dn. 4 maja 1918 r., w przeddzień uroczystego zamknięcia Szkoły, zawiera następujący obraz tych starań podstępnych i daje świadectwo odporności, jaka dała się w Radzie Pedagogicznej Szkoły C. K. O. utrzymać do końca — po sanacji, przeprowadzonej w maju 1917 r.:

„Po rozpatrzeniu propozycji p. Świętosławskiego uczestniczenia przez delegata C. K. O. w „Komisji Szkolnej powrotu do kraju przy Wydziale szkolnym Komitetu Polskiego” — po dyskusji uchwalono odpowiedzieć odmownie, ponieważ personel szkoły C. K. O. pośrednictwa osobnej instytucji powrotu do kraju nie potrzebuje; szkoła, jako taka, kroki przeniesienia jej do kraju bezpośrednio już poczyniła, a do delegata Wydziału Szkolnego Komitetu Polskiego ma całkowite zaufanie, że interesów nauczycielstwa niezależnie od tego, w jakiej instytucji pracowało, bronić będzie umiejętnie i bezstronnie”.

Centralny Komitet Obywatelski pomyślał o specjalnym „Funduszu powrotu do Kraju” dla personelu swojej szkoły.

Zaświadczenia, ułatwiające ten wymarzony „Powrót do Kraju”, podpisał z ramienia C. K. O. w dn. 14.V 1918 r. Szan. P. Paweł Górski. Bracia moi, ś. p. Marjan i ś. p. Józef, byli już w więzieniu Butyrskiem.





# TRZY LATA W MOSKWIE

1915 — 1918

P. RESTORFFOWA

**W** MOSKWIE przy cichym Rzewskim zaułku stał pałacyk stary, opuszczony; mówią, że w nim przed wiekiem mieszkał Napoleon i z okien przypatrywał się pożarowi Moskwy. 1915 roku przez jego okna widna była maleńka cerkiewka, „Na Kurzych nóżkach” przewzana, i z drugiej strony brudne, opuszczone podwórko, pełne drewnianych szop, komórek i składzików niewiadomego przeznaczenia.

W tym to pałacyku Centralny Komitet Obywatelski założył internat dla młodzieży polskiej, którą wielka wojna światowa wyrzuciła na bruk moskiewski, a której naukę dać miała szkoła polska, przy Miłutyńskim zaułku, pod dyrekcją Kazimierza Kulwiecia. Powierzono mi opiekę nad tą młodzieżą i kierownictwo internatem; przez kilka poobiednich godzin korzystałam z pomocy wychowawcy wielce zasłużonego, zacnego, profesora Stanisława Karpowicza.

W końcu września 1915 r. pałacyk na Rzewskim został zupełnie umeblowany od suterenu, gdzie mieściła się pralnia, do poddaszy, gdzie były pokoiki dla służby.

Całe wewnętrzne urządzenie na 80 osób zdobyliśmy od rosyjskich instytucyj pomocy dla wygnańców: 100 łóżek, setki taboretów, talerzy, kubków i t. d., prześcieradła, ręczniki, dzbany i miednice, garnki, słowem wszystko, co potrzebne jest przy żywieniu i utrzymywaniu 70 uczniów i personelu obsługującego, dostaliśmy bezpłatnie. Nie przyszło mi to łatwo, gdyż nie umiałam ani słowa po rosyjsku i pierwszy raz w życiu byłam w Moskwie.

I zaczęło się przyjmowanie zapisów:

Wchodzi zdenerwowany, rozplakany ojciec z trzema synami. „Weźcie mi państwo tych chłopców pod opiekę — mówi do p. Jana Lutosławskiego i do mnie — nie wiem co z nimi zrobić, uczyć się muszą, ja jadę szukać chleba na Ukrainę do krewnych, żona została w Polsce, oni tydzień jechali w towarowym wagonie wśród chorych i głodnych wygnańców zbiedzeni i sami głodni, nie spali w łóżkach od 10-ciu dni”. Przypatruję się chłopcom: mają 14 — 16 i 9 lat, najmłodszy wydaje mi się zupełnie chory, ma oczy świejące, ceglaste rumieńce i cały drży. Mówię to ojcu. — On jest taki zmęczony, przytem ma katar, ale to przejdzie — mówi ojciec z taką obawą o los dzieci w głosie, że się ich naturalnie przyjmuje. Byli to trzech Golczowie.

Wchodzi młodzieniec 16-letni. — „Jestem Młynarski, syn rejenta z Kalisza; ojca mego strasznie męczyli Niemcy, Preuskiej; ja znalazłem się u krewnych, gdy odcięto mi powrót do domu; proszę o opiekę i naukę, chcę kończyć szkoły, a nie mam środków do tego żadnych”.

Wpada chłopiec lat 14: żywy, wesoły, do żydka podobny. — Proszę państwa, trzy dni tułam się, uciekłem z pałacego się domu rodziców; ojciec felcerem był, wolał zginać w domu, niż iść na tułaczkę i został w płomieniach; ja ze strachu uciekłem; gdy biegłem po polu, spot-



kał mnie patrol: Polacy byli, wzięli mnie za żyda i chcieli zabić, ale ja się przeżegnałem i zacząłem głośno mówić „Zdrowaś Marja” — i to mnie uratowało; puścili mnie, doszedłem do jakiejś stacji i wszedłem pod ławkę w jakimś wagonie, bo nie mam ani kopiejki; parę razy mnie wyrzucali z wagonu, ale ja znów wchodziłem pod ławki i tak tu dojechałem. Proszę mnie przyjąć do internatu”.

Czterech Żemralskich, z których najmłodszy ma lat 7, zjawia się z prośbą o opiekę. „Cóż ty tu będziesz robił, pytam najmłodszego, wśród takich dużych uczniów!?” „O i ja też jestem uczniem, przyjął mnie pan dyrektor; jestem wolnym słuchaczem wstępnej klasy” — odpowiada mi Stefcio rezolutnie.

Przychodziły młode matki z dziećmi 7-mio i 8-mio letniemi: pani Gacka, Maszkiewska, Maciarewiczowa. Przychodzili dorośli zupełnie młodzieńcy: Ostrowski, Zaniewski, Dąbrowski, Czech...

Trwało to przez cały tydzień, i, gdyby ściany pałacyku na Rzewskim rozszerzać się mogły do nieskończoności, zdawało się, że nigdyby się nie wyczerpały szeregi tych młodzieńców, co się znaleźli bez dachu na Moskiewskim bruku.

Przyjeliśmy sześćdziesięciu paru uczniów od lat 7-miu do 22-ch.

\* \* \*

I zaczęła się praca ciężka, praca wychowawcza nad wytworzeniem harmonijnego współżycia dzieci z przeróżnych środowisk, warstw społecznych, dzieci, które fala wojny i niedoli wyrzuciła z terenu najzaciętszych walk na brzeg względnie jeszcze spokojny i bezpieczny.

Pierwsze miesiące roku szkolnego zaznaczyły się w internacie na Rzewskim chorobami.

Jak to było do przewidzenia, młodzież przyniosła pod dach naszego schroniska wszystko, czego się nabawić mogła w wielotygodniowej tułaczce, w niewygodach, głodzie i szalonej ciasnocie przepełnionych pociągów.

Pierwsi zachorowali Golczowie na ciężki dyfteryt ze szkarlatyną; średni z nich życiem przypłacił swą bolesną wygnańca drogę. Potem kładli się pokotem wszyscy po kolei. Anginy, zapalenia płuc, tyfus brzuszny, nawet wypadek nagłego obłędu, wszystko to ciężką chmurą smutku i niepokoju przygniatało pierwsze miesiące życia naszego na Rzewskim zaułku. Bywały dnie, że po 15-tu uczniów leżało w szpitaliku i w sypialniach. Pięcioma termometrami mierzyłam temperaturę chorým, po dziesięć kompresów na gardło kładłam co rano i wieczór. Małego Maszkiewskiego, chorego na tyfus, wzięłam do swego pokoju, żeby go izolować i pielęgnować osobiście; temu tylko przypisuję, że nikt się od niego nie zaraził.

Czas mi upływał, jak w gorączkowym jakim, strasznym śnie. Niepokój o cudze i własne dzieci, ciągnęła troska o tych, co leżeli w gorączce pod powierzonym mi dachem, i o tych, co w szpitalu dla zakaźnych chorowali osamotnieni, w obcym kraju, wśród obcych ludzi; ciągłe kłopoty gospodarskie w domu, który był mocno zrujnowany i zgoła nieprzygotowany do goszczenia w swych ścianach tak dużej liczby osób, a po nocach nieopisana nostalgia, tęsknota do kraju, do Ojczyzny, w której tyle się działo, bez nas; — wszystko to składało się na obraz życia, na którego wspomnienie dziś jeszcze dreszcz mnie przejmuje.





Personel pedagogiczny Gimnazjum Polskiego w Moskwie.



Pod koniec grudnia powoli leczyli się moi chorzy; ukojenie, jakie daje praca, i pocucie, że się jest potrzebnym, koniecznie potrzebnym, i to dużej gromadce osób, powoli tłumiło moją nostalgię, a widoczne codziennie wyraźniej owoce starań i trudów dodawały nam sił i męstwa w tej z przeciwnościami walce.

Życie w internacie ujęte było w ścisły regulamin, bardzo surowo przestrzegany, i przyznać to muszę chętnie przez wszystkich spełniany. Wstawanie na dzwonek, mycie się i ubieranie, kwadrans gimnastyki i wspólny pacierz rozpoczynały dzień, dalej szło śniadanie, złożone w pierwszym roku z kawy i bułek z masłem, rozdawnictwo bułek z mięsem na drugie śniadanie i biletów tramwajowych na drogę do szkoły. Gdy wszyscy zdrowi wyszli, zaczynały się opatrunki i zabiegi lecznicze dla chorych, potem rachunki z gospodynią, dyspozycja obiadów, wyjście po sprawunki, ciągłe debaty z robotnikami, zajętymi coraz to nową jakąś reparacją. O 4-ej schodzili się pensjonarze na obiad. W pierwszym roku miewaliśmy po trzy potrawy na obiad. Po obiedzie było półgodzinne milczenie i abolutny odpoczynek, potem godzinka wolna dla spaceru, lub wyjścia po jakiś sprawunek i o 6-ej młodzież zasiadała do odrabiania lekcji na dzień następny; o 8-ej była wioćcherza i zabawa wesoła, śpiewy, gry przy akompaniamencie fortepianu, potem pacierz i o 9-ej młodsze dzieci a o 10-ej starsi uczniowie szli spać.

W niedzielę salka rekreacyjna i stołowa naszego internatu zmieniała się na kaplicę. Już w sobotę wieczorem stroiliśmy ołtarz kwiatami i zielenią jedliny, a raniutko przychodził do nas ksiądz Lutosławski. Och! niezapomniane to, cudne chwile jego kazań niedzielnych! Biła ze słów ks. Kazimierza siła i moc wiary niezłomnej w nadchodzącą wolność Ojczyzny, nakaz spełniania tu, na wygnaniu świętej służby dla przyszłości Polski, wielkie umiłowanie młodzieży, i stawianie jej potężnych nakazów i wymagań. Widać było, jak pod wpływem przemówień ks. Lutosławskiego te wyrzucone z gniazd swoich ptaki na obrońców Ojczyzny wzrastały, a niejeden z tych starszych na pełnego ofiarności bohatera. Po Mszy Ś-tej śpiewaliśmy „Boże coś Polskę”, a dzwon z pobliskiej cerkiewki przypominał nam, że to tu w sercu Rosji, w Moskwie, wśród wrogów i na ich ziemi, z ust garstki polskich dzieci płynie pieśń, tak surowo dotąd zakazana, tak prześladowana i tępiąca. Doprawdy dziwne są koleje naszych losów!

Przyszło pierwsze Boże Narodzenie na obczyźnie. Zebraliśmy się wszyscy. Dyrektor Kulwiec z rodziną, pp. Janostwo Lutosławscy, personel nauczycielski szkoły, około 100 osób; mieliśmy wigilię z opłatkiem i choinką dla dzieci i śpiewaliśmy kolendy przy kominku, na którym płonął ogień. W nocy ks. Lutosławski odprawił Pasterkę, a pod oknami przelatowały saneczki, zaprężone w rysaki, na sankach siedzieli wywątowani woźnice, mróz do 30 stopni; w oddali huczały armaty. Wojna była, straszna wojna! A garstka polskich dzieci śpiewała kolendy przy ciepłym kominku w Moskwie.

Miedzy młodzieżą i nami wywiązywała się coraz mocniejsza nieprzyjaźń i zażyłość. W czasie Wielkiego postu ks. Lutosławski, używając też trochę mojej pomocy, urządził w internacie trzydniowe rekolekcje i wspólne przystąpienie do Ś-tych Sakramentów. W czasie wiosennym mniejszych chłopczyków przygotowałam do pierwszej spo-



wiedzi i Komunji, co się odbyło z wielką uroczystością, przy bardzo podniosłym nastroju. W maju odprawialiśmy wieczorami nabożeństwo majowe. W święta — wspólne czytania, gry, teatry amatorskie, nawet wieczorki tańczące, lub wycieczki poza miasto uprzyjemniały czas młodzieży.

Tak przeszedł pierwszy rok szkolny w Moskwie.

Lato spędzili uczniowie częściowo u krewnych na wsi, częściowo na letnisku w Odyńcowie, pod opieką pani Sienkiewiczowej i ks. Lutostawskiego, który urządził tam obóz skautowski.

#### 1916 — 1917

Drugi rok zaczął się dużo pomyślniej, bo młodzież wypoczęta, zdrowa, pełna werwy i ochoty zabrała się do pracy, a zgłosiło się chłopców tak dużo, że trzeba było otworzyć drugi internat i część uczniów starszych umieścić w lokalu przy Uspińskim zaułku, pod opieką pani Sienkiewiczowej i pod dozorem p. Stanisława Węśławskiego.

Oba internaty żyły z sobą w kontakcie i bliskiej zażyłości, uczniowie i personel wychowawczy; odwiedzaliśmy się często, urządzaliśmy wspólne zabawy, teatry, koncerty, czytania, śpiewy i t. p. Ks. Lutostawski nie tylko w święta od ołtarza przemawiał, ale i wieczorami całemi przesiadywał z nami, czytywał uczniom Słowackiego, deklamował całe ustępy poezji wielkich naszych twórców, dyskutował ze starszymi chłopcami; wreszcie zabrał wszystkich maturzystów na kilka dni na wieś, żeby w skupieniu i ciszy przed wstąpieniem do wyższych zakładów naukowych mogli pokonferować z nim i odprawić rekolekcje.

#### 1917 — 1918

Trzeci rok szkolny zapowiadał się źle; brak środków materialnych zmusił Zarząd do zwinięcia lokalu szkolnego na Milutyńskim zaułku i do przeniesienia szkoły na teren naszego pałacyku. Internat zaś uszczuplony został przeniesiony do mniejszego lokalu na zaułek Diegtiarny. Skuliliśmy się, zbili w naszą gromadkę i zaczęliśmy cierpieć niedostatek; coraz trudniej było o chleb powszedni, coraz ciężiej było wydostać coś do jedzenia. Cukru do herbaty i chleba najpierw zabrakło, potem nie można było dostać ani mięsa, ani chleba, ani mąki. Żyliśmy z czterdziestu uczniami tem, co się udało zdobyć. Raz kupiliśmy wagon nadmarzniętej kapusty i nią żyliśmy przez czas dłuższy, jedząc trzy razy na dzień kapuśniak, lub inne potrawy z kapusty. To znów trafiła nam się partja ryżu. Och! jakież to było nieznośne jeść cztery razy na dzień ryż; w końcu nikt już patrzeć nie mógł na te białe, mdłe ziarenka rozgotowane, bez okras, bez żadnej przyprawy. Mizerniały moje chłopaki w oczach, ale animusz miały świetny: nigdy skargi, nigdy narzekania od nich nie usłyszałam; chrupali „kartkowy“ chleb pół na pół z wiórami drzewnymi po  $\frac{1}{4}$  funta na osobę dziennie i popijali herbatę bez cukru, jedli ryż, tęsknili za kartoflami, ale śpiewali zawsze równie żwawo piosenki, które rodziły się jakoś same i przychodziły do nas od tworzących się formacyj polskiego wojska.

W listopadzie zaczęły się straszne dni rewolucji moskiewskiej.

Strzelanina na ulicach, trupy pod ścianami domów, obleganie domów i hoteli, gdzie bronią się żołnierze carscy, huk armat bezustanny.



Dzieci internatowe naturalnie muszą w domu siedzieć; obmyślamy im zajęcia i zabawy, żeby utrzymać nastrój spokojny; w południe wychodzę z nimi na podwórze, żeby mieli choć trochę ruchu na świeżem powietrzu, stawiam wartę przy bramie, żeby mi się który nie wymknął na ulicę i bawię się z dziećmi w „Chowanego”, w „Berka”, w piłkę; sygnałami są nam strzały armatnie, które walą z poza miasta na plac teatralny, przelatując ponad naszymi głowami.

Pocziwa kucharka, Helena, codzień popod ścianami domów się czołgając, zdobywa pożywienie dla naszej czeladki, czasem nawet końskiego mięsa gdzieś dostanie; raz przyniosła cały łeb; kupuje suszone kartofle, obierzyny z piaskiem; z nich robimy zupy i sałatki.

Pewnego ranka straszliwa wiadomość dochodzi nas z zaprzyjaźnionego internatu na Uśpieńskim: zabłąkana kula trafiła przez okno ucznia z 8-ej klasy; biedak dogorywa, ranny w brzuch; nazywa się: Klimonda, rodzice jego gdzieś pod Uralem, nie sposób się z nimi skomunikować; żałoba padła na naszą młodzież, — oto pierwsza ofiara bolszewizmu z naszej gromadki.

Od Bożego Narodzenia rewolucja przeniosła się w inne strony; żyjemy nadzieją powrotu do kraju, nauki idą normalnie, wszyscy podnieceni oczekujemy chwili, kiedy otworzy się granica; tymczasem każdy myśli, byle przetrwać te najcięższe chwile oczekiwania, byle skończyć rok szkolny i czempredzej ujrzeć Polskę.

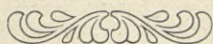
Starsi uczniowie naszego internatu: Obarski, Grabowski, otrzymują polecenie przekradania się do formacji Dowbora-Muśnickiego. Internat na Uśpieńskim coraz to przygarnia, daje noclegi i wypoczynek różnym działaczom politycznym polskim. Zaczyna się gorączkowe życie o głodzie w ciągłej niepewności, kiedy nas puszczą przez granicę.

Po Wielkiejnocy nauka idzie w przyspieszonym tempie; chodzi o to, żeby rok szkolny skończyć przed majem, bo jest nadzieja, że w maju będzie można ruszyć w drogę do Polski.

Jakoż wkrótce po wydaniu matur i zakończeniu roku, młodzież rozjeżdża się do rodzin, i każdy jak może swoim przemysłem stara się o przepustki, miejsca w wagonach, żeby ruszyć do kraju. Na parę dni przed odjazdem dowiadujemy się, że pp. Marjan i Józef Lutosławscy są aresztowani.

Nie przewidując strasznego nieszczęścia, około 15 maja wyruszamy do domu; 30 maja 1918 roku stanęliśmy w Warszawie. Cała ziemia polska była wtedy pod okupacją niemiecką. W drodze dowiedzieliśmy się o tragicznej śmierci braci Lutosławskich.

Padli, jako ofiary niezmordowanej i owocnej pracy dla Ojczyzny, której małym ogniwem był internat dla młodzieży w Moskwie.





# PIERWSZE BOŻE NARODZENIE NA WYGNANIU

ZOFJA JĘTKIEWICZOWA

JARZA się światła w olbrzymiej sali przy ul. Milutyńskiej w Moskwie; gwar głosów młodzieńczych się rozlega — oto słowo polskie brzmi z desek prowizorycznej scenki i znajduje żywy oddźwięk w sercach młodych słuchaczy. A tam, opodal, gromadka starszych, rodziców i nauczycieli z rozrzwiniętym patrzy i słucha... Czy to złudzenie?... poznają „Jasełka“... to „Betlejem polskie“ Rydla, to pastuszkowie idą z pokłonem do maleńkiej dzieciны i znoszą swe dary, a za nimi klękają u żłobka polscy królowie i hetmani... brzmi taniec narodowy... lśnią narodowe stroje. Jakże to wszystko przestrzennie dalekie, a jakie sercu bliskie!...

Tak spędziliśmy wieczór wigilijny 1915 r. na wygnaniu. A gdy przyszło dzielić się opłatkiem, czuliśmy wszyscy, że stanowimy jedną wielką rodzinę; że szkoła, która dawała naukę dziatwie, stworzyła pole do pracy nauczycielstwu i dłoń pomocną podała rodzicom, była owem ogniskiem płomiennem, dającym możność zdręczonym wygnańcom, by odetchnęli Ojczystem powietrzem, ukoili tęsknotę, a nadewszystko siłę zaczerpnęli i moc do przetrwania wszelkiego materialnego zła z wiarą w skuteczność ponoszonych ofiar, z wiarą w świetlaną przyszłość Ojczyzny.

I na cóżby się tam były zdały cenne teorie o potrzebie współdziałania rodziny ze szkołą, gdzie życie spoilo one dwa czynniki silniejszymi ponad wszelkie teorie więzami?...

Czyż trzeba było przemyśliwać nad sposobem zbliżenia uczniów z wychowawcami tam, gdzie uczeń nie uciekał po ostatnim dzwonku czempredziej z „budy“ do domu, ale chętnie przebywał i popołudniu, bo mu najlepiej było w szkole, bo wśród harcerskiej gromadki i swojej piosenki zapominał o tęsknocie i braku wieści od rodziców czy rodzeństwa, bo tu się krzepił i do przyszłej służby w Ojczyźnie gotował.

I rojno było w szkole o każdej dnia porze, w niedziele i w święta. Nauczyciele schodzili się też chętnie i w radosnem obcowaniu z młodzieżą znajdowali cel życia i pracy na obczyźnie, głuszyli przytem niejedną niepokój i serdeczną udrękę. Wszyscy wzajemnie dzielili się: chlebem, wiedzą, sercem, a często choćby złotym humorem.

Niepospolita to zasługa Centralnego Komitetu Obywatelskiego, że taką placówkę stworzyć zdołał na obczyźnie, wielką zasługą ś. p. Marjana Lutosławskiego i p. Jana Lutosławskiego i dyrektora Kazimierza Kulwiecia, ale ponad wszystkie zasługi niech mi wolno będzie wynieść duchową opiekę nad szkołą ś. p. księdza Kazimierza Lutosławskiego. Dwoił się i troił ten człowiek i przeogromną miłością ogarniał całą młodzież, nauczycielstwo i rodziców; był dla nich wszystkich przyjacielem, serdecznym doradcą, bratem; każdy trud brał ochoczo na swe barki, by innym ulżyć w robocie.

Czy wówczas zdawaliśmy sobie sprawę, że dlatego my, wychowawcy i nauczyciele, możemy wypocząć i pogawędzić przy południowej her-



batce, iż on w najsroźszy mróz bawi się wesoło na podwórzu z całą szkolną młodzieżą?

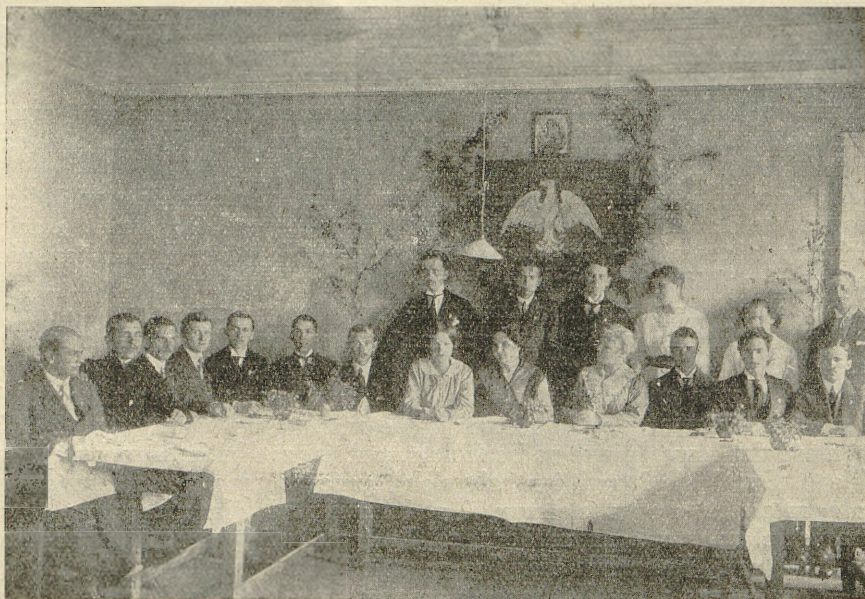
Czy zdołaliśmy dostatecznie ocenić, czemu nam tak miło było wyruszać na wspólną wycieczkę, kiedy On, jako organizator o wszystkim pomyślał, a nam „sztabowi” (jak nas nazywał) kazał się tylko radować widokiem sprawnych zabaw i ciekawych zawodów?

A owe niezapomniane nauki po Mszy Św. na Arbacie? A pasterka w noc Bożego Narodzenia? Szliśmy wiorstami całymi piechotą o północy i nikogo nie brakło, garnęli się wszyscy: młodzież, nauczycielstwo, rodzice po tę moc wiary, miłości i nadziei, które tak przemożnie a hojnie siał w duszach zacny ksiądz prefekt.

Niema Go dziś pośród nas, ale żyje głęboka cześć dla Jego pamięci.

Co się stało z naszą moskiewską młodzieżą? Kilkunastu padło ofiarnie u progu Ojczyzny: stracili młode swe życie w walce z bolszewikami i nie było im danem wrócić do Wolnej Polski. Inni wrócili, pracują, serdecznie wspominają swą szkołę na wygnaniu i z głębokiem przeświadczeniem stwierdzają, jako dorośli ludzie, że okres pobytu w Moskwie stał się kuźnią dla ich charakterów, że szkoła ocaliła ich od wykołajenia pośród obcych żywiołów.

A nauczyciele? I wśród nas kosa śmierci wielkie uczyniła spustoszenie, ale Ci, co się ostali, pracują w szkolnictwie w kraju na różnych stanowiskach; jedni profesorskie zajęli katedry, inni powrócili do swych dawnych szkół, garść dość liczna zgromadziła się przy pracy w Gimnazjum Rady Głównej Opiekuńczej, przekształcone później na gimnazjum Dyr. Kulwiecia. Gdziekolwiek są rozsiani koledzy nasi, zawsze wspominają z rozrzewnieniem okres pracy w Moskwie, jako czas wyjątkowo ofiarnego i wyjątkowo płodnego wysiłku.



Przy stole wigilijnym w internacie szkolnym r. 1916 w Moskwie.



# Z PRZEŻYĆ MOSKIEWSKICH

ZYGMUNT DENTER

CENTRALNY Komitet Obywatelski, jaki powstał podczas wojny w kraju tutejszym (w Kongresówce), dla zaradzenia różnym potrzebom z okresem wojennym związanym, a przede wszystkim ulżenia nędzy, z chwilą ewakuacji do Rosji olbrzymich rzesz ludności, często- kroć ubogiej, wytraconej z równowagi, bez środków do życia, rozpoczął pracę w dziedzinie kulturalno-oświatowej niezwykle doniosłą, wysoce użyteczną i w takich rozmiarach prowadzoną pracę, o jakiej ci, co w kraju pozostali, nawet nie wiedzą. Trzeba było być na miejscu, tam, na wygnaniu, w tych trudnych warunkach, pogarszających się z każdym rokiem, pod koniec emigracji, z każdym nawet miesiącem. Stworzono na olbrzymich obszarach państwa rosyjskiego, od Mińska i Mohilewa do Władywostoku i od Archangielska do Astrachania całą sieć szkółek, szkół i ochron, kursów i warsztatów pracy (zgórą tysięcy szkół elementarnych, kilka typu gimnazjalnego, kilkanaście szkół zawodowych, nie licząc całego szeregu krótkoterminowych kursów pedagogicznych) — oto w najogólniejszym zwięźle ujęciu niezmordowana praca Centr. Kom. Obyw., która uratowała wielu życie, zabezpieczyła młodzież przed wykołajaniem życiowym i upadkiem moralnym, ukołowała ból i cierpienie całego szeregu wygnańców, osuszyła łzy nieszczęśliwym tułaczom.

Jednym z takich zakładów C. K. O., poświęconym wychowaniu i nauczaniu młodzieży na wygnaniu, była średnia szkoła męska (t. j. gimnazjum) w Moskwie, która istniała całe trzylecie: od 1915 r. (październik) do 1918 r. (5 maja), kiedy uległa likwidacji wraz z wielu innymi instytucjami tego rodzaju.

Wytyczną ideą naszej szkoły, powiedzmy emigracyjnej, stworzonej na jesieni 1915 r. pod znakiem niepewności, bo nieświadomiano sobie początkowo, jak długo będziemy musieli na obczyźnie pracować, było dla nas utrzymanie zdrowej, o narodowych podstawach, tradycji wyniesionej z kraju ojczystego, niedopuszczenie do szkoły i do dusz młodzieży obcych wpływów, opartych na nieprzemyślanych głębiej zasadach. Szkole C. K. O. w Moskwie przyświecały wzory szkolnictwa polskiego wyniesione z kraju. Doświadczenie trzyletnie wykazało, że takie stanowisko było słuszne i wytrzymało ciężkie przesilenia i próby życiowe. Czynniki destrukcyjne miejscowego charakteru, będące wynikiem fali rewolucyjnej przełomowej dla Rosji 1917 r., próbowały niejednokrotnie przedostawać się do wnętrza naszej uczelni, ale ostatecznie bez powodzenia.

Dyrektorem Szkoły był znany nasz krajoznawca p. Kaz. Kulwieć.

Przez te trzy lata niezmordowanej pracy szkolnej w murach szkoły C. K. O., nad wykształceniem, a przede wszystkim urabianiem charakterów młodzieży wygnańczej, wyteżaliśmy wszystkie nasze usiłowania i zabiegi, aby młodzież tę utrzymać dla kraju w zdrowiu duchowym, dając wychowaniu podkład ideowy i religijny. Była w naszej



pracy jakaś niezwykła moc wewnętrzna, poparta nieustającym impulsem energii, była wiara w dobre wyniki naszych usiłowań, mimo napotykanych przeszkód. Jednym z czynników pomocniczych wychowawczych było harcerstwo, którego pomyślny rozwój w Moskwie tu podkreślam, zwłaszcza, że owocny, energiczny kierunek jego spoczywał w tak sprężystym, wytrawnym ręku, jak nieżyjącego już ś. p. ks. dra Kazimierza Lutosławskiego, prefekta szkoły. Człowiek ten o wybitnej energii, niezmordowany w pomysłach, biegły i wytrawny instruktor harcerski, umiał nadać pracy w tej dziedzinie odpowiedni kierunek i tempo. Działalność jego na tem polu, jak należy drużynę harcerską prowadzić, ćwiczyć, szkolić, podnosić jej sprawność, mogłaby obecnie służyć za wzór dla niektórych pseudofachowych „opiekunów” drużyn harcerskich.

Jako dowód pomyślnego rozwoju szkoły C. K. O. można przytoczyć wzrost liczebny klas i oddziałów: w 1915 r. na jesieni, klas 9, wkrótce potem otwarto nowych 6, razem więc klas 15. W następnym roku szkolnym 1916/17, wskutek nowego napływu kandydatów, liczba klas doszła do 19; tylko w ostatnim roku istnienia szkoły, wskutek niezwykle trudnych warunków mieszkaniowych i finansowych szkoła nasza zredukowała ilość klas do 14-u, co pociągnęło za sobą i zmniejszenie się liczby uczniów: wielu bowiem trzeba było odmówić przyjęcia do szkoły dla braku miejsca.

Jako nauczyciel szkoły C. K. O. w Moskwie i wychowawca kl. 7-ej, biorący żywy udział w jej wewnętrznej pracy wychowawczo-naukowej, i w drużynie harcerskiej, stwierdzam, że młodzież nasza, a miałem pod swoim kierunkiem przeważnie młodzież starszą, była bardzo lojalną wobec władz szkolnych (wyjątki były nader rzadkie), ceniła pracę swych nauczycieli, przyjmowała ją z wielkim uznaniem i wdzięcznością, przyczem, mimo trudnych, nawet przykrych warunków bytowania w Moskwie, wyróżniała się pracowitością i sumiennem spełnianiem swoich obowiązków. Jako dowód przytoczyć mogę, że kiedy w latach szk. 1915/16 i 1916/17 zadałem uczniom klas 7-ej i 8-ej tematy do wypracowań historycznych domowych, rozlosowane, przyczem każdy miał inny temat, uczniowie przychodzili regularnie na zebrania dyskusyjne wieczorem do szkoły, położonej w centrum miasta, nie bacząc na dokuczliwe mrozy, mimo zajęć zarobkowych, mimo odległości mieszkania, często na krańcach wielkiego miasta. Nigdy nie potrzebowałem tu stosować jakiegokolwiek represji, bo młodzież sama poczuwała się do spełnienia swego obowiązku.

Pewna część uczącej się młodzieży, zwłaszcza niezamożnej i pozbawionej opieki, mieszkała w internatach, właściwie bursach, utrzymywanych przez C. K. O. Bursy te pozostawały pod macierzyńską opieką pań: Sienkiewiczowej i Restorffowej, oraz opiekunów-wychowawców. Jednym z nich był i piszący te słowa.

Stosunek mój do uczącej się młodzieży był szczerze przyjazny, i dotąd przechowuję o niej najmiłsze wspomnienia. Młodzież klas starszych, a zwłaszcza moi wychowawcy kl. 7-ej, często odwiedzała mnie. Znane były w porze zimowej podwieczorki na Kozickim zaułku nr. 3 przy ul. Twerskiej, w mojem prywatnem mieszkaniu, na których to podwieczorkach toczyła się żywa dyskusja na tematy naukowe, polityczne i społeczne, przeplatane śpiewem lub deklamacją.



Ileż to odbyło się wycieczek w Moskwie, ciekawych pod względem naukowym, a niezmiernie miłych pod względem towarzyskim, gdyż nasze sympatyczne koleżanki nigdy nie odmawiały udziału i chętnie nam towarzyszyły. Odbyła się więc wycieczka do Kremla i Czudowskiego monasteru, gdzie niegdyś miał przebywać Dymitr Samozwaniec pod postacią zakonnika Otrepiewa; tam udzielałem osobiście objaśnień i służyłem za przewodnika. W ostatnim roku naszego pobytu zorganizowałem dla młodzieży wycieczkę do Nowej Jerozolimy, niedaleko Moskwy, gdzie w XVII w. przebywał na dobrowolnym wygnaniu patriarcha Nikon. Ale najciekawszą wycieczkę odbyłem latem 1917 r. wraz z moim uczniem, wówczas kl. 8-ej, p. Franciszkiem Lutosławskim po Mohilewsku, po pow. Orszańskim, gdzie obaj, z polecenia Mohil. Wydz. Op. nad Zab. Przeszłości inwentaryzowaliśmy po dworach polskich cenne pamiątki czasów ubiegłych i zabytki kultury polskiej, gęsto rozsiane na terenie Białej Rusi. Podejmowani niemal wszędzie z wyszukaną staropolską gościnnością mieliśmy możność bliższego i głębszego poznania miejscowych zwyczajów, kultury, tradycji, psychologii ludu białoruskiego, smętnych jego pieśni, w których tony można było się z rozkoszą wsłuchiwać podczas wieczorów lipcowych po całodzienniej pracy. Wyniki naszych wspólnych studjów były w swoim czasie ogłoszone drukiem w jednym z polskich pism moskiewskich.

Z tej podróży tkwi mi dotąd w pamięci rozmowa, prowadzona w podziemiach jednego z prawosławnych klasztorów nad Dnieprem, z ojcem Bazylim starcem 85-letnim. Opowiadał mi o swoich trudach życiowych, o podróży do Ziemi Świętej, pielgrzymce na słynną górę Atos, centrum prawosławia, a kiedy chwilami się zapalał, głos jego brzmiał donośnie, co ze względu na rezonans podziemi, miało specjalny urok; w oczach widniały jakieś błyski tajonego gniewu... Nie zapomnę tego starca wyniosłej postawy, o majestatycznej brodzie, w habitie mnicha. Przypominał mi sędziwego Pimena z dramatu Puszkina „Borys Godunow”, kiedy w celi monasteru pisze swoją przesławną kronikę.

Nie mogę tu pominąć i podniosłych obchodów, urządzanych w samej szkole, np. obchodu ku uczczeniu pamięci Henryka Sienkiewicza, jaki się odbył po jego zgonie, na jesieni 1916 r., w sali aktowej gimnazjum C. K. O., przy ul. Milutyński zaułek Nr. 10. W obchodzie tym brał udział i piszący te słowa, jako prelegent. Obchód ten urządzony zrazu dla starszej młodzieży, powtórzono i dla młodszej następnego dnia. Miał on dla młodzieży wogóle i dla rodziców niezwykle podniosłe znaczenie, spotęgował jeszcze tęsknotę za krajem i pozostawił niezatarte wspomnienie.

Na wspomnienie zasługuje również *wielki popis* harcerzy moskiewskich w cyrku Salamońskiego w dniu 8 grudnia 1917 r. wobec zgórą 4.000 widzów. Ćwiczeniami kierował osobiście ś. p. ks. K. Lutosławski. Popis był wprost imponujący sprawnością i precyzją wykonania, jak i różnorodnością ćwiczeń, wykonywanych na przyrządach i bez przyrządów, na arenie cyrkowej.

Nie mogę wreszcie pominąć obchodu Kościuszkowskiego, zorganizowanego w tymże cyrku, w październiku tegoż 1917 r., w setną rocznicę zgonu Naczelnika narodu. Obchód wypadł wspaniale, zgromadził tysiące rodaków i cudzoziemców; przemawiał poza urzędowymi refe-



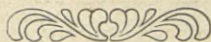
ratami, Konsul Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w języku angielskim, życząc odrodzonej Polsce pomyślnego rozwoju.

Dyrektor szkoły p. K. Kulwiec zabiegał również o wytworzenie wśród grona nauczycielskiego bliższego współżycia towarzyskiego: wybrana była w tym celu Komisja „zabawna”, która kilka „herbatek” koleżeńskich zorganizowała. Podobne zebrania grona nauczycielskiego odbywały się po każdej maturze: wtedy nauczyciele, biorący udział w Komisji egzaminacyjnej, oraz maturzyści byli podejmowani przez C. K. O. i przez zarząd szkoły nader gościnnie, i miła atmosfera, jaka na tych zebraniach panowała, jeszcze bardziej zacieśniała nasze moskiewskie współżycie.

Nie będę się rozpisywał o pewnym wstrząsie, jaki szkoła C. K. O. przeżyła w 1917 r., a który da się wytłómaczyć zmieniającymi się w szybkim tempie warunkami socjalnymi w Rosji po pierwszej t. zw. „bezkrwawej” rewolucji (upadek caratu), za to przypomnę tu naszym czytelnikom z emigracji, jak to w 1918 r., w marcu, Wydział Kultury i Oświaty miejscowego komisarjatu dla spraw polskich, działając z ramienia rządowego komisarza do spraw oświatowych, Łunaczarskiego, chciał przeprowadzić gruntowną reorganizację szkoły na pierwiastkach „demokratycznych”, t. j. wybieralność dyrektora, wychowawców i nauczycieli, przyczem wykład religii miał być ze szkoły usunięty.

Plenarne zebranie Rady Rodzicielskiej w dn. 15 marca 1918 r. przy szkole C. K. O. zajęło wobec tych zamierzeń stanowisko negatywne i z godnością broniło dotychczasowego stanu rzeczy. Takie stanowisko zajęła i dyrekcja szkoły.

Kończąc niniejszy szkic, podkreślam raz jeszcze, że mimo pewnych tarć, współżycie koleżeńskie między nami było bardzo serdeczne, skierowane ku pracy przy umiłowanym warsztacie pracy społecznej, pracy, która — śmiało powiedzieć możemy — dała wyniki dobre ku pożytkowi Ojczyzny.





# SZKOŁA POLSKA NA WYGNANIU

## (WSPOMNIENIA UCZNIA)

M. SIEWIERSKI

SĄ wspomnienia pewnego okresu tak intensywne i długotrwałe, że przeżycia późniejsze, choć bardziej pełne, silne i wstrząsające, nie zdołają ich zatrzeć ani nawet pozbawić świeżości. Tak głęboko wżarły się nam w duszę i tyle naszych myśli jest z nimi związanych.

Dla mnie i dla grona moich kolegów takim okresem jest czas pobytu w Moskwie na uchodźstwie. Przypadł nam o brzasku lat młodości, a więc w czasie, gdy urabia się cały przyszły typ człowieka: jego jaźń, jego wartość moralna i intelektualna. To są lata decydujące o jego światopoglądzie, umiłowaniach naukowych i zawodowych, jego poglądach religijnych i politycznych. Zwłaszcza, gdy lata te przeżyć wypadło czasu Wielkiej Wojny, gdy dzień każdy przynosił coraz nowe zdarzenia, nowe zjawiska, wobec których najmniej wrażliwy i życiem znudzony obojętnie przejść nie mógł, a cóż dopiero młodzież! Chłoniliśmy w siebie nowiny dnia, wszystko, co się wokół działo, z pożądliwością tak wielką, że nic głodu wrażeń przesyć, ani nawet zaspokoić nie mogło. Szczęśliwe lata, które nie znały szarżyzny codzienności, straszne, tragiczne lata niepewności, co dzień jutrzejszy przyniesie.

Było wówczas coś, co nie zajmowało nam części życia, lecz jego całość, z czym wiązaliśmy ku jednemu wielkiemu celowi wszystkie dążenia, myśli, czyny. Tem była Szkoła, Polska Szkoła, na wygnaniu. W niej panowała wszechwładnie atmosfera oczekiwania Cudu i powrotu do Ojczyzny Całej i Wolnej. Ta właśnie atmosfera była naszą dźwignią duchową, która nie pozwoliła nam upaść, dzięki której doskonaliliśmy się wewnętrznie.

Zdobywaliśmy tam wiedzę nie z przymusu, lecz z głębokiego nakazu młodości sumień, które czuły i rozumiały, że tego czasu zmarnować nam nie wolno. Przeczucie mówiło, że nastąpią wypadki, które uniemożliwią powetowanie straty. To był nasz własny uczniowski kapitał, który wnieśliśmy do szkoły. Nasi nauczyciele i wychowawcy, wiedzeni podobnymi ideałami, umieli ten kapitał wykorzystać tak świetnie i stworzyli zeń tak wiele, że nie wiem, czy kiedykolwiek udało się wielkim pedagogom dać z siebie swym uczniom tyle, ile dali ci najwybitniejsi z pośród naszych ówczesnych przewodników.

Pamiętam! Stanęliśmy na bruku moskiewskim z końcem lata 1915 r. onieśmieleni, zadziwieni, ciekawość dziecięcą łącząc z dojrzałą troską o dzień jutrzejszy. Wśród obcych twarzy, w obcych murach zwiedzając miasto, jego piękne, surowe, groźne, uderzające ogromem zabytki, naraz spotykamy dawnych kolegów z Kraju. Takie kochane, bliskie istoty! Po wzajemnych przebogatych opowieściach o ostatnich przejściach — jedna myśl nam wybiega na usta: Co będzie ze szkołą? Czyż mamy zasiąść na jednej ławie z „Moskwiczem” o kacapskiej duszy wschodu, czerpać wiadomości z rosyjskiej krynicy, z zarodkami przyszłego rozkładu? Nie! Bo oto od ust do ust uczniowskich biegnie wieść



radosna, najpierw tajemniczo, potem rozgłosnie, że Polska Szkoła będzie! Już gdzieś tam przyjmują zapisy. Ba, będzie realna, będzie i filologiczna.

Pierwszego października 1915 r. akt uroczysty otwarcia Szkoły. Odbijające grozę pierwszych dni tułaczki, a stąd pełne surowej powagi przemówienie głównego współtwórcy Szkoły, p. Jana Lutosławskiego, zakreslające program działania nowej placówki: „pielegnowanie ideałów narodowych, tęsknoty i miłości dla Kraju”. Potem piękne przemówienie drugiego współtwórcy, późniejszego męczennika sprawy, ś. p. Marjana Lutosławskiego ze zwrotem w języku francuskim (!) do przedstawiciela zaborcy — kniazia Kurakina. Wreszcie pierwszy głos Wodza do przyszłych podkomendnych: przemówienie Dyrektora Kulwiecia o kierunku pedagogicznym szkoły i uzasadnionej zgoła zachowawczości w programie nauczania. A przytem to niezapomniane, tak śmiało wobec obcych Moskali brzmiące zdanie o potrzebie utrzymania w programie języka rosyjskiego, jako języka mocarstwa dla Polski ościennego. Rosło się słuchając! Dziś takie to zwykłe, wówczas takie bojowe, z pod serca każdemu wydobyte. Jaką chciał Dyrektor widzieć swą szkołę, taką się stała!

Pierwsze dni nauki. Spotykamy Rejaków, tych „od Chrzana”, „Rondla”, „Konopy” i tych, którym źle rozumiana miłość rodziców, wadliwa rozważa, a może niekiedy konieczność kazała przywdziewać rosyjskie gimnazjalne szynele! Obok Warszawiaków — Łodzianie, Piotrkowiczanie, Radomiacy i tylu, tylu innych. Nauczyciele — wielu nam nieznanych, a przecie bliskich — wnoszą piękne tradycje szkół polskich w Kongresówce. Wywiad uczniowski pracuje. Już o każdym z nich coś wiemy. Ten stawia pały i dwóje, tamten same piony i czwóry. Ten dużo krzyczy, krótko trzyma, a w głębi złote serce. Ów nienawidzi ściągania, podpowiadania, wymagania ma dla uczniów surowe, takie jakie sam sobie stawia. Zaczyna się wspólna praca.

.....

Szkoła rozpoczęła pracę!

Dziwna to była szkoła. — Nauka w niej nie była ciężkim codziennym obowiązkiem. Przykrość przymusu szkolnego odeszła wstydliwie na szary koniec. Ponad drobnymi niepowodzeniami przechodziło się do dalszych poczyną bez nudy i zniechęcenia. Trwała w niej radość młodzieńcza ze zdobywania nowych wiadomości i pogoda bez troski, wysiłków ku osiągnięciu celów, zakreslonych przez światłe kierownictwo.

Szkoła nie była drobnym i niewiele znaczącym fragmentem w życiu ucznia. Ogniskowała bez mała całość zainteresowań naszych. To, co zazwyczaj nosi nazwę zajęć pozaszkolnych, tam związane było ściśle ze szkołą. Pamiętam, że do drużyny skautowej w chwili jej tworzenia wstąpili niemal wszyscy koledzy z mej klasy. Prawda, nie wszyscy wytrwali. Lecz o tem, jak silny był to prąd, świadczy fakt, że naprztykład w skautowych ćwiczeniach gimnastycznych na wielkich pauzach brali na ochotnika udział licznie koledzy nieskauci. Wielkie wycieczki szkolne, prawdziwe rewje młodzieży polskiej wśród obcego otoczenia, opierały się na sprawnej organizacji harcerskiej. Harcerstwo zaś miało całkowite poparcie szkoły.



Obok harcerstwa rozwijały się organizacje szkolne. Te dawały nam pewne wyrobienie społeczne i zaspakajały zdrowe ambicje przyszłych twórców i uczestników zrzeszeń; a choć może niezawsze były żywotne i w działaniach swych owocne, przecie w życiu szkolnem odegrały rolę niemałą i pożyteczną. Dość wspomnieć przedstawienia szkolne, owe obchody listopadowe czy styczniowe, na które prócz starszej młodzieży przybywali rodzice, więcej może jeszcze od niej spragnieni żywego słowa polskiego. Taką podniosłość nastrojów przeżywamy już dzisiaj rzadko, zepsuci trwałą radością niepodległego bytu państwowego Rzeczypospolitej. Wówczas był to narkotyk dla serc, przeżartych tęsknotą, który dodawał sił w uporze wytrwania.



Lekcja historii w klasie ósmej.

Jak przez mgłę widzę dzisiaj przeszkody wielkie i tysiące drobnych trudności codziennych, jakie przewycieżał uczeń, by do szkoły dostać się, w niej wytrwać, prace zadane wykonać, obowiązki spełnić. Prawda, wysiłek społeczny był wielki, a pomoc i opieka zorganizowane świetnie. Ogół uczniowski rozumiał i oceniał wagę i znaczenie szkoły. Ale obok pierwiastka rozumowego ważniejszą jeszcze rolę odgrywało uczucie. Szkoła była czemś dziwnie pociągającym. Szło się do szkoły ochoczo: tam było środowisko, w którym oddychało się pełną piersią, znajdowało towarzystwo i zabawę. — Oto charakterystyczny szczegół: w razie wielkiego mrozu lekcyj w szkole nie było, lecz wszyscy uczniowie lepiej odziani i mieszkający bliżej, przybywali niechybnie,



była to okazja zebrania niejako towarzyskiego, legalnie próżniaczego dokazywania.

Panująca w szkole atmosfera polskości i patriotyzmu wysokiej miary przyczyniła się do szybkiej stosunkowo asymilacji bardzo różnych elementów, z jakich składał się ogół uczniów. Jak wiele wysiłków szło na spolszczenie tych przez los nieuprzywilejowanych, którzy dotychczas nie znali jeszcze szkoły polskiej! Muszę z mocą podkreślić, że w stosunku do kolegów, na których kultura rosyjska wyrwała silnie swe piętno, nie mieliśmy ani cienia niechęci, czy chłodu wyższości. Była dziecinna ciekawość poznania ich odmienności, ambicja szybkiego podporządkowania wpływom polskiego otoczenia, przyjazna pomoc w opanowaniu przez nich trudności językowych i naukowych. Prawdą jest, że na wykonanie normalnego programu szkolnego niejednorodność typu uczniów musiała wpłynąć ujemnie. Suma zdobytych wiadomości mogła być i była istotnie mniejszą od nabywanych w szkołach obecnych, lecz czyż może to na ocenie szkoły zaważyć wobec tej misji kulturalnej, jaką ona spełniła.

Jeśli myślę o rezultatach, jakie osiągnęła szkoła nasza, to widzę żywo obraz tych, co jej przewodzili, nią kierowali. Oni ją urobili, nadali charakter, wkładali w nią najlepsze swe myśli i wysiłki. Zastali pewne warunki, sprzyjające swej idei, i warunki te świetnie wykorzystali. Stworzyli szczególny naprawdę, odbiegający od przeciętnego stosunek szkoły do ucznia. Ich to dzieło, ich trud i znój. Tych, którzy żyją, i tych, co pomarli. Żyjący pracują nadal dla tych samych ideałów. Kontynuują dzieło poczęte na wygnaniu. Znają nas, widzą nasze dalsze poczynania, znają nasze uczucia dla nich, naszą wdzięczność. Tym, którzy zmarli, nie wszyscy zdołaliśmy swój hołd wyrazić. A byli tam postaci wielkiej miary. Wspomnę tych, co byli mi bliżsi.

Z najpierwszych pierwszy: ksiądz dr. Kazimierz Lutosławski, prefekt i inspektor szkoły, drużynowy III Drużyny Skautowej im. Henryka Dąbrowskiego, później Komendant Moskiewskiej Chorałki Harcerskiej. Człowiek, który promieniał swymi ideałami. Niepospolitość rozumu łączyl z wielkością serca, typ kapłana i nauczyciela z doskonałym wcieleniem harcerza, powagę i sumienność z dziwną łagodnością, wyrozumiałością i pogodą. Jak później polityce, tak wówczas poświęcał się niepodzielnie młodzieży. Duchem swym ożywiał wszystkie nasze poczynania. Był wodzem, który porywał słowem i czynem, zyskiwał zaufanie bezgraniczne. Nie spokałem w życiu człowieka, któryby wywierał tak wielki wpływ na otoczenie; wpływ ten w grupie najbliższych mu uczniów zakresił przyszłą drogę ich życia, przeżył Nauczyciela. Czar jego osoby działał cuda: zmieniał charaktery, pociągał doń tych, którzy mu byli pozornie najdalej. — Zabrała go młodzieży polskiej polityka. Niewdzięczna! Już nam Go nie zwróciła. Ciało nieustrudzonego ascety przeżarł wielki płomień czynu. Straciliśmy Przewodnika, którego nam nikt zastąpić nie zdoła.

Ś. p. ksiądz pastor Tomasz Tosio był moim nauczycielem i wychowawcą przez rok jeden; a przecież zdaje mi się, żeśmy żyli się przez lata całe. Człowiek niesłychanej zacności. Był dla nas szczery i otwarty. Rozumiał nas, nasze pragnienia i troski; we wszystkich poczynaniach byliśmy zawsze pewni jego poparcia. Pogodny, nie zrażał się temi drobnymi przykrościami, które często mimowoli



uczniowie sprawiają. Był pedagogiem z zamiłowania. Wzór obowiązkowości, wkładał moc pracy osobistej. By móc wykładać pewien przedmiot, dla którego szkoła nie mogła znaleźć na wygnaniu wykładowcy, studjował nowe dziedziny wiedzy i tak je posiadał, że służył nam wzorem. By ułatwić naszej garstce szybkie uzyskanie matury, poświęcał nam wszystkie wolne godziny na lekcje dodatkowe, zbierał nas i w niedzielę. Zagrzewał do wytrwania. Ma w sercach uczniów pamięć zawsze żywą i zawsze wdzięczną.

Ś. p. profesor Dąbrowski, świetny nauczyciel matematyki. Zachowawca w metodzie nauczania, systemem swym zmuszał nas do ciągłej i rzeczywistej pracy, wdrażał do ścisłego myślenia. Charakter nieskazitelny. Wydawał nam się wówczas surowym i wymagającym. Dla tych, którzy go pojąć chcieli, miał zawsze otwartą skarbnicę wiadomości. Jak żołnierz, który z dumą wspomina najchętniej tych zwierzchników, co umieli utrzymać go w polu w korbach żelaznej dyscypliny, tak w pamięci ucznia pozostał On, jako spiżowy posąg rzetelności, wiedzy i obowiązku.

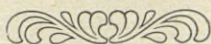
Obok kierowników, nauczycieli i wychowawców, współtwórcą Szkoły był ogół uczniów. W szeregach szkolnych nie brak było jednostek istotnie zdolnych. Liczba corocznych nagród i odznaczeń maturalnych była bardzo znaczna. Późniejszy udział wychowanców szkoły w walkach o utrwalenie bytu Państwa wypadł nad podziw! Niech świadczą o tem imiona tych, co zginęli, odznaki bojowe i uzyskane na froncie stopnie wojskowe tych, którzy powrócili.

Potem w życiu organizacyj akademickich spotykałem swych kolegów niejednokrotnie na stanowiskach przodujących. Dalszą próbę ich wartości da przyszłość.

.....

Dzisiaj ze znacznej już perspektywy spoglądam na moskiewskie czasy szkolne. Widzę i czuję jedno. Oto mimo przeżycia ciężkich chwil wygnania i tęsknoty do kraju, szczęśliwy jestem i wdzięczny swemu losowi, że dał mi w tak szczególnych warunkach życia przejść przez Szkołę naprawdę nieprzeciętną. Szkołę, która nietylko dała mi zasób wiedzy, ale i wychowała, urobiła charakter i wytknęła linię postępowania ku Dobru, które dzięki Niej łatwiej mi w życiu od zła i potworności odróżnić i ocenić.

Za to jestem Jej wdzięczny.



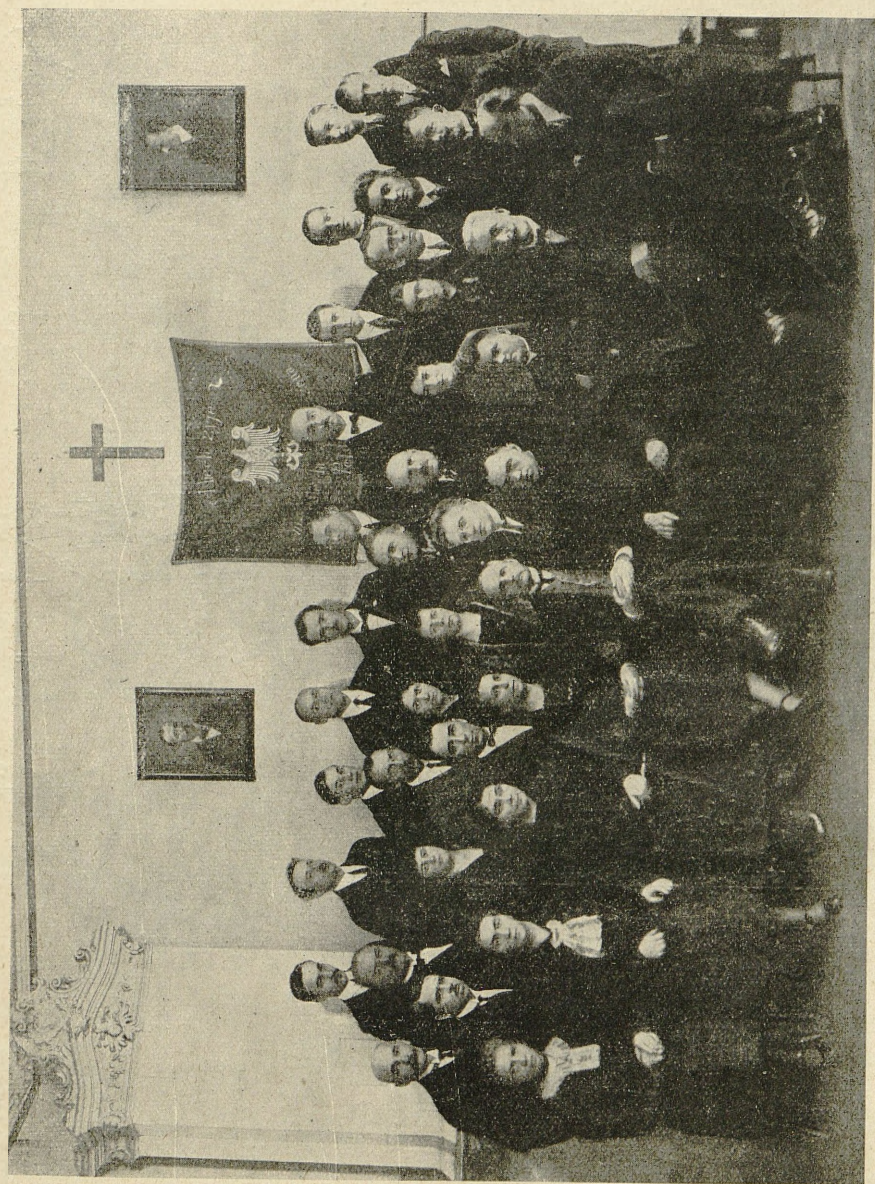


# KILKA SŁÓW O WYCHOWANIU I WYCHOWAWSTWIE W SZKOLE IM. ŚW. KAZIMIERZA

WŁODZIMIERZ TOPOLIŃSKI

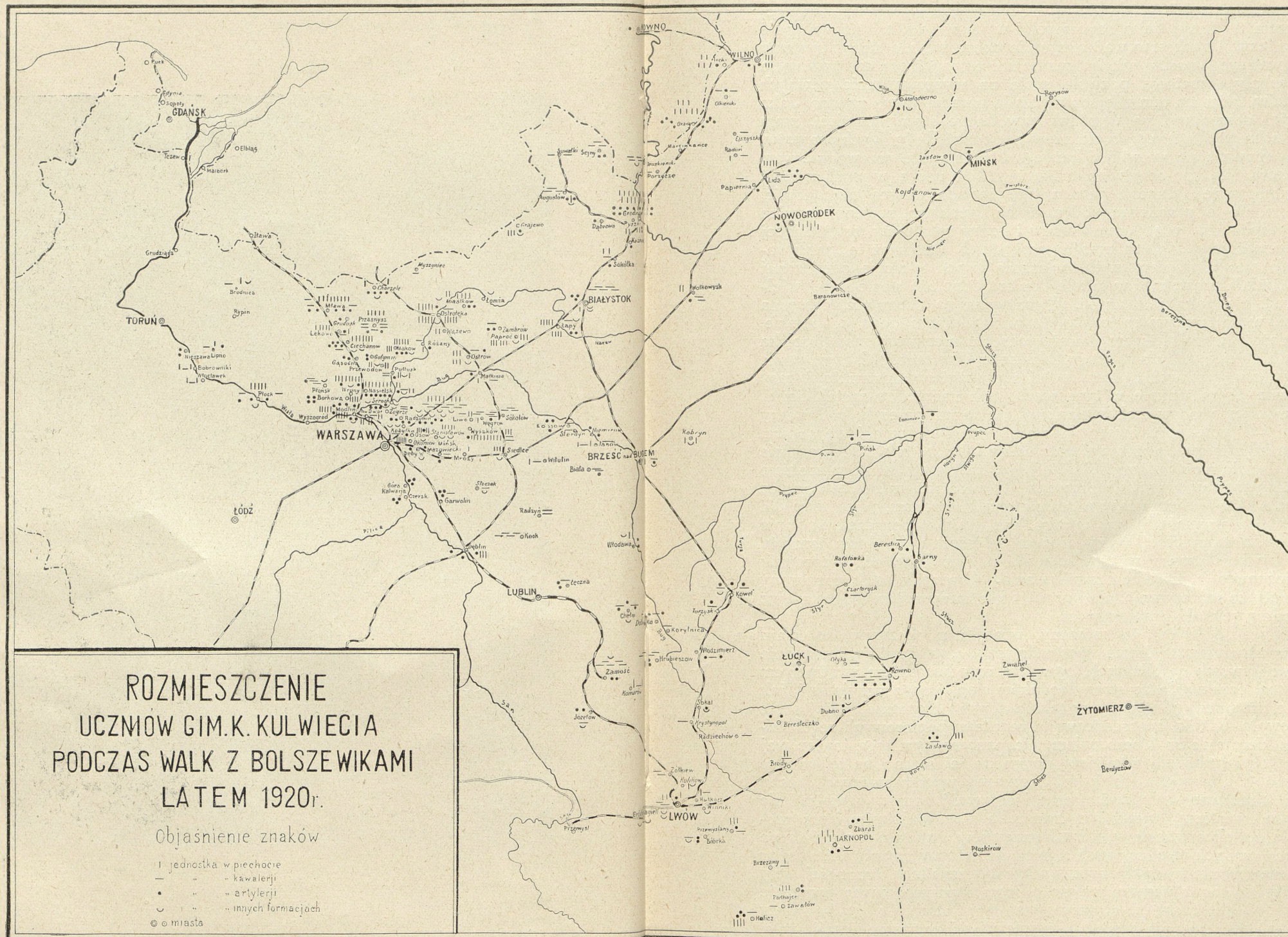
**W**IELE się pisze i mówi w ostatnich czasach o zadaniach i obowiązkach szkoły w zakresie wychowania, zbyt mały jednak w tej wymianie zdań i opinii bierze udział samo nauczycielstwo, na barkach którego owa zaszczytna misja spoczywa, i szkoła, której czynny aparat wychowawczy zawsze byłby ciekawym, a nierzadko cennym, przyczynkiem do przedmiotowego sformułowania wytycznych wychowania moralnego i obywatelskiego młodzieży. Ukazujące się od czasu do czasu monografie szkolne, mające na uwadze niewątpliwie dorobek naszej literatury pedagogicznej, winny najsilniej podkreślać, oczywiście z możliwie daleko posuniętym obiektywizmem, metody i aparat wychowawczy danego zakładu naukowego. Wówczas dopiero obraz, jaki czytelnikowi dać pragnie monografia, będzie żywy i pulsujący wewnętrzną treścią, czytającemu zaś ogółowi przyniesie pożytek przez odkrycie przed nim, źle lub dobrze funkcjonującej, ale podstawowej żywej komórki organizmu narodowego. Chociaż kryteria etyczne będą zawsze te same, to jednak sposób ich komentowania i wpajania w dusze młodzieży musi być różny i zawsze zależny od żywych ludzi, nie od litery regulaminu czy obowiązujących nakazów. Każda szkoła ma inny zespół wychowawców, innego dyrektora, czy kierownika, inne tradycje, zatem zależnie od tych indywidualnych czynników i fizjognomja jej, jako *szkoły*, ulega zmianom. Wychowawcą w szkole jest nie tylko jeden z pośród nauczycieli, komu powierzona jest opieka nad pewną klasą, ale każdy, kto czegokolwiek młodzież naucza, bo proces nauczania od wychowywania nie da się oddzielić, jeden i drugi stanowią organiczną całość. Szkoła tedy, mająca pewien stały zastęp pedagogów, a zwłaszcza stałego kierownika, posiadającego swój program wychowawczy, łatwiej stworzy pewien typ sobie tylko właściwy i dla czynników, którym wychowanie młodzieży leży na sercu, nieobojętny. Pierwszorzędnej wagi współczynnikiem w ogólnym obrazie systemu wychowawczego szkoły jest także młodzież, gdy stanowi skupienie o pewnej wyraźnej przewadze liczebnej jednego elementu. Więc młodzież, pochodząca wyłącznie z pewnej dzielnicy Rzeczypospolitej albo z za kordonu, młodzież miejska czy wiejska wnosi do szkoły pewne swoje cechy, swój temperament, który nagina, że tak powiem, do siebie metody wychowawcze. Jest bowiem w błędzie, kto sądzi, że przez wychowanie można duszy młodzieńca, albo dziecka dać wyraz, jaki się wychowawcy podoba. Szkoła, karcąc zło, a wpajając dobro, musi uwzględniać indywidualność ucznia; przez wychowanie budzi jego ducha, budzi chęć i wolę doskonalenia się, z gruntu nie przerabia, zadanie swoje uważa już za spełnione, gdy wydobędzie na światło dzienne i każe dominować, śpiącemu w każdej duszy ludzkiej, instynktowi dobra.





Personel pedagogiczny r. 1926.







Pracując od lat 9 w szkole dyr. K. Kulwiecia, a więc od chwili jej przybycia do kraju, jako nauczyciel i wychowawca miałem możliwość doświadczyć i zaobserwować wszystkie dobre lub złe strony systemu wychowawczego naszej szkoły, znając zaś z bezpośredniego zetknięcia inne szkoły i metody, pozwolę sobie na wyprowadzenie pewnych wniosków, które na tem miejscu możliwie przedmiotowo wyłożę. Jako materiał dowodowy, na wypadek zawodu ze strony pamięci, mam przed sobą wielką księgę protokołów posiedzeń Rady Wychowawców, które odbywają się we wtorki każdego tygodnia pod przewodnictwem Dyrektora. Zacznę od stwierdzenia, że szkoła nasza, w myśl założeń podanych wyżej, stanowi pewien typ, posiada własną fizjognomję, którą nadaje jej przedewszystkiem osoba Dyrektora, następnie pewien stały zespół Jego współpracowników i kadry młodzieży, rekrutującej się przeważnie z naszych kresów wschodnich. Młodzież ta, napływająca do szkoły w pierwszych zwłaszcza latach istnienia odrodzonej Polski, miała częstokroć w szkole dopiero odnaleźć siebie w tej wielkiej rodzinie, jaką jest naród. Wychowana na obczyźnie, otoczona ludźmi, w najlepszym razie obojętnymi dla wszystkiego, co polskie, młodzież ta w najbliższym nawet otoczeniu niezawsze mowę polską słyszała i, jeśli wniosła w mury szkolne wielką miłość Ojczyzny, nie wychowaniu domowemu, lecz raczej niespożytemu instynktowi rasy ją zawdzięczała. Szkole w tych warunkach narzucony został ciężki, choć wdzięczny obowiązek, ułatwiony tym razem przez ludzi i rzeczy otaczające, przekucia owego instynktu na świadomość narodową. Trzeba było tę młodzież uczyć patrzeć naokół i poznawać namacalnie niejako swoją nieświadomą dotąd tęsknotę za krajem. Krok za krokiem zespół wychowawczy szkoły prowadził tę młodzież ku Polsce poprzez semestry i klasy, ileż to razy w tempie przyspieszonym, gdy dojrzałość umysłu i ciała wołała o t. zw. maturę. Ten właśnie obowiązek ukazania polskim dzieciom ich ojczyzny, zrozumiał jeszcze w Moskwie, tam i tu potrafił wpeić swoim współpracownikom dyr. Kulwiec, przyrodnik i krajoznawca z zawodu i zamiłowania, obowiązek sobie narzucony ujął nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie, zawsze gorąco popierając w szkole wycieczki krajoznawcze.

Młodzież, o której tu mówimy, wracała z obczyzny do kraju w warunkach szczególnych, postradawszy częstokroć w huraganie rewolucji swoich najbliższych, ogarnięta przedwczesnem zwątpieniem i goryczą, oczekiwała ze strony rodaków cieplejszego przyjęcia i, jak wiem z ust samej młodzieży, w szkole dopiero to potrzebne jej serce znajdowała. Szkoła, nieoszańcowana reżymami papierowych regulaminów, z kierownikiem i personelem, nieopancerzonym togą jowiszowej grozy, łatwiej okazała młodzieży potrzebne jej serce i na tej drodze znalazła źródło swoich inspiracji i wskazań wychowawczych. Ażeby jednak okazywane młodzieży serce i gotowość pomocy, gdy zajdzie potrzeba, ze strony szkoły nie graniczyła z mazgajstwem i nie prowadziła do lekceważenia szkolnych przepisów, należało znaleźć drogę do serc i czułych młodocianych sumień. Wrodzony nawet takt i umiar wychowawcy nie pozwoli przewyciężyć wszystkich trudności, gdy nie przyjdą mu z pomocą pewne zdrowe i wypróbowane zwyczaje szkolne. Bezpośredni i szczery wzajemny stosunek wychowawcy i ucznia, jeśli nie ma nieprodukcyjnie tkwić w sferze teorii, musi



znaleźć swój wyraz w częstym obowiązkowym obcowaniu. Im rzadziej wychowawca i wogóle pedagog występuje w roli stróża praw i przepisów, albo, jak chcą niektórzy, w roli dozorczy „nieletnich przestępców“, tem owocniejsze będzie jego obcowanie z młodzieżą dla celów wychowawczych. Różne są drogi pozyskania, niezbędnego dla kierowania młodzieżą, jej zaufania. W naszej szkole doskonałym środkiem okazały się, wprowadzone od niepamiętnych dla autora czasów, tygodniowe konferencje wychowawcze na dowolny temat. Omawiane na tych konferencjach w sposób właściwy zagadnienia, związane z ogólnymi zasadami moralności, z regulaminem szkolnym, z dziejową dla państwa chwilą bieżącą i t. p., stwarzają najkorzystniejszy grunt dla



Defilada hufca szkolnego przed dyrektorem dn. 12 maja 1926 r.

bezpośredniego kontaktu wychowawcy z młodzieżą. Niewolno wychowawcy w obawie li tylko jałowego mędrkowania nie wysłuchać opinii poszczególnych uczniów w klasie (mówię wciąż o klasach starszych, od 6 do 8), wypowiadających się w zakresie danego zagadnienia, gdyż, przez zamykanie im ust samowolnie odsuwa od siebie, niejednokrotnie nazawsze, moment ich poznania. Celowe również okazały się składane co tydzień wychowawcy piśmienne raporty uczniów dyżurnych z przebiegu wypadków, skupiających na sobie uwagę klasy w danym tygodniu. Gdy wychowawca taktem i umiejętnością wpoi w swoich wychowanków niezbędną w takich raportach szczerłość i przedmiotowe ujmowanie wypadków (o co bodaj najtrudniej), stają się one nieocenionem ogniwem zbliżenia między jedną i drugą stroną. Nawet dosadna nieraz, byle tylko trafna, ocena zarządzeń szkoły albo stosunku klasy do jakiegoś przedmiotu, nie powinna zrazić wychowawcy, dając przeciwnie możliwość usunięcia wskazanego braku albo wytłumaczenia autorom raportu i klasie, dlaczego są w błędzie.

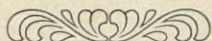


Z instytucją dyżurnych w klasie wiąże się fundamentalna zasada pracy wychowawczej w szkole im. św. Kazimierza — a tą jest zasada odpowiedzialności zarówno jednostki jak wychowywanego zespołu. Często jeszcze i dzisiaj po tyloletnim doświadczeniu zdarza się słyszeć zdanie, że instytucja dyżurnych przejęta została ze szkoły zaborczej i kryje w sobie pierwiastek demoralizujący pod postacią obowiązku denuncjowania kolegów. Każda rzecz, oglądana w krzywym zwierciadle, da nam obraz spaczony. Gdy od dyżurnych nie będziemy wymagali denuncjacji, lecz porządku w klasie, karząc ich za niedbalstwo, wówczas umiejętnie rozbudzone uczucie koleżeństwa w danym zespole młodzieży nie pozwoli i kolegom dyżurnym narażać ich lekko-myślnie na naganę i powstrzyma klasę od wybryków. Rzadkie bardzo, jak o tem mówią protokoły posiedzeń Rady Wychowawców, są wypadki w naszej szkole nieprzyznania się samego ucznia-winowajcy do popełnionego wybryku. Działa tu przede wszystkim skierowane przez wychowawcę na właściwą drogę poczucie koleżeństwa obok zaufania i wiary w swego kierownika moralnego, że potrafi przy wymiarze kary ocenić szczerze „mea culpa” delikwenta. Działanie grozą i postrachem nie daje zazwyczaj dobrych rezultatów, zaś jako metoda wychowawcza stosowane być może, zresztą oględnie, w wypadkach uporczywości i niekarności o podłożu patologicznym, które w normalnych stosunkach szkolnych nie powinny być notowane, jako wchodzące w zakres działalności szkoły specjalnej. Gdy mowa o wykroczeniach, pewne światło na tę sprawę rzuca fakt, że do najcięższych przewinień w naszej szkole należy palenie papierosów. Tłumaczy się to szczególnie energiczną postawą wobec rzeczzonego nałogu samego Dyrektora, zasadniczego przeciwnika palenia, stawiającego sprawę poważnie na podłożu nie tylko wskazań higieny, ale przede wszystkim moralności. Uczeń, przychwycony in flagranti, w miejscu, nie zawsze dla oka wychowawcy dostępnym, poraz pierwszy zostaje usunięty ze szkoły z prawem starania się o powrót do szkoły. Wówczas jednak składa uroczyste przyrzeczenie, że palić więcej nie będzie, rodzice zaś, gdy ich warunki materialne na to pozwalają, odpłacają część wpisu za niezamownego i wzorowego ucznia w szkole. Zasada powyższa ma i ten walor wychowawczy, że wprowadza potrzebną kontrolę domową w użytkowanie pieniędzy, które dysponują dzieci. Palacz jednak „recydywista” usuwany bywa ze szkoły bezapelacyjnie. Nie wątpię, że postawienie równie mocno tej sprawy przez wszystkie szkoły średnie przyczyniłoby się wiele do wyćpienia nałogu palenia, zgubnego zwłaszcza w okresie fizycznego i umysłowego dojrzewania młodzieży. Z poruszoną wyżej zasadą odpowiedzialności jednostek, bądź wybranych, bądź mianowanych z pośród uczniów, wiąże się zasada ich współpracy, jako pewnej gromady i całości organizacyjnej. Występujące tu i ówdzie po szkołach t. zw. samorządy młodzieży, o ile mają zawierać niezbędną treść wychowawczą i funkcjonować z pożytkiem, muszą być oparte, jak na fundamencie, na tych dwu zasadach. I chociaż z nazwy samorząd w naszej szkole nie jest dotąd wprowadzony, to jednak zasada odpowiedzialności i współpracy organizacyjnej wśród młodzieży obowiązuje i przez Dyrektora i wychowawców stale jest przestrzegana zarówno w życiu umysłowym (wzajemna pomoc w naukach, koła samokształcenia, czasopisma naukowe i literackie), jak



szkolnem, społecznem i fizycznem (zdobienie własnej klasy, wspólne przestrzeganie porządku, solidarne poparcie pewnych celów państwowych i społecznych, inicjatywa w tym kierunku, harcerstwo, wyszkolenie wojskowe i t. p.).

Kończąc ten pobieżny zresztą obraz pojmowania zasad wychowawczych w szkole im. św. Kazimierza, nie mogę pominąć milczeniem sprawy, doniosłej zwłaszcza dla szkolnictwa prywatnego, dzielonego przez władze na różne kategorie, często na podstawie czysto zewnętrznych walorów danego zakładu naukowego. Mam tu na myśli stosunek do młodzieży szkoły, w płaszczyźnie gatunkowania jej przez władze. Nieszczęsny podział, który być musi, ale w wykonaniu zostawia wiele do życzenia, usuwa w szkole prywatnej młodzież, dla której szkoła wszak istnieje, jakgdyby na plan dalszy, podkreślając piękne decorum i świecidełka pod postacią najnowszych pomocy naukowych, pokazywanych za lustrzaną szybą szafy, gabinetów doświadczalnych, wyposażonych niemal na wzór wyższych uczelni i t. p. Młodzież nie może się czuć w szkole gościem, musi mieć do niej przywiązanie i dla niej kult, a tego szkoła nie osiągnie, gdy nie zaszczerpi w swoich wychowankach wiary, że oni są całej pracy szkolnej osią, alfą i omegą, nie zaś taka lub inna opinia władz. Młodzież ma tylko jedną władzę — swoich wychowawców w domu i w szkole.





# UDZIAŁ UCZNIÓW GIMNAZJUM K. KULWIECIA W WOJNIE 20 ROKU

CZ. CESARZ

„Idziem do Ciebie, Ziemio, matko nasza.  
Coś z pierworodnej zrodziła nas gliny  
Idziem do Ciebie, rzesza Twoja płasza,  
Powracające do gniazd swoich syny”.

**W**OLAŁIMY wszyscy z utęsknieniem wielkiem, wędrując po rozłogach i ścierniskach polskiego życia — niedoli, pielgrzymi, zmierzający do wolnej kiedyś w przyszłości Polski.

I gdy na zegarze Sprawiedliwości Dziejowej wybiła wyznaczona godzina, a udręce naszej nastał kres i przyszło Wyzwolenie, to jeszcze raz wróg nasz stary, ten od wschodniej ściany, targnął się na nas, by połknąć i naszą wolność.

Lecz wstała wraz z nami starszymi i poszła bronić Ojczyzny, krew z krwi i kość z kości naszej, — umiłowana nasza młodzież

Poszła i — zwyciężyła.

Pamiętamy wszyscy tę sławną epopeję uczniowską z 1920-go roku...

Nie brakło tam wychowanków i naszej Szkoły. Owszem — poszło ich w te boje aż 552. I okryli się chwałą. I część ich poległa śmiercią walecznych. I wolność a ziemię krwią i ranami a śmiercią swoją wraz z trudem innych wywalczyli Narodowi.

Na nasze zlecenie, po powrocie z wojska, spisali swoje wrażenia. Urywki z nich podajemy w tem miejscu.

Tchną one bezpośredniością przeżyć ich autorów. Są szczerem odzwierciedleniem prawdy młodzieńczych gorących ich dusz.

Nie mamy pretensji, by w naszej gromadzie miało to wszystko dziać się wyjątkowo jakoś najlepiej, by nasi uczniowie mieli okazać więcej od innych bohaterstwa czy brawury. Nie o to tu idzie. Przy nadarzonej dziś sposobności, po kronicarsku konstatujemy tylko fakty, zaobserwowane wśród naszych elewów.

Przysłuchajmy się tym wynurzeniom zasłużonych młodocianych obrońców Ojczyzny. Udzielamy im wszędzie tu samym głosu.

Więc będzie ich cechowała zupełna gotowość ofary z siebie dla Ojczyzny:

„Opuściłem — pisze jeden z nich — mój dom rodzinny i udałem się na miejsce zbiórki. Po paru dniach niewyspania, ciągłego wartowania przychodziły nawet chwile zniechęcenia do dalszej jazdy. Ale wtedy zjawiała się w głowie myśl, jak błyskawica szybka, ale jasna, która uprzytomniała mi, dla kogo ja, właściwie, ponoszę te nieznaczące, stóskowo trudy, dla czyjego dobra przerwałem sobie ciche, spokojne życie na wsi, by przenieść się w to nieznane dla mnie dotąd życie.



pełne przygód i wrażeń. To wystarczało. W kości młode wstępowała siła, w umysł zapalał, w serce większa jeszcze miłość do tej ukochanej, wymarzonej jeszcze w latach dziecięcych Wolnej Ojczyzny. Doznawałem nawet wówczas pewnego uczucia, chęci zemsty nad wrogiem, który o tyle nieszczęść kraj nasz przyprawił”.

„Czułem i nieraz myślałem, że za tę Ziemię chętnie oddałbym życie”, pisze drugi i tak zamyka swoje sprawozdanie: „pracy mam teraz wiele, bo nie powtórzyłem przez wakacje tego, z czego byłem słaby, ale cóż,— Ojczyzna zawołała i poszedłem, wierny hasłu:

„pójdziem, gdy zagrzmi złoty róg!  
Tak nam dopomóż Bóg!...”

Trzeci pisze: „chciałem jaknajprędzej być zaszczyconym tytułem żołnierza polskiego, by móc wyruszyć na pozycje i w ten sposób przyczynić się choć w części do zapisania czynów młodzieży polskiej w dziejach ojczystych, walcząc w obronie Wolności i Ojczyzny. Tę bowiem tradycję dziedziczymy po praojcach naszych, którzy, walcząc za Polskę z pieśnią pobożną na ustach, krew swoją nieśli w ofierze na ołtarz Ojczyzny”.

Inny: „miałem pracować w biurze, jako pisarz, — to wydało mi się najgorszem, co mogło mnie spotkać...”

Jeszcze inny: „pewnego tedy poranku wsiadłem na konia i pojechałem na stację, by spotkać się z dziadkiem, mającym przejeżdżać do Krakowa. Zbliżając się ku stacji, usłyszałem muzykę, grającą mazurka Dąbrowskiego. Na stacji ujrzałem pociąg z przejeżdżającymi skautami do Warszawy w celu zaciągnięcia się w szeregi armii polskiej. Uczuciowy z natury, mało się nie rozplakałem, że oni już są czynni, a ja — cywil. Zawróciłem konia i pojechałem do domu.

Nazajutrz siedziałem już w pociągu, idącym do Warszawy. Przybywszy do stolicy, ujrzałem bardziej niż zwykle rozgorączkowanych przechodniów; zdawało się, każdy jest zamysłony o czemś bardzo ważnem; rozchwytywano naprzemian gazety. Wszędy widniały biura werbunkowe z napisami: „wszyscy na front”.

Patrząc na to wszystko, czułem się coraz bardziej podniecony. Czułem jednocześnie, że poczynam słabnąć, — paliła mnie gorączka.

Udałem się najpierw do Szkoły po świadectwa. W Szkole — kancelarja była zamknięta, a wychodzący woźny kazał mi przyjść za „małą godzinkę”. Czułem żar w piersiach i, by odpocząć, usiadłem na schodach i ani spostrzegłem, jak zasnąłem. Zbudził mnie ktoś, — była 4-ta godzina po południu. Na własnych nogach, bo nie o własnej sile zawlokłem się do kancelarji. Zastałem p. Inspektora i, otrzymawszy świadectwo, wyszedłem. Dokąd jednakże się udałem, nie wiem. Pamiętam, że zbudziła mnie gospodyni mego dawnego kawalerskiego mieszkania i oświadczyła, że muszę czempredzej wyjeżdżać do domu, gdyż jestem bardzo chory. Ubrałem się i pojechałem na dworzec. W wagonie otworzyłem okno i wychyliwszy głowę, zacząłem chcieć wciągać powietrze do płuc.

Podróż stawała mi się coraz bardziej uciążliwa, gdyż, stojąc z powodu braku miejsc, traciłem przytomność. Wyszedłem z trudem na pomost i usiadłem na stopniach wagonu. Byłem w malignie. Wtem gwałtownie coś mną szarpnęło, ciemno zrobiło mi się w oczach, —



zamdlałem. Dzień był już, gdy ocknąłem się. Leżałem w kałuży, obrosłej trawą. Usiłowałem się podnieść, lecz nie mogłem. Czułem straszny ból w krzyżach i głową nie mogłem prawie poruszać. Poleżałem jakiś czas i, wyteżywszy wszystkie swe siły, podniosłem się. Zdaje się, że przez tę noc odzyskałem przytomność, i wzdłuż toru kolejowego wyruszyłem w drogę. Po godzinie doszedłem do stacji Otwock. Tu poczekałem koło 3-ch godzin na następny pociąg, aż wreszcie szczęśliwie powróciłem do domu.

Nie mówiąc nic o tym wypadku w domu, nagliłem matkę, by czemprędzej szykowała mnie do wojska. Wreszcie nastąpił dzień (20 lipca) mego wyjazdu. Nieczuły na wszelkie pożegnania, uściski rodzicielskie i t. p., złościłem się, że w stosunku do swych kolegów, byłem prawie o tydzień opóźniony.

21-go lipca stałem już w szeregach 5-ej baterji ochotniczej 7 p. a. c. w Częstochowie, śpiewając Rotę i modlitwę wieczorną wraz z innymi“.

Wreszcie taki ciekawy sposób, w jaki jeden z nich dostał się do wojska:

„Było to dnia 13 lipca o godz. 5 p. p. Do samych koszar nie mogłem się dostać, ani oficjalnie zaciągnąć informacji, ale za to — przez okna zobaczyłem, rzeczywiście, dużo kolegów. Zawołałem na jednego z nich i zacząłem się dopytywać, w jaki sposób można zapisać się do tego pułku. Okazało się, niestety, że do 205 p. już ochotników nie przyjmują, pułk jest już sformowany i po paru jeszcze dniach ćwiczeń ma wyruszyć na front. To ostatnie — najwięcej mi przypadło do gustu i postanowiłem za wszelką cenę tam się dostać.

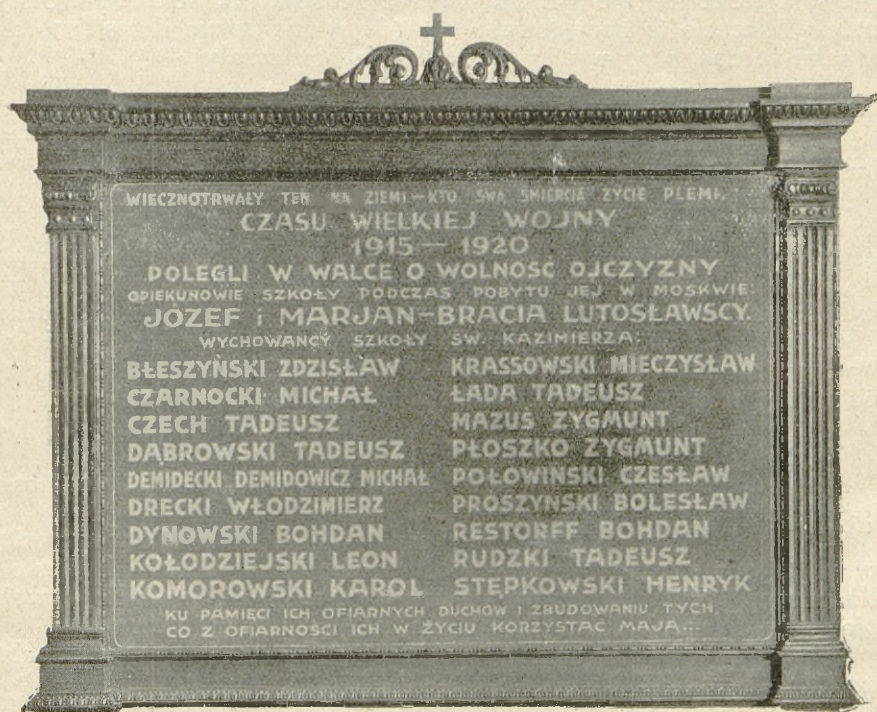
Tadek Tw., harcerz z naszej drużyny, którego tam znalazłem, sprytna bestja, poradził mi, żeby wprost wleźć przez okno do koszar, a potem już się z sierżantem — szefem wszystko załatwi. Tak też zrobiłem. Wleźć przez okno do koszar — to było głupstwo! W parę sekund byłem już między kolegami. Zaraz była zbiórka na apel, po której natychmiast poszedłem do kancelarji pod opieką paru chłopców, aby użyć ich protekcji. Rzeczywiście, sierżant nie robił wielkich trudności. Na zapewnienie chłopców, że jestem „morowy chłop“, wciągnął mnie na listę 5 drużyny 1 kompanji. W ten sposób zaciągnąłem się do wojska“.

I gdy już poszli i zostali żołnierzami, poważny nastrój i stały zapał do Czynu nie opuszczał ich i potem. Oto zwierzenia, dające temu świadectwo:

„Pamiętam wyjazd na front. Pod wpływem tej wiadomości snoważnieliśmy bardzo. Milcząc, pakowałem do chlebaka bieliznę i przeglądałem rymstunek. Uczułem, że się we mnie tworzy przewrót. Teraz dopiero przyszło mi na myśl, że przecie opuszczam dom i rodzinę na niewiadomo jak długo, że może nie wrócę. Stała mi przed oczyma zanosząca się od płaczu matka, która też dopiero teraz prawdopodobnie zrozumiała, że ja już dla nich stracony na długi czas, że już jej prawo do mnie zniknęło, że ja mogę być dla niej już tylko jednym z tych setek żołnierzy, którzy stanowią wartość jedynie w masie. Miałem i ja to samo uczucie, które się spotęgowało jeszcze w czasie przemowy porucznika przed wyruszeniem. Chwila była nastrojowa.



Ciemny korytarz, w którego końcu paliła się lampka, był dla nas salą zborną. Staliśmy wszyscy skupieni, nie mówiąc ani słowa; czasem brzęknął bagnet o menażkę, czasem ciche westchnienie wyrwało się z czyichś ust. Miałem jakieś nieokreślone uczucie, pomieszane ni to z żalem, ni to przygnębieniem, którego pokonać nie mogłem. Porucznik, ubrany po bojowemu, bez odznak i gwiazdek, niczem się od nas nie różnił, miał wyraz twarzy poważny i skupiony... „Od tej chwili, — przemówił, — nie macie domów, ani rodziny, ja dla was — ojcem, sierżant — matką, pole lub grób — domem. Będziecie znosić niehumanitarne trudy i męki, od których padać będziecie, — głód, znój,



Tablica pamiątkowa w sali szkolnej ku czci poległych.

choroby, kule, granaty, kartacze, szrapnele, brudy, robactwo, wszystko musicie przetrwać z ochotą, z zapalem, boście ochotnikami, boście się na to zgodzili; niejedyn z was będzie żałował postanowienia, ale już zapóźno; szlście na wojnę, — będziecie ją mieli taką, o jakiej nikt nie słyszał!... Dreszcz przeszedł po mnie, bom pierwszy raz pomyślał, że może nie wydołam, może nie wytrzymam, może pożałuję tych dni spokojnych w domu, zwątpię o siłach, stracę wiarę, a wtedy co? Boże zmiłuj się! Boże nie dopuść!... Daj, bym wytrzymał, daj, bym nie upadł na duchu, bym przetrzymał i wrócił... Tak!... bym wrócił!... Może to tchórzostwo, może właśnie ten upadek ducha, alem o tem myślał... Nie znaczyło to, że się potem ukrywałem przed niebezpieczeń-



stwem, bo rywalizacja w hazardzie zbyt była u nas wielką, jednak zawsze miałem w myśli tę chwilę powrotu. Chwilę wielce radosną, a napędlającą nas przed czasem dumą. Nie doczekałem się jednak, bom powrócił jako niedołężny, zbiedzony kulas wojenny, którym zajmują się szpitale na tyłach.

Przemowa porucznika wywarła na mnie ogromne wrażenie. Uczułem, że już utracił ostatecznie swą indywidualność, że jestem jedynie marnym pionkiem w tej wielkiej grze wojennej, że sam przez się nie stanowią nic, że w oczach dowództwa stanowią wtedy jedynie wartość, gdy razem z kolegami tworzę pewną jednostkę bojową, że już mi teraz nic nie powinno łączyć ze światem, bo do niego nie należę. Uczucie to spotęgowało się, gdy rodzicom nie pozwolono się z nami żegnać, z obawy, by się szyki nie pomieszały".

Dziwią się jednak sobie młodzi bohaterzy i podkreślają niejednokrotnie fakt, że są oni przecież tylko dziećmi jeszcze.

„Zabrzmiiała potężna pieśń, którą śpiewało 150 tych, którym potrzeba było jeszcze opieki, a którzy już poszli na bój za Ojczyznę” — pisze jeden.

„Może polegnę, może trafię do niewoli... Ciężko było na duszy, nie było komu się zwierzyć z niepokoju, do kogo się zwrócić po otuchę. Myśl biegła ku Warszawie, ku matce... Tam by się znalazła pociecha i wsparcie, tam bym znalazł to, czego brak mi było przez cały czas pobytu na froncie — zrozumienia i wyrozumienia"... — kwili drugi.

Nic to!... Bo ożywia ich stale, mimo wszystko, własna podniosła ideologia.

Oto dowód: „Jeżeli komu, to właśnie żołnierzowi najłatwiej postępować zgodnie z maksymą — „salus reipublicae suprema lex esto”. Na pozycji tyle się przeżywa wrażeń, że o sobie się zapomina i swoje „ja” schodzi na plan drugi”, — pisze taki młodociany wiarus.

Przyznają wszakże, że brali pochop do Czynu i z postawy społeczeństwa.

„Jakże drogą nam była Warszawa w końcu lipca i w sierpniu!... Nie płochą syreną, ale lwicąmy widzieli ją wtedy!... Odruchowi bowiem całego społeczeństwa zawdzięczamy wlanie otuchy w odstępujące szeregi wojska przez stworzenie Armji Ochotniczej oraz zapewnienie jej moralnej opieki i przeświadczenia, że za nią stoi zwarty mur mężnej ludności cywilnej. Odrazu też inny charakter przybrał nasz front; nowe oddziały szły z ochotą do boju; kokarda zaś biało-amarantowa, przypięta do piersi ręką nadobnych Warszawianek w biurze zaciągowem, — oznaczała spełnienie obowiązku. Wszystkie warstwy przyczyniły się do odniesienia zwycięstwa, ale ze szczególnem uznaniem należy podkreślić udział w niem Polki-kobiety. One stanęły na wysokości zadania. Nie było bowiem rodziny, któraby nie miała kogoś drogiego w wojsku, a zarazem narażonego na niebezpieczeństwo. Jednak matki i siostry nasze potrafiły nie tylko zachować względny spokój, ale i wlać otuchę w najbliższe przynajmniej otoczenie. Niewiasta polska doby obecnej okazała się godną swoich pra-



babek, z dumą możemy powiedzieć, że postąpiła, jak owa Rzymianka, która, żegnając syna, udającego się na wojnę, wskazując mu na tarczę, oświadczyła: „vel cum hoc, vel super hoc”!

A jakże trafnie jeden z nich przeprowadza kontrast pomiędzy motywami akcji bolszewickiej, a naszej!

„Za nimi — czytamy u niego — szły kulomioty obcych narodowo „komisarzy”, za nami zaś, zdawałoby się, że nie było nikogo, ani jednej nawet rezerwy, a jednak, gdy któryś z nas głowę obrócił, w mrokach nocy ujrzał oczyma duszy świetlaną postać Ojczyzny, zasmuconą, z wyciągniętymi ku nam rękami, — i serce mu bardziej zabiło, mocniej chwycił karabin, kokardę ochotniczą poprawił, wyskoczył z okopu i naprzód w tyraljerę”!

Teraz zobaczymy, jak ci uczniowie świetnie czują się w środowisku specyficznie wojskowym.

„Cieszyliśmy się — pisze taki „wiarus” — z obrzydliwej zupy, która miała imitować zupę ryżową, cieszyliśmy się, że podczas ćwiczeń deszcz pada, że instruktor „pierun” — poznańczyk wymyślał nam jak dorożkarz, — bo to są nieomyślne symptomy wojskowości i dowód zerwania z przesadami „cywilów”...

A jaka to była wesołość, beztraska niefrasobliwość wśród tej młodej braci, zainteresowanie wielkie wszystkim tem, co związane było z ich nowym zawodem!

Dano im, na przykład, umundurowanie i karabiny, więc:

„radość z tego — piszą — i zamieszanie było gólne. Trzaskano zamkami, zaglądano do luf, wachano oliwę, jednym słowem, zaabsorbowanie było ogromne. Wiara się do tego stopnia rozochociła, że wkrótce zabroniono nam ruszać karabinów bez wyraźnego rozkazu, boby się pokaleczono wskutek zbyt gorliwej szermierki na bagnety, którąśmy z zamiłowaniem uprawiali. Przebierając się w mundury, rozprawiano ciągle o karabinach, o ich wadach i zaletach, każdy broił swego twierdzenia, drwiono, dowcipkowano, było ogromnie wesoło. Prawdziwy szal wesołości ogarnął nas, gdyśmy się nawzajem oglądali. Nie miałem pojęcia, by mundur mógł tak zmienić postać i wyraz twarzy kolegów, — z trudem mogłem ich poznać. Zniknęła pstrokaczna ubrań i czapek, koszary przybrały barwę jednolitą, którą jednak ożywiły kokardki ochotnicze. Tej nocy nikt się nie rozbierał, spaliliśmy w mundurach, omal, że nie w czapkach.

Dwa dni potem zawrzało wskutek sensacyjnych wiadomości, które krążyły z szybkością błyskawicy po kompanjach. Wszelkie szczegóły były z zasady sprzeczne, wszyscy jednak powtarzali zgodnie, z radością i namaszczeniem — „idziemy w pole”. Nareszcie miały się ziścić nasze najgorętsze pragnienia, pragnienia, datujące się od chwili wstąpienia do wojska. Skończyła się niepewność i oczekiwanie, bo nie natośmy zużywali energii i zapal, by siedzieć w koszarach.

I aczkolwiek poszli na tę wojaczkę niekompetentni, nieletni nieraz chłopcy, to jednak w wielu razach dali oni przykład celującej zaradności, o czem świadczy choćby taka historia:



„W końcu przyszedł dzień, że włożono na mnie obowiązki szefa kompanji. Nie chciałem przyjąć i wykręcałem się, jak tylko mogłem, wiedząc, że ta posada nie jest u ogółu żołnierzy zbyt adorowana. Ale cóż! Rozkaz. Nie pomogły żadne dowody i wywody, tembardziej, ży byłem lubiany w kompanji. Należało pogodzić się z losem i zaka-  
sać rękawy do roboty, bo gospodarka była, pożał się Boże, jak pro-  
wadzona. Zacząłem nie od ludzi, ale od zwierząt. Pięć koni zdechło  
za czas pobytu mego poprzednika. Znałem się na koniach, jak ślepy  
na kolorach. Ale od czego głowa, w niej rozum. Więc usunąłem zaraz  
wszystkich dotychczasowych harcerzy — furmanów, których rekru-  
towano jak i innych w kompanji, a co za tem idzie, — mających nie  
więcej wiadomości o koniu odemnie. Na ich miejsce wyznaczyłem  
żołnierzy starych, synów gospodarskich. I, o nieba! Po paru dniach  
już widocznym był stan polepszenia. Z tą samą bezwzględnością po-  
konałem inne braki. Co prawda, — ciągle zajęty kompanją, nie mia-  
łem czasu na resztę spraw osobistych i społecznych, — nie miałem  
czasu nawet spać w nocy. A czułem się jednak pomimo wszystko do-  
brze — jak nigdy dotąd”.

.....  
Często jednakże w tem ich życiu w tak zmienionych warunkach  
bywało, że nie stąpali po różach.

„Dał się nam bardzo we znaki stosunek żołnierzy poborowych,  
podoficerów a nawet i oficerów — do ochotników. Stosunek ten był  
wysoce nieprzychylny: nietylko nie miano dla nas żadnych wzglę-  
dów, które nam się zresztą nie należały, ale uważano nas za intru-  
zów, za „cywilbandę”, za element zupełnie do wojska niezdatny”.

Inny zwierza się: „stosunek poborowych do ochotników był wręcz  
wrogi, posadzano nas wprost o to, że przedłużamy wojnę” i na każdym  
kroku poborowi niechętnem okiem spoglądali na ochotników, wyśmie-  
wając się, nazywając „paniczami” i wysyłając „do mamusi”; szcze-  
gólnie dawało się to odczuć u pp. kaprali, plutonowych i starszych  
żołnierzy. To też niejednokrotnie dochodziło do kłótni i ostrej wy-  
miany zdań. Ochotnicy jednak starali się zachować spokojnie i nie  
dawali bynajmniej powodu do tego”.

Albo znowu: „niezmiernie przykrą stroną pobytu w Poznaniu były  
też stosunki z Poznaniakami, którzy są bardzo nieżyczliwie i niechęt-  
nie usposobieni do „kongresiaków”, a szczególnie do „Warszawiaków”.  
Dawali nam to odczuć na każdym kroku i przy każdej sposobności  
i specjalnie nas tylko prześladowali. W imię jedności narodowej sta-  
raliśmy się zbliżyć do nich i utworzyć stosunek braterski, przyjazny,  
jednak wszystkie nasze usiłowania spełzły na niczem, — stosunki  
między poznaniakami a nami, jak były, tak i pozostały nadal ostre  
i naprężone. Poznańczycy uważali się za lepszych i wyższych kultu-  
ralnie od mieszkańców Królestwa i z zasady krytykowali. Bolesnem  
było patrzeć na ten antagonizm dzielnicowy, po połączeniu wszystkich  
zaborów w jedno Państwo. Ciekawe były ich przemówienia. Jeśli, np.,  
który z szeregowców „zadekuje się” od ćwiczeń, udaje chorego i zła-  
pią go, to następowała taka rozmowa: „coście wy są, zgaju, za jedni?  
Zaś wy są ale zdadni do służby, nie? Zamknijcie waszego dzioba! No,  
marsz na służbę, ale już”! A instrukcja: „zaś jeśli któren żułnirz



chce iść do tijastru, alibo do wujka, alibo gdzie, nie? — to on musi panu sirżantowi sprawić wniosek, nie? Zaś niech mi ale żaden Kostek nie idzie na miasto boso i w „podartej litewce, nie?!...  
.....

Teraz proszę posłuchać — w jakim ogniu stawali, czego tam świadkami byli, czego dokonywali nasi junacy:



Odpoczynek po boju.

„Koło godz. 10 rano nastąpiła cisza. Była ona podobna do ciszy takiej, która porzedza zwykłą burzę. Zrozumieliśmy dopiero, co zna-  
czył ten długotrwały ogień dział bolszewickich. Było to przygotowa-  
nie ataku przez artylerję. Cisza trwała przez parę minut. Niebawem  
jednak piechota rozpoczęła gwałtowny ogień, a z oddali zaczęły do-  
choǳić do nas okrzyki jakieś. Na komendę rozpoczęliśmy i my ogień.  
Celownik szybko zmniejszał się, — w przeciągu kwadransa opadł  
z 3000 metrów do 850. Karabiny maszynowe piechoty i oba nasze  
rozpoczęły wściekły ogień. Z hukiem dział i trzaskiem karabinów  
począł się mieszać jakiś potężny ryk i wkrótce usłyszeliśmy wściekle  
wrzaski: „Urra! Urraaa!“. Po paru minutach ujrzelśmy szybko poru-  
szającą się masę, która właśnie wydawała owe okrzyki. Ogień kara-  
binowy wzmógł się w dwójnasób. Nasi wręczyciele skalowali na gwałt  
szrapnele. W tej chwili celowniczy naszego działu wskutek napięcia  
nerwów zupełnie zgłupiał i nie mógł najłatwiejszy liczb dodać  
albo odjąć. Wobec tego, że bolszewicy byli bardzo blisko, już było  
nawet widać oddzielnych ludzi, przystąpiłem do celownika. Odległość  
tymczasem między nami a bolszewikami nie wynosiła więcej nad  
400 metrów. Szalony ogień huraganowy szrapnelami, choć zadawał



bolszewikom wielkie straty, nie zatrzymał ich. Zbliżali się coraz bardziej, wreszcie poczęli biec ku nam, strzelając z karabinów. To były wprost masy, tłumy ludzi! Tak sobie wyobrażałem niemieckie ataki, które polegały na zalewaniu masą. A przeciw nim stała nasza tyraljera, której poszczególni żołnierze byli oddaleni jeden od drugiego o jakieś 10 kroków. Gdy bolszewicy znaleźli się o jakieś 150 — 200 metrów od nas, zaczęliśmy ich kartaczować. Celowałem przez oczko i szczerbinę. Straszliwy huk, pękających tuż przy lufie pocisków, ogłuszał nas. Karabiny maszynowe naszej piechoty wprost szalały. Widziałem żołnierzy, którzy zrywali się z okopów i stojąc strzelali do wrzeszczących tłumów. Tymi żołnierzami był drugi pułk piechoty syberyjskiej, sformowany przeważnie z uczniów szkół średnich. Po kilku minutach tego ognia, wśród bolszewików zaczęło się zamieszanie, a wkrótce zaczęli z okropnem wyciem uciekać. Zaczęliśmy znowu strzelać szrapnelami, zwiększając co parę wystrzałów celownik. To było prawdziwe żniwo śmierci! W sferze działania kartaczy leżały masy posiekanych kulkami szrapnelowemi bolszewików. Wkrótce artylerja bolszewicka zaczęła na nowo obstrzalać, a potem drugi atak bolszewicki. Nowa ta fala ludzi nie doszła tak blisko, jak pierwsza i została zmuszona do ucieczki. Po tym drugim ataku nastąpił taki obstrzał artyleryjski, jakiego sobie nigdy nie wyobrażałem. Zostaliśmy formalnie zarzuceni pociskami, które eksplodowały o kilkanaście metrów od nas. Kaprał drugiego dział a nasz zamkowy ranni odchodzą. Na rozkaz podchorążego wzięliśmy się na znany sposób, aby oddalić od siebie pociski bolszewickie. Mianowicie, — rozpoczęliśmy ogień huraganowy w kierunku, gdzie spodziewaliśmy się stanowisk baterji bolszewickich. Sposób ten nie zawiódł nas. Oszukani bolszewicy, myśląc że nam nie szkodzili poprzednim ogniem, zaczęli strzelać o jakichś 200 metrów w bok na prawo od nas. Lecz to trwało niedługo. Nasza pozycja była odkryta, to też zostaliśmy dostrzeżeni przez obserwatorów bolszewickich i znowu ogień skierowano na nas. Odłamki pocisków leciały tak gęsto, że zmuszeni byliśmy wszyscy położyć się na ziemi. Leżeliśmy w wykopanym przez nas jeszcze w nocy, okopie, który wskutek tego, że był kopany w piasku, prawie zupełnie zasypywał się podczas przestawiania dział. Odłamki przelatywały raz po raz z warczeniem nad nami. Wtem — straszliwy huk targnął powietrzem! Widzę, jak wali chmura dymu i piasku w górę i jak wszyscy mimowolnie chwytają się za głowy. Nad nami przelatują tuż nad głowami odłamy żelaza z metalicznym brzękiem i zasypuje nas piasek. To granat bolszewicki pękł o dwa metry od nas. Otrząsamy się z piasku. Słyszymy nadlatujący nowy granat. Z dźwięku, jaki wydaje, czuć, że upadnie tuż koło nas. Za chwilę — słychać straszliwy wybuch... Chwila ciszy... Potem rozlegają się jęki ludzi i okrzyki: „O Jezu! O Jezu!” i „Antek, ratuj! Ściśnij!”. Biegniemy na pomoc. Granat bolszewicki trafił w same działo, w celowniki, zdruzgotał wszystkie maszynerje i mechanizmy, urwał rączkę od zamku, odciął celownicemu prawie zupełnie obie nogi i ranił go w skroń, inny odłam ranił w nogę i w plecy bardzo ciężko pierwszego wręczyciela tegoż dział a i ranił w rękę podchorążego”...

Albo inne sprawozdanie: „W niedzielę 15 sierpnia około godz. 1-ej po południu ujrzeliśmy niezliczone zastępy kawalerji bolszewickiej,



zbliżające się z niestłuchaną szybkością ku nam. Nagle rozlega się potężny głos dowódcy baterji: Kolimator : 35! elewacja 11°30, granat stalosurówkowy, palnik biały, serja bateryjna od prawego! Pierwszy pluton ognia! Drugi pluton ognia"! Po chwili ten sam stanowczy, lecz zawsze spokojny głos podaje komendę: „Te same elementy! Huraganowy ogień“!!! Pomimo to bolszewicy zdołali ustawić baterję dział lekkiego kalibru i, wycelowawszy prosto w naszą pozycję, wypalić. Pierwszy raz byłem świadkiem rozlewu krwi: w sąsiednim działonie raniono trzech kanonierów, w tej liczbie jednego bardzo ciężko, w trzecim zaś działonie padła jedna ofiara trupem, przyczem rozbito nam kuchnię z kolacją dnia poprzedniego, śniadaniem i obiadem — bieżącego, — nic bowiem w ustach nie mieliśmy od obiadu sobotniego. Lecz oto w jednej chwili jedną serję bateryjną znieśliśmy ową baterję. Wyznam, że o swoim niebezpieczeństwie nie miałem nawet czasu pomyśleć, gdyż oto zaczynają trzeźwić nas z pierwszego wrażenia, wywołanego widokiem krwi. I teraz też nie obyło się bez ofiar, — jednego kanoniera raniła kula nad okiem w niezwykle sposób: oto kula, trafiwszy w zamek karabinu swej ofiary, odprysnęła odeń, raniąc i wyrwijąc nieszczęśliwemu kość nad okiem. Tak więc, po raz drugi ujrzeliśmy krew...

Ładny widok przedstawiała nasza baterja tegoż dnia jeszcze, w pełnym boju, nad wieczorem, kiedy generalicja sojusznicza, ściślej mówiąc, francusko-włoska w towarzystwie naszej generalicji, przybyła na pole naszego „popisu“. Wówczas huraganowy ogień powtórzył się, a działony tak sprawnie obsługiwały swe armaty, że każda z nich pięć razy na minutę „naprzykrzała się“ wrogowi. Przyznam się, że dumny byłem, kiedy usłyszałem pochwały z ust cudzoziemców-generalistów na cześć młodzieży polskiej, broniącej „tak dzielnie“ („si courageusement“) swej Ojczyzny. Po zbadaniu pozycji i wymienieniu okrzyków na cześć Polski, Francji i Włoch, sprzymierzeńcy odjechali. W nocy ogień znacznie osłabł, aż wreszcie dnia następnego około godz. drugiej p. p. rozległa się komenda dowódcy: „Baterja spocznij! Dwie nasze pancerki goniać bolszewików"! Nie trzeba było nam dwa razy tego rozkazu powtarzać,— rzuciliśmy się wprost do kotła z grochówką, a po obiedzie, oczyściwszy działa i zabrawszy z sobą czystą bieliznę, z pieśnią „Madelon“ na ustach, pomaszerowaliśmy do pobliskiego stawu, aby użyć tak upragnionej a tak zasłużonej kąpieli. Byliśmy dumni ze spełnionego zadania i tryumfu naszej baterji".

I taki wreszcie fragment z bitwy pod Ossowem w opowiadaniu innego ucznia, — uczestnika tych bojów, — mściciela śmierci ks. Skorupki:

„Po paru godzinach błędzenia wśród błot, doszliśmy do Ossowa o godz. 12. Spaliśmy ze 3 godziny i o godz. 4-ej rozpoczęła się bitwa, która skończyła się około 3—4 po południu. Było 6 ataków naszych, z których 5 było niefortunnych, a dopiero szóstym atakiem odrzuciliśmy bolszewików o parę kilometrów za wieś Leśniakowiznę.

Parę razy dochodziło do starcia na bagnety. W pierwszym ataku ks. Skorupka jakimś zbiegiem okoliczności znalazł się o parę kroków odemnie. Widziałem, jak, gdy dochodziliśmy do bolszewików, jeden z nich strzelił do mnie, lecz nie trafił, repetował znów karabin, aby znów strzelić, lecz ja uprzedziłem i paru pchnięciami bagnetem powaliłem go“.



Obrazki radości, ożywiającej gorące te serca na wieść o ostatecznem naszym zwycięstwie:

„Dopiero zasiedliśmy do pracy, naraz wpada nasz szef, pułkownik D. O. G-en'u z radosną nowiną o wielkiem zwycięstwie V-ej Armji Ochotniczej pod Warszawą. Ja, który wierzyłem, że Warszawa będzie grobem bolszewików, teraz tryumfowałem, ale nie tyle ze swojej wiary, ile z wielkiego naszego zwycięstwa, dokonanego przez Armję Ochotniczą, złożoną właśnie w znacznej części z młodzieży akademickiej i uczniowskiej o gorących sercach, zdolnych do największych poświęceń“.

Inny znowu tak się cieszy:

„Wśród takiego życia spadła na nas nareszcie wieść radosna: oto—stolica ocalona, wróg pobity cofa się w popłochu, Ojczyzna uratowana. A więc — płonne me obawy, niedaremne wysiłki narodu całego, jutrzienka swobody znowu nad Polską zajaśniała, Polacy pokazali światu, co umieją! Aż pierś swobodniej oddychała, a serce z radości mocniej biło; dusza ma rosta i radowała się myślą, żeśmy wszyscy nie zawiedli matki-Ojczyzny w potrzebie, że wszyscyśmy na Jej wołanie stanęli, za co Bóg Miłosierny obmyślił nam i dał największą nagrodę, jakiegśmy się spodziewać mogli i o jakiegśmy marzyli, — dał nam wolność Ojczyzny!“

Wreszcie taki nastrojowy obrazek zakończenia zwojów wojennych:

„Jedząc suchą kromkę razowego pieczywa w towarzystwie naszych wiejskich samarytanek i gwarząc wesoło, zbliżamy się do wsi, pełni radości, że trud i miłość Kraju jego obywateli — nie poszły na marne.

Tu, koło krzyża stojącego przy drodze, lud się modlił.

Uklękliśmy także i wszystkie piersi wstrząsnął rzewny śpiew „Kiedy ranne wstają zorze“. Zniknęło zmęczenie, zapomniano się o troskach, a wpatrzeni w pasyjkę Chrystusa, przykrytą daszkiem drewnianym i zwisającymi kwiatami, nosiliśmy swe dusze ku Bogu, i ten żołnierz, przedtem lew dziki, drapieżny, był, jak dziecko niewinne, spokojny...

A gdzieś nam głęboko pod szarym mundurem serce bardziej tętniło i głos jakiś szeptał, każdemu w innej formie, ale zawsze to samo: wszystko przezwyzięża miłość i bezmierny trud.

A zamykając swoje sprawozdania z przeżyć wojennych, młodzi ci rycerze tak piszą:

„Pomimo trudy i niewygody, w które służba wojskowa obfitowała, — przysięgam, że na pierwszy apel, w razie zagrożenia granic Ojczyzny, stanę do szeregów ochotniczych“.

Albo: „na pierwsze wezwanie gotów jestem stanąć znów, już teraz jako „stary żołnierz“, aby bronić kochanej Ojczyzny“.

Wreszcie: „widzimy więc, że gdy wszyscy obywatele Państwa dążą zgodnie do jednego celu, to mogą pokonać wszelkiego wroga. Szkoda tylko, że do zgodnego współżycia i wysiłku wszystkich obywateli — potrzebne jest u nas jakieś zewnętrzne niebezpieczeństwo“.

Tak się oto przedstawia młodzież naszej Szkoły na tle zawieruchy wojennej 1920 roku.



A cały ten jej „exodus na wojnę” — nie poszedł dla ogólnej Sprawy na marne. Bo górna ideologia, która ożywiała tę naszą jak i całą polską młodzież, i czyn, idący w parze z taką ideologią, — zaważyły na szali wypadków i przyspieszyły nasze zwycięstwo.

„Byliśmy ochotnicy, — pisze jeden, — tą opoką, o którą się rozbiła inwa ja bolszewicka, byliśmy tym elementem, pełnym zapału i wiary, tym elementem zdrowym i inteligentnym, którego brak tak się dotkliwie odczuwał w wojsku. Byliśmy karni nie przez dyscyplinę, bo na jej wyrobienie mieliśmy za mało czasu, ale przez zrozumienie doniosłości sprawy, w której czynny udział braliśmy. Dowództwo ufało nam i pokładało na nas nadzieje, którychśmy nie zawiedli”.

Albo taka apostrofa:

„Opodal kolejki Mareckiej stoi tłum żołnierzy. Wiedziony ciekawością, zbliżam się i pytam, co się stało. Jakiś kapral odpowiada: — „to ochotnik, przez nieumiejętność obchodzenia się z bronią, zabił się; już trzeci w ciągu paru dni. Co z was będzie?... To pytanie słyszeliśmy nieraz. Jednak „Virtuti Militari” i krzyże „Za waleczność”, które zdobyliśmy sobie, — stwierdzają jeszcze raz, że:

„Polak w boju, kiedy uparty,  
Staje odrazu starym żołnierzem”.

W oświetleniu cyfr — udział uczniów naszej Szkoły w tej wojnie przedstawia się, jak następuje: poszło (od IV-ej do VIII-ej włącznie) na ochotnika 552. Było w bitwach 232 (w tem w piechocie 103, w kawalerji 48, w artylerji 70, w innych formacjach 11). Rannych było 49. Odznaczonych 8. Poległo 20.

Zakończę to zestawienie słowami jednego z uczniów:

„Tak, oto. Naród razem ze swoją młodzieżą wyteżył siły, wstrząsnął potężnie ciałem swem i rzucił z niego wrogów, którzy, jak dzikie zwierzęta, szarpać nim poczęli i dobierać się już do serca jego. Ale nie, nie udało się wrogowi, gdy tylko u wrót serca Polski zetknął się z karabinem i szablą Polaka, co z Bogiem na ustach a męstwem i miłością w sercu runął nań i sprawił cud, okrzyk zdumienia i podziwu wywołujący na usta świata całego.



Jerzy Szmidtke  
mściciel s. p. ks. Skorupki.

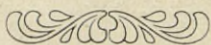


I tak dowiedliśmy świata, że z Polakiem igrać niebezpiecznie, że  
cierpliwy jest on do czasu, że nie zardzewiał jeszcze miecz, wyostrzony  
na karkach wroga pod Grunwaldem czy Wiedniem, Racławicami czy  
Stoczkiem".

Nie zginie Naród, który ma tak szlachetną młodzież, ożywioną tyle  
ofiarnym, gorącym, bohaterskim duchem!

I nie ma On powodu do zwątpienia,

„Bo Narodu Duch zatruty,  
To dopiero (byłby) bólów ból".





# DRUŻYNY HARCERSKIE GIMNAZJUM KULWIECIA

S. PESZYŃSKI

**W**ŚRÓD szeregu organizacji młodzieży naszej szkoły na szczególne wyróżnienie zasługuje organizacja harcerska zarówno ze względu na sam charakter tej organizacji, jak i ze względu na wyniki pracy przez nią osiągnięte. Harcerstwo jest organizacją młodzieży, stawiającą sobie za zadanie przede wszystkim pracę nad charakterem, którego tak młodzieży naszej brakuje, a obok tego pracę nad wyrobieniem fizycznym, hołdując starorzymskiej zasadzie: „mens sana in corpore sano”.



„Trzynastacy” w strojach ludowych  
na międzynarodowym zlocie harcerskim w Kopenhadze  
produkujący tańce narodowe polskie.

Drużyna harcerska w gimnazjum K. Kulwiecia założona została już w kilkanaście dni po otwarciu go w Warszawie, to jest na początku roku szkolnego 1918/19. Młodzież, skupiająca się wówczas w gimnazjum K. Kulwiecia, była ze wszech miar elementem podatnym do tego rodzaju organizacji i temu też należy przypisać szybkość powstania drużyny harcerskiej oraz jakościowy i ilościowy jej rozwój. Olbrzymią



większość bowiem młodzieży szkolnej stanowili tu kresowcy, którzy przez długie lata będąc na obczyźnie i często ucząc się w rosyjskich szkołach, specjalnie może odczuwali i rozumieli potrzebę istnienia organizacji tego typu, co harcerstwo. Z drugiej strony dyrekcja gimnazjum naszego specjalnie życzliwie odnosiła się do ruchu harcerskiego i na każdym kroku udzielała mu swej pomocy.

W dniu 22 września 1918 r. odbyła się pierwsza zbiórka świeżo uformowanej drużyny oraz uroczyste poświęcenie lokalu drużyny, dokonane przez ówczesnego prefekta gimnazjum i wieloletniego instruktora harcerskiego ś. p. ks. dr. Kazmierza Lutostawskiego.

Lokal drużyny, składający się z trzech pokoi, został jej ofiarowany przez dyrekcję gimnazjum K. Kulwiecia.

Uformowana w ten sposób drużyna liczyła około 200 chłopców i otrzymała numer porządkowy „20”, a za patrona obrała sobie Franciszka Pększyc-Grudzińskiego. Ponieważ jednak w tak dużej liczbie praca była bardzo utrudniona, już w dniu 15 grudnia 1918 r. nastąpił podział drużyny na dwie drużyny samodzielne, z których jedna otrzymała nazwę „20 Warsz. drużyny im. A. Małkowskiego”, a druga, młodsza „13 Warsz. drużyny im. J. Sułkowskiego”.

Od chwili tego podziału rozpoczęła się dopiero właściwa praca, która bardzo szybko posuwała się naprzód.

Przedewszystkiem rozwój liczbowy drużyn był tak duży, że już w 1920 r. okazała się potrzeba utworzenia trzeciej drużyny przy szkole („14 Warsz. drużyna”), a w roku następnym czwartej drużyny („23 Warsz. drużyna”). Wszystkie te cztery drużyny szkolne wchodziły w skład I hufca Warszawskiego i wobec innych drużyn warszawskich stanowiły odrębną całość. Na zewnątrz wszystkie te cztery drużyny cieszyły się jaknajlepszą opinią, co potwierdza szereg pochwał, udzielanych im przez komendę Chorągwi Warszawskiej. W czerwcu 1921 r. została urządzona w sali szkolnej wystawa prac drużyn I hufca, która wykazała duży postęp pracy w poszczególnych drużynach w dziedzinie rzemiosł, robót ręcznych i techniki harcerskiej. Podczas konkursu, zorganizowanego w czasie tej wystawy, pierwsze miejsce zajęła 13 drużyna.

Poza tem w latach 1919, 1922 i 1924 drużyny szkolne brały udział w wystawach, urządzanych przez Komendę Chorągwi Warszawskiej i zdobyły na nich szereg odznaczeń i nagród.

Od roku 1923 stan liczbowy drużyn szkolnych ulegał zmniejszeniu, skutkiem czego zostają rozwiązane dwie nowo-utworzone drużyny 14 i 23 i połączone pierwsza z 13 drużyną, a druga z 20 drużyną. Przyczyną tego było wycofanie się w tym czasie z pracy czynnej w drużynach szeregu starszych instruktorów harcerskich, zmuszonych do tego swemi zajęciami zawodowymi. Zmniejszenie liczbowe harcerzy w gimn. K. Kulwiecia jednakże nie wpłynęło bynajmniej na załamanie się pracy harcerskiej pod względem jakościowym. Przeciwnie, praca ta zaczęła dawać coraz lepsze wyniki, jako prowadzona w mniejszym gronie. Dowodem tego wysokiego poziomu pracy harcerskiej w drużynach tych może być w pierwszym rzędzie wynik konkursu na najlepszą drużynę harcerską Rzeczypospolitej, zorganizowanego w lecie 1924 r. podczas wielkiego zlotu ogólnopolskiego drużyn harcerskich pod Warszawą. W wyniku tego konkursu zaszczytne miano pierwszej drużyny Rzeczypospolitej otrzymała 13 Warsz. drużyna (gimn. K.



Kulwiecia), trzecie miejsce zajęła 20 Warsz. drużyna (gimn. K. Kulwiecia). Wynik tego konkursu stwierdził, że drużyny nasze szkolne nie tylko przodują w Warszawie, ale wysunęły się na czoło całego ruchu harcerskiego w Polsce.

W tymże roku 1924 latem szereg członków głównie 13, a częściowo i 20 drużyny, weszło w skład polskiej drużyny reprezentacyjnej, wysłanej na Międzynarodowy zlot Skautowy do Danii.



Z Gdańska do Kopenhagi na międzynarodowy Zlot harcerski.

Przyjrzyjmy się teraz, jakąż to pracę drużyny te prowadzą.

Przedewszystkiem prowadzą one poważną pracę nad samowychowywaniem, dążąc do opanowania i pogłębienia charakterów swych członków. Owoce tej pracy są widoczne na terenie życia szkolnego, gdzie uczniowie harcerze wyróżniają się pod względem zachowania i pracowitości. Poza tem jest w starszych zastępach prowadzona praca samokształceniowa, polegająca na opracowywaniu i dyskutowaniu referatów. Tak np. w roku 1924 w starszych zastępach 13 drużyny były wygłoszone i przedyskutowane następujące referaty: „Znaczenie religji w życiu człowieka”, „Opinia w życiu młodzieży”, „Panowanie tłumu”, „Ideologja i treść bolszewizmu”, „Rozwój parlamentaryzmu polskiego” i wiele innych. Już choćby same tytuły referatów wskazują na to, że młodzież harcerska, w drużynach skupiona, chce i umie myśleć poważnie.

Obok tej pracy drużyny pozostają w kontakcie z szeregiem instytucyj społecznych, udzielając im stałej swej pomocy.



W roku 1920 wszyscy członkowie drużyn stanęli w szeregach obrońców Ojczyzny, starsi, jako ochotnicy poszli do wojska, młodszy jako gońcy pracowali na tyłach.

Poważnie przedstawia się również praca drużyn nad wychowaniem fizycznym swych członków. Od roku 1920 zorganizowane zostały poza lekcjami gimnastyki w szkole, dodatkowe lekcje dla członków drużyn. Powstało szereg partyj sportowych, jak piłki nożnej, piłki latającej, szczypiorniaka i t. d., które w zawodach sportowych międzydrużynowych zajęły pierwsze miejsca. Poza tem bardzo dobre wyniki, dzięki ciąglemu treningowi, osiągał członkowie drużyny w najrozmaitszych zawodach lekkoatletycznych.

Wreszcie co lata drużyny wyruszały na miesięczny, a czasem i dłuższy obóz, znaczenie zdrowotne i wychowawcze którego zbyt jest wszystkim znane, by je jeszcze raz tu podkreślać. Zaznaczyć jedynie należy, że miejsca obozowania są tak wybierane, że chłopcy co roku są w innej części Polski, przez co mają możność poznać prawie całą Polskę. Poza stałemi obozami letniemi, drużyny odbywają w ciągu roku szereg wycieczek mniejszych, podmiejskich i większych, krajoznawczych. Przykładowo pozwalamy tu sobie podać wykaz obozów i większych wycieczek odbytych od 1919 r. do 1925 r. przez 13 drużyn:

- rok 1919 — obóz w Drewnicy pod Warszawą, wycieczka Kraków, Ojców, Wieliczka, Częstochowa.
- rok 1920 — obóz w Zakopanem, wycieczka Gdańsk, Hel, Sopoty, Toruń.
- rok 1921 — obóz w Karwi (Pomorze), wycieczka Wielkopolska (Poznań, Kalisz, Gniezno), wycieczka Płock.
- rok 1922 — obóz na Bielanach (zlot Harc. Warsz.), wycieczki: Zagłębie Dąbrowskie, Wilno, Czechy.
- rok 1923 — obóz Koszarawa, wycieczka Kraków, Ojców, Wieliczka.
- rok 1924 — obóz Międzynarodowy w Danji, wycieczka Łódź.
- rok 1925 — obóz Nadkole pod Łochowem (z. Warszawskiej).

Wielkiem zainteresowaniem cieszą się w drużynach najrozmaitsze sprawności harcerskiej, jak stolarstwo, szewstwo, introligiarstwo, ratownictwo, ogrodnictwo i t. p., których chłopcy w drużynach skupieni posiadają zwykle po kilka, a często nawet kilkanaście.

Przez parę lat dzięki pomocy ze strony szkoły i Koła Przyjaciół Harcerstwa istniały przy drużynach warsztaty stolarski i introligaterski, w których chłopcy uczyli się tych rzemiosł pod kierownictwem specjalnych instruktorów, fachowców.

Stosunek drużyn harcerskich do szkoły był przez cały czas bardzo dobry. Podkreślić należy przedewszystkiem to, że drużyny zwracają dużą uwagę na postępy w naukach swych członków i przeprowadzają w tym względzie nad nimi stałą kontrolę. Harcerze, którzy w nauce szkolnej robią złe postępy, są prawie zawsze do czasu poprawy przymusowo urlopowani, a niejednokrotnie nawet zupełnie usuwani z drużyny.

Z drugiej strony, dykcja szkoły i ogół profesorów, jak już to zaznaczyliśmy na początku, odnoszą się do ruchu harcerskiego nader przychylnie, udzielając mu zawsze poparcia zarówno moralnego, jak i materialnego.

Kończąc ten krótki przegląd prac drużyn harcerskich gimn. K. Kulwiecia, wyrażamy gorące pod ich adresem życzenie, aby dalsza praca w nich prowadzona wydała jeszcze lepsze owoce, dając Ojczyźnie szeregi karnych, zdrowych duchowo i fizycznie obywateli.

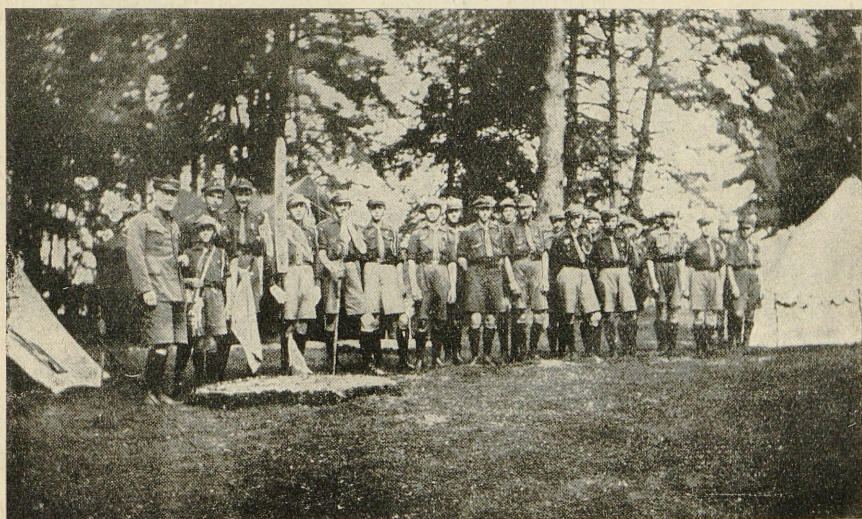


# W Y C I E C Z K I

AL. JANOWSKI

**S**PRAWA wycieczek krajoznawczych w gimnazjum, którego dyrektorem jest Kazimierz Kulwiec, założyciel i długoletni Prezes Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, a Redaktor Ziemi, musiała mieć nie tylko zrozumienie, ale i szerokie poparcie.

Wycieczki, ten potężny czynnik wychowawczy i społeczny, ten czynnik wysoce patriotyczny, budzący miłość do Ziemi Rodzinnej i poczucie narodowe, włączone były do programu prac szkolnych i starannie organizowane.



„Trzynastka” II drużyna Rzeczypospolitej na zawodach związkowych o tytuł I drużyny Rzeczypospolitej i nagrodę Prezydenta r. 1925.

Szlaki wycieczkowe sięgały bardzo daleko: od stolicy aż ku rubieżom północnym nad fale Bałtyku i ku południowi, gdzie „stoją nagie Tatry w śniegu, by graniczny słup zuchwale”.

Wykwalifikowani i całkowicie oddani sprawie przewodnicy prowadzili młodzieńcze zastępy i w „przepastne krainy” puszczy Białowieskiej, i nad szafirową taflę Wigierskiego jeziora, i pod Kazimierskie śpichrze i tam, gdzie Panna Święta w „Ostrej świeci Bramie”, i w podziemne głębie Wielickich salin, i do królewskich krypt Wawelu i na fabryczne tereny Górnego Śląska — słowem nie ma tego bardziej interesującego zakątka ziem polskich, dokądby nie dotarły wycieczki szkoły św. Kazimierza.



Obok tych dalekich szlaków, w których brała udział młodzież klas starszych, dla mniej wytrwałych klas niższych organizowano wycieczki pobliskie, a więc do Bielan, Wilanowa, Czarnej Strugi, Rokitna, puszczy Kampinoskiej, Piaseczna, Modlina, Czerska, Maciejowic, Łowicza i innych miejsc łatwo dostępnych.

W wycieczkach do Lublina, Ojcowa, Sandomierza, brały udział klasy mieszane.



Z wycieczki narciarskiej w Sokolnikach  
pod Moskwą w r. 1917.

Obok wysokich wartości duchowych, jakie dają wycieczki, budząc miłość do kraju i ludu, dają one wielkie zadowolenie wewnętrzne przez swą beztroską swobodę i obcowanie z naturą. Wycieczkowicz do Kazimierza opisuje swe wrażenia: „na trzeci dzień, wobec upału, cały dzień spędziliśmy na Wiśle i na plaży, gdzieśmy bawili się, jak dzikie osły i spaliliśmy się na czarno”. Uczestnik wycieczki do Zakopanego pisze: „Z Hali Gąsienicowej zjechaliśmy upłazem po śniegu. Każdy usiadł na lasce, a kto nie miał, to na własnym siedzeniu i piorunem zjechaliśmy do Kuźnic”.

Takich momentów nie zapomną oni przez całe życie, w jesieni życia wspominać sobie będą taką jazdę, pełną śmiałości, ciężyny i sprawności.

W życiu szkoły, ujętem w karby ładu i porządku, te momenty swobody to dionizyjskie nastroje spojenia się z przyrodą i szal wolności młodzieńczej pięknej, śmiałej i zwycięskiej.



Nic to, że „kto miał pieniądze, to zjadł obiad, a kto nie, to zadowol-  
nił się kielbasą”, bo ten pożeracz kielbasy ma ją za ambroję i kiedyś  
w życiu będzie się dziwił, że ona była smaczniejszą, niż zwykłe  
dania wielkiego bankietu.

Nawet takie przygody, jak ulewa na Trockim jeziorze, gdzie „trzeba  
było wylewać rękami wodę z łódek, bo inaczej bylibyśmy potonęli”,  
to tylko humorystyczny fragment uciechy, niespodziany numer pro-  
gramu.



Do puszczy białowieskiej

A ileż wielkiej wartości dają wycieczki ku zbliżeniu się różnych  
odłamów naszego narodu. Oto na wycieczce na Górny Śląsk: „rozlo-  
kowano naszych chłopców po domach prywatnych, gdzie ich nadzw-  
yczaj serdecznie podejmowano... wracają do Warszawy obładowani  
słodzami, które im gościnni Ślązacy dają na drogę”.

Takie momenty zadzierzgają węzły braterstwa i miłości, skutecznie  
przeciwstawiając się nieufnościom i niechęciom dzielnicowym.

Tego rodzaju zdobycze duchowe dla jednostek i ogółu dają wy-  
cieczki, to też p. Dyrektor Kulwiec wielką wagę przykładu do nich,  
gorąco inspirując i młodzież i grono nauczycielskie do energicznej  
akcji wycieczkowej, a śmiało można powiedzieć, że pod tym względem  
szkoła św. Kazimierza trzyma prym wśród szkół stolicy.





# WRAŻENIA Z WYCIECZKI SZKOLNEJ

J. DOMAŃSKI

**W**IOSNA. Koniec kwietnia, początek maja stanowią dni już ciepłe, zazwyczaj pełne słońca i pogody. Stają się już zaciasne mury szkolne dla zmęczonego ucznia, jednostajne i niewrażliwe na tchnienie ciepłego promienia, wloką się dni długo i leniwie w dusznych, gorących klasach, monotonością swą nużące, jeszcze bez piętna tego pośpiechu i niepokoju, co znamionuje zwykle koniec roku szkolnego.

I w tę nudną atmosferę gorąca i spokoju wpada długo oczekiwana wiadomość — wycieczka! Klasy łączą się grupami i układają tygodniową marszrutę.

Czem jest ona dla zmęczonego zimą ucznia, dla otrząśnięcia się z chwilowej apatii, wywołanej kontrastem pracy, a pięknem budzącej się przyrody, żeby zrozumieć — trzebaby się wczuć w jego psychikę, przeniknąć życie szkolne, uświadomić sobie, że jest ono dla niego światem, gdzie każdy szczegół w młodzięcym, wrażliwym odczuciu urasta do rozmiarów doniosłego faktu, niemal sensacji.

I poza tą czysto psychologiczną stroną, poza korzyściami intelektualnymi, jakie daje krajoznawstwo, istnieje jeszcze walor moralny nie mniej doniosłej natury, który daje dłuższa wycieczka.

Oto uczeń, nie przestając przebywać w środowisku szkoły, znajduje się w innych warunkach, przyskają pęta rygoru szkolnego, wobec wychowawcy staje na stopie niemal towarzyskiej, krępowanej przez rok cały; życie koleżeńskie mało nagół rozwinięte staje się pełniejsze, naturalniejsze, zyskuje on nowy kąt widzenia na treść życia szkolnego, poza jego formą.

Nie będę wyliczał wszystkich zalet wycieczek szkolnych, wpływu na rozwój wysiłku fizycznego, połączonego z przyjemnością i t. d. — są to rzeczy naogół znane, chciałem jedynie podkreślić ich doniosłość w życiu szkolnym i to, że w naszym gimnazjum spełniają one znakomicie swoje zadanie, dzięki zrozumieniu ich wagi przez p. Dyrektora Kulwiecia, znanego krajoznawcę.

Program wycieczki jest już ustalony. Wyruszamy na tydzień cały w liczbie trzydziestu i — sami, nie chcemy spółek z innymi klasami.

Jedziemy: Częstochowa — Zakopane — Kraków — Wieliczka. Jak na tydzień jest to forsowna jazda.

Punkt zborny wyznaczony na godzinę 5 przed Dworcem Głównym w pełnym rynsztunku z plecakiem i kocem. Odrazu wpadamy w doskonały humor, sypią się żarty na temat „dalekiej” podróży, iście królewskiej, mamy bowiem cały wagon, doczepiony do jakiegoś opieszalego pociągu. Na komendę „wsiadać”, formują się pary, prezą garbate postaci i pseudo-wojsko „hucznie i butnie” z głową zadartą wkracza na stopnie dworca. „Aby tylko do pociągu”, prosi kolega K., wycieczkowy komendant, z całą troską bacząc, aby się kto z szeregu nie wysunął.



Zajmujemy szczęśliwie przedział: Tadzio K., Tadzio Z. i ja. „To jest na cały czas” oświadczamy uroczyście, obejmując ławki we władanie. Pozostało jeszcze trochę czasu, wychylamy się przez okno, aby pożegnać troskliwe matki, przybyłe na peron. „Pamiętaj się nie przeziębować” — ostatnia przestroga, przzerwana gwizdkiem konduktora:

„Odjazd”.

Pociąg rusza z miejsca cicho, mija słup, budynek stacyjny, uderza monotonnie o szyny:

Łacach — tach — tatach — tatatach — tatatach — tatatach, pęd się wzmacza, ogarnia rozkosz przestrzeni i rozmarzony wzrok błądzi po biegnącym torze. Mimowolną tęsknotę... odjazd, pożegnanie... przerywa wybuch śmiechu. Co za głupstwo! przecież to tylko na tydzień i dla przyjemnych wrażeń.



Przeprawa wycieczki szkolnej przez Wisłę pod Kazimierzem.

Dowcipkując, zabieramy się do zapasów podróжных.

Z nastaniem wieczoru wyłaniają się zgóry przewidziane trudności: są tylko dwie ławki, a nas jest trzech, nie możemy przecież spać przez tydzień we dwóch na jednej ławce, prosty wniosek — trzeba stworzyć trzecią! Rozciągamy koce na podłodze i powstaje miękkie legowisko, teraz już przez wszystkich pożądane. W innych przedziałach jest gorzej, bezdomni błakają się nadaremnie, prosząc o nocleg i wszędzie znajdują tę samą odpowiedź: „Idź do diabła! trzeba się było o to postarać”.

Egoizm bierze górę — gdy chodzi o wygody własne, niema dla innych litości.

Kolega O. znany ze swoich mniej lub więcej dowcipnych pomysłów, mimo protestów, lokuje się z powagą na półce bagażowej: „Tu będzie najwygodniej” oświadcza, układając plecaki. Jednakże niedługo cieszy



się wynalazkiem, gdyż prof. S. stwierdziwszy, że to pachnie skręceniem karku, stanowczo zabrania tego rodzaju eksperymentów i obchodzi cały wagon, przeprowadzając do porządku ryzykantów z „jaskółki”. Przeliczył się jednak dostojny pedagog, nie wiedział bowiem, jak daleko sięga młodzieńcza bezczelność i — nie sprawdził półek w swoim własnym profesorskim przedziale. Tam to bowiem wślizgnął się ryzykant kolega O. i zaczął się wśród ciemności. Ryzyko było wielkie; pociąg silnie targnął na stacji, wśród głębokiej nocy budzi nas nieopisany hałas, ogólna wesołość i podniesiony głos oburzonego profesora; O. spadł na niego, a stamtąd na ziemię, przyczem mniej poniósł szwanku, niż sam profesor. Zaiste wzbudził ogólny podziw.

Reszta nocy przechodzi bez przygód.

Zatrzymujemy się w Częstochowie. Wagon nasz, rzucony na jakąś boczną linię, czeka na następny pociąg. Formujemy się czwórkami, jedyny tu cel wycieczki — Jasna Góra. Kroczymy szeroką ulicą, wysadzaną drzewami bujnie rozrośniętymi. Co za kontrast!

Tam u góry strzelista, majestatyczna wieża, pełna mocy i dostojności, w rozmiarach swych wspaniała, lśniąca białością na tle błękitu nieba, jak słup świecący, wzniesiony ponad miastem — a tu u dołu, ulice brudne, zapuszczone, domy niskie i zapadłe, ciągnące się długim sznurem, gdzie indziej tylko gmach o „europejskim” wyglądzie. I niema nic, coby wzrok zachęciło, zatrzymało swem pięknem, wzbudziło żywsze zainteresowanie. A przecież — to miasto niemałe, dziwne zaniedbane, rażąca liczbą Żydów, snujących się bezustannie po wąskich chodnikach.

Jasna Góra, a Częstochowa — to dwa różne światy!

Wchodzimy parami do kościoła. Olbrzymie sklepienie załamuje się w filary i biegnie długą nawą aż ponad wyniosły ołtarz. Przechodzimy w skupieniu pod strzelistymi arkadami, by dotrzeć do cudownej kaplicy. Zajmuje ona część lewej nawy, ściśle oddzielonej od reszty kościoła. Odłączam się od swoich kolegów i mieszam się z tłumem. Poprzez wąskie drzwi przeciskam się wśród klęczących i klękam tuż obok. Poraz pierwszy tu jestem.

Wszystkie cuda i legendy, przywiązane do obrazu, świadomość szczególnego kultu Narodu do Matki Bożej Częstochowskiej — Ostrobramskiej — Kodeńskiej — Począjowskiej i tylu Innych, wstrząsające sceny z „Potopu” — wszystko to staje wyraźnie w dziecięcej jeszcze wyobraźni, przemawia przedziwnem dostojnictwem „cudu” niezachwianej jeszcze żadnem zwątpieniem wiary.

Błyszczące oczy nieruchomych postaci wpatrują się w jeden punkt, prosto przed siebie — tam lśni „Ona”. Na tle zasypanej wotami ściany, wśród roziskrzonych kamieni i złota czernieje święte Oblicze „Niepokalanej”, zamglone i jakby w drzewie niknące, i tylko dwie rysy, zadane świętokradzką szablą, odznaczają się wyraźnie na szerniałej barwie.

Dreszcz wiary przenika serce tłumy.

Rozgorączkowany wzrok wpatruje się uporczywie, a spieczone wargi szepczą namiętnie: „O Pani! O Marjo! uczyni! Ty możesz!” Wszystkie skargi i bóle, przyniesione tutaj, szukają pociechy, ukojenia, nie spo-



sób oprzeć się temu nastrojowi, tchnieniu niezachwianej wiary tłumu, oczekującego cudu, natężonej woli i energji, streszczonej w jednym słowie: „wierzę!”

Rozpoczyna się zwiedzanie Jasnejgóry.

Ze szczytu wieży, jednej z najwyższych w Polsce, roztacza się szeroki widok na miasto i okolice. Skała i dobrze zachowane mury spadają stromo, niekiedy tarasem w dolinę pokrytą domami; wyniosłe i szerokie świadczą, że niegdyś było to miejsce obronne, teraz dla oka wyzyskane. Kilka stopni tworzy jakby olbrzymie schody, odcinające się wśród zieleni, ze szczelinami od kul armatnich. A na tem urozmaiconem tle wznoszą się rozsiane wkoło postaci, wyniosłe, wykute z kamienia.



Na turniach tatrzańskich.

Mamy się „doczepić” do pociągu, który wyrusza w południe; niestety! Jest to pośpieszny, skandal byłby, gdyby uczniowie, i to zaledwie z piątej klasy, mieli korzystać z ułatwionej komunikacji.

„Panowie muszą poczekać do wieczora”, trudno, niema lepszego połączenia, oświadczą z dobroduszną stanowczością naczelnik stacji. Miny się wydłużają, jesteśmy bezsilni: „Formalistyka, galicyjskie porządki” — syją się przekleństwa siarczyste — tak, ale z drugiej strony błąd w zorganizowaniu wycieczki i to niejeden, jak się później okaże.

Prof. S. zakłopotany nadrabia miną: „Wieczorem odjazd” poza tem jest liberalny, więc „paczki” wymykają się na miasto. Włóczymy się przez pół dnia na gapia i, nudząc się, czekamy na pociąg. Nareszcie wyrusza o godz. 11 w nocy i staje rano w Krakowie; tu się przesiadamy. Odrazu na stacji przychodzi do starcia: „Co u was za porządki, oświadczą z powagą kolega O. — czyniąc minę z głupia frant — czekać trzeba godzinami, pociągi i tramwaje chodzą z lewej strony, ale widać, to już cała taka mańkucka Galileja” — dodaje, wzdychając żałośnie.



Konduktor w wyszarżanym mundurze i dzielnicowy patryjota oburza się do głębi: „Nie pan nas będzie uczył, nie wiem kto z nas lepszy Polak, a to pewno, że my nie najgorsi. A jak się nie podoba, wracaj pan do Warszawy” — konkluduje z przekąsem. „Mówi przekonywająco” — śmiejąc się, oświadczamy zgodnie, i odechciało się nam dalszej krytyki.

Cały niemal dzień zajmuje jazda do Zakopanego, wagon ożywia się, zamienia w istny raut. „Towarzystwo” koncentruje się przy oknach i w przedziałach, a w głębi z rozstawieniem czatów odbywają się rzeczy zakazane. Tam opodal partja warcabów pochłania uwagę kilkunastu osób; totalizator kwitnie w całej pełni: gra jest niewysoka, ale na gotówkę, prowizoryczne weksle mają wartość kilkakrotnie mniejszą. I kontrola „rzeczy zakazanych” jest w tych warunkach niemożliwa, kolega K., wycieczkowy komendant, już zrezygnowany, nie próbuje stawiać oporu.

Jedziemy malowniczym podgórzem, tor staje się coraz bardziej stromy i kręty. W Chabówce doczepiają drugą lokomotywę, pociąg zwalnia biegu i wspina się z trudem, buchając z kominów kłębamii pary.

„Czuję, jak on się wysila — twierdzi kolega X. — jedziemy pod górę i to jest męczące”. A pociąg rzeczywiście wiję się między wzgórzami, jak krótki ciemny wąż, sapiąc ciężko i głośno z olbrzymich pieców lokomotywy.

Widok jest godny uwagi: porozrzucane wokoło wzgórze zamykają widnokrąg kępami drzew i zarośli, a niżej ciągną się malownicze dywany ugorów i zieleni.

Wychylam się przez okno, na horyzoncie zarysowuje się mglista linja, ledwo widoczna na tle chmur — „Tatry, widać Tatry!” — rozlegają się zewsząd okrzyki i jednocześnie zaczynamy forsownie wspinać się w górę. Mrok zapada, robi się przenikliwie zimno, gdy stajemy w Zakopanem, jest już zupełnie ciemno.

Mamy półtora dnia na zwiedzenie Zakopanego, na tradycyjną wycieczkę do Morskiego Oka niema czasu; trzeba się ograniczyć do Giewontu.

Wychodzimy o piątej rano, szczękając zębami, z wagonu i rozpoczyna się wędrówka po ulicach.

Urok tego słynnego w Polsce miejsca dla przybyłych tu poraz pierwszy jest potężny: „Zakopane, jesteśmy w Zakopanem” — powtarza sobie każdy w duchu, jakby zdziwiony, że nareszcie nadszedł ten doniosły moment. Znawczy mają możność popisywania się. Odrazu stają się au courant wszystkich znaczniejszych willi, cukierni. Niestety, górami mniej się koledzy-przewodnicy zajmują, poza dorastającego ucznia każe im się interesować czem innym.

Jest niedziela. Naokoło kościoła grupują się gazdowie w całym blasku góralskich strojów. Malownicze gromady w okrągłych kapeluszach, w przerzucanych przez ramię chwiejących się pelerynach i z ciupagami, poruszają się szybko, zaabsorbowane ogólną rozmową.

Bez przeszkody znajdujemy przewodnika. Jest nim starszy góral, niski, barczysty. Kiwa głową i z powagą zapalając fajkę: „Idźcie panowie — powiada — hań na sam wirch Giewontu, kmurek nima, descyk ni padzie — dodał, rozglądając się — możemy iść. Tylo se razem tsymajcie”. I ruszył sam naprzód. W beładnych grupkach



przeszliśmy ulicę Zakopanego, przedłużonego w szeroką, równą drogę. Niebawem góral skręcił w bok i począł się wspinać ścieżką, udeptaną na bezdrożu. Jest to jeden z wygodniejszych spacerów górskich.

Ominając przeszkody: głązy i wystające korzenie, szliśmy szeroką ławą, ginąc niekiedy za gęstwą zarośli. Po godzinie drogi grunt się zmienia, trzeba przeciskać się wąskim przejściem i falangą wyciąga się długim sznurem „gęsiego” w dużych odstępach. Niebawem idziemy brzegiem lasu; rozciąga się on na wypukłym grzbiecie górskim, zasłaniając widok gęstą jedliną; z prawej strony otwiera się gwałtowny spadek ściany wąwozu, nagiej, kamienistej, pokrytej u spodu rzadkimi już płatami śniegu, wśród pojedynczo sterczących drzew. Jakiś chłodny wilgotny powiew idzie z gór, przyspieszamy kroku, nagle przejście lekko pochylone ku przepaści staje się coraz węższe i pokryte ruchomymi kamykami. Trzeba jakoś przejść. Słabsi dostają zawrotu głowy i biorą się pod ramiona, tworząc zaprzęg czterech koni w szpic. Góral pierwszy wstępuje na kamienie. Zwinnie jak kot, człowiek w sile wieku, przeszedł kilkanaście łokci ruchomego gruntu. Dalej pierwszy kolega N. wchodzi odważnie, stawia kilka kroków i nagle rozlega się chrzęst złowrogi, kamyki staczają się w bok, turysta chwieje się i zatrzymuje w miejscu. Jeden kamień dobiega brzegu, uderza o krawędź, odskakuje i długo, głucho, monotonnie stacza się w przepaść... Milknie wreszcie w śniegu na dnie wąwozu i zalega cisza złowroga.

Rusza niepewnie dalej; góral wybucha śmiechem: „To nie tak straszne!”

Przechodzimy jeden za drugim w nieustannym huku strącanych kamieni.

Po chwili las się kończy, otwiera się płaskowzgórze, zamknięte górą, szczelnie zarośniętą. Zdawałoby się, że to tak blisko, a tam iść trzeba jeszcze godzinę!

Wilgoć staje się przenikliwa, wokół śnieg topnieje, tworząc wąskie strumyki, lecące z zawrotną szybkością. Gruby cień, rzucony przez górę, pełźnie po pochyłości i zapada w czarne szczeliny, znaczące się jak ciemne plamy. Wtem słońce zagrało na szczycie! Obnażona skała błyszczący w promieniach i jakby drga. Wycieczka zatrzymuje się, olśniona widokiem. Ktoś deklamuje:

„Obnażone wirchy i spadziste turnie,

Ale człek tu buja, niby orzeł — górnier!”

Z zachwytem rozglądamy się wokół.

Wzgórze, ściany, wąwóz w jednej chwili nappełniły się blaskiem smug słonecznych. Światło, silnie rzucone przez szczyt świecący, rozszerzyło się gwałtownie, objęło szerokim pasem zbocza górskie i, cieniując coraz bardziej, ginęło w załamach skalnych.

Wszystko to trwało zaledwie parę minut, nadlatujący obłok odciał promienie od kuli słonecznej i znów pokrył mrokiem światłodajną skałę.

Zatrzymujemy się na odpoczynek.

Ale po kwadransie nie wszyscy już chcą iść dalej i odtąd szlak zaściela się stopniowo zmęczonymi. Nieliczna garstka staje u szczytu, jeszcze jedno niebezpieczne przejście przy pomocy górala i jesteśmy u stóp pamiątkowego krzyża. Stąd roztacza się rozległy widok na



grzbiety górskie. Tuż — czeska granica. Nad innymi góruje Garluch, ale tam — informuje nas przewodnik — wziąłbym tylko jednego turystę, za dużo przepaści.

Droga, którąśmy przebyli, widoczna jak na dłoni, szczybi się u góry schodami, wykutymi w skale. Niżej widne sylwetki odpoczywających „niedołęgów”.

Posiliwszy się w restauracji, spędzamy drugą noc w wagonie, szczelnie zamknięci przed chłodem nocy.

Odjeżdżamy nazajutrz w południe, z żalem żegnając tak mało jeszcze znane Zakopane. Teraz stary Kraków nęci swemi powaby. Już, zdala widny, świecący w ciemnościach pocwodzią światel, wyłania się z za szyn w stację rozgałęzionych.

Poprzez puste ulice z dworca mierzymy do przygotowanego noclegu w Łobzowie. Późno już jest. Zmęczeni, śpiący stajemy przed wyniosłym gmachem kadetów. Jakiś żołnierz otwiera drzwi i okrutnie ziewając zaprasza do dwóch sal kompletnie pustych. Rozpacz ogarnia zaspiane „bractwo”: „Jako? przecież daliśmy znać o przyjeździe. Czy niema tu nic do spania?” Żołnierz na migi pokazuje, że o niczem nie wie: „Takich jak panowie, ciągle tu pełno” — dodaje obojętnie. Raptem genialny przebłysk naprowadza go na właściwą drogę, i po chwili ukazuje się ciągnąc z trjumpfem dwa wątpliwej wartości sienniki. Znajduje się ich cała masa, bo aż szesnaście; dość obszernych, od biedy można się pomieścić. Lokujemy się po dwóch i pierwsza noc poza pociągami, wśród wzajemnego spychania się i walki przez sen o lepsze miejsca wydaje się rozkoszną.

Rano powstaje ogonek do jedyne go kranu i studni, bo wszyscy chcą się nareszcie umyć do czysta.

Najgorzej jest z pożywieniem. Błąkając się gromadnie (co się rzadko zdarza ze względów budżetowych) po mleczarniach i restauracjach trzeba tworzyć conajmniej dwie zmiany, a w jadłodajniach też się „wcina kolejka”. Trudno! Apropozycja musi być ogólna.

W Krakowie dostajemy całodziennę utrzymywanie w „Domu Żołnierskim” i odtąd staje się on „podstawą operacyjną” wycieczek na miasto.

Nie sposób jest zwiedzić Kraków w ciągu dwóch dni. Kręcimy się w kółko na małej przestrzeni, nabitej wprost zabytkami.. Ba! A trzeba przecież zwiedzić jeszcze teatr, planty, lepsze cukiernie, sklepy i inne nowoczesne osobliwości.

Rozpoczynamy od Rynku. Sukiennice, kościoły, wspaniałe gotyk Najśw. M. P. i krypta Wita Stwosza — wreszcie Wawel.

Mamy pół dnia czasu na poznanie najwspanialszego zabytku narodowego.

Lecz czemuż to jest wobec długich godzin, jakie tu spędzają niektórzy mieszkańcy Krakowa?

Wobec ogromu snujących się wspomnień, scen, zaczerpniętych z dziejów, któreby się chciało odtworzyć? A wyzierają one z każdego kąta!

Zewsząd cisną się postaci, od dzieciństwa w pieśniach wymarzone, wypieszczone wyobraźnią, na zawsze w duszy wyrte. I gromadzą się wokół wielkie, wspaniałe, urokiem przeszłości owiane i nastrajają katedrę na majorowy ton! Uroczysty głos przewodnika monotennie obwieszcza królewskie grobowce.



Idą w pochodzie na Wawel dostojne szeregi Piastów, Jagiellonów, królów elekcyjnych...

Pełne mocy i majestatu, mrokiem dziejów zasnutę, barwą i wonią zbutwiałych szkarłatów odsłaniają blask swej potęgi, przez wieki skruszałej.

Opromienieni widomym znakiem władzy monarszej — koroną i berłem, dążą do wspaniałego pomnika wielkości i chwały, grobowca przeszłości, co wznosi się jako ołtarz „narodowego pamiątek kościoła”.



Wejście wycieczki szkolnej do Puław.

Przeszli. Ostatniem echem odbłasku ginącej potęgi urasta sarkofag Sobieskiego.

Olbrzymie kształty marmurowej rzeźby zamykają długi szereg wykutych z kamienia postaci.

Po bokach tablice i pomniki tych, co uwidocznili swe imię, a w środku potężny grobowiec św. Stanisława. Jest on zgrzytem w architekturze świątyni: ciężki, zamykający perspektywę, przytłacza renesansowe linje harmonijnej katedry.

Głos przewodnika rozprasza rojenia. Idziemy dalej. Skarbiec, bezładnie porozrzucane w ciasnych podziemiach groby królów, Kościuszki, ks. Józefa, krypta Mickiewicza, pokryta podpisami zwiedzających



(Zamek jeszcze zamknięty) wreszcie wieża. Wchodzimy drewnianymi schodami i u szczytu otwiera się wąskie wnętrze wielkości pokoju. Przymocowany do grubej belki, opartej na ruchomym skrzyżowaniu, wisi — Zygmunt.

Spізowy olbrzym w jasnym świetle okien połyskuje świecącym odblaskiem srebra. Potężne liny zwieszają się z dwóch stron; ujmujemy je w dziesięciu i powoli majestatycznie chwieje się stary dzwon. Nie możemy go rozbujać, opieram się o serce i z wysiłkiem popycham je naprzód, uderza lekko o ścianę — donośny dźwięk napełnia mury wieży. Cóż dopiero, gdy naprawdę „Zygmunt dzwoni”.

Wracamy na obiad. W czystym „Domu Żołnierskim” na ławach przy drewnianych krzyżakach zjadamy zupę i zrazy na cynowych misach. Panuje z początku nastrój dziwnie uroczysty. Niemal wszyscy poraz pierwszy widzieli Wawel. Ale podniosłe wrażenie szybko pryska. Po obiedzie dostajemy urlop na zwiedzanie nowoczesnego Krakowa. Typowe uczniowskie włóczenie się po mieście w nieporównanych humorach. Wszystko bawi. Szyld „galicyjski”, komiczna pocztówka, nogi niezgrabne, wykręcone buciki, a przede wszystkim miny i ruchy, snujących się par na plantach.

Wieczorem idziemy do teatru; jest niemal pusty. Wychodząc formujemy się czwórkami — dawno nie praktykowana rutyna. Znudziło się już wszystkim maszerowanie i kolega K., bezradny wobec niesfornej gromady, podał się już dawno do dymisji. Teraz jest czwarty z rzędu, i to na wylocie. Zdziwiony niezwykłym zapalem, staje na czele oddziału. W podskokach ruszamy naprzód. Niebo gwiazdzone, księżycowe, od Wisły idzie chłodny powiew. Po chwili ktoś z tyłu nuci:

„W towarzystwie weteranów  
Każdy zna tych panów”

podchwytną liczne głosy:

„Bo tam co niedziela  
Jest wesela wiele”.

Nastrojone na głęboki bas, gdzieś tam załamują się skandalicznym kogutem.

„O północy się zjawili  
Jacyś dwaj cywile,

Spędzamy drugą noc w Łobzowie, nazajutrz muzea, Skałka, Kopiec Kościuszki i wreszcie trzeciego dnia jedziemy do Wieliczki. Zaledwie parę fragmentów zostało mi w pamięci. Obszerna winda, długo spuszczana w dół, i długie, czarne, rozgałęzione korytarze, wsparte na rusztowaniach. Szliśmy prawie godzinę do słynnych salin, a potem kaplicy w soli wykutej. Powstało tam całe miasto podziemne.

W wagonie, przyozdobionym zielenią, wracamy do Warszawy. Na stacji w Krakowie ogólne mycie. Ciepła woda z lokomotywy znakomicie ułatwia zadanie. Ostatnia noc w wagonie na twardych deskach dłuży się niewymownie. Świt nas zastaje przy oknach, albo skulonych na ławkach w odrętwieniu. Smętny jest obraz wracającej wycieczki.

Zakurzeni, wychudli, w pomiętych ubraniach wysypujemy się na bruk warszawski, i tu dopiero przychodzi refleksja: „Na jutro są już przecież lekcje”.



# S A M O P O M O C

JANUSZ PISZCZATOWSKI

**W** JESIENI 1918 roku powróciła szkoła nasza do Odrodzonej Ojczyzny. Nakoniec, po całym szeregu przejść, po bolesnej stracie, w ogniu rewolucji rosyjskiej kilku profesorów i uczniów, można było rozpocząć normalną pracę. Ciężkie jednak warunki materialne, w jakich się znajdował ogół społeczeństwa, a w szczególności Polacy, przybyli z Rosji i Ukrainy, przeszkadzały spokojnemu oddaniu się nauce.

Bardzo wielu z pośród uczniów naszej szkoły potraciło na obczyźnie rodziców lub opiekunów i nie miało w kraju nikogo z bliskich. Życie młodzieży w takich warunkach stawało się bardzo ciężkie. Nawet najbardziej troskliwa opieka władz szkolnych, które z całym poświęceniem oddały się pracy, nie mogła zastąpić tym rozbitkom utraconych najbliższych. Jedynie tylko ścisłe współżycie koleżeńskie i opieka starszych kolegów nad młodszymi mogły przynieść ulgę w ich ciężkim życiu.

Nic jednak nie bliża tak ludzi do siebie, a szczególnie młodzieży, jak wspólna praca w jakiegokolwiek organizacji. To też w styczniu 1919 roku powstaje z inicjatywy kolegów Janusza Makarczyka i Stefana Szeliskiego, przy wydatnym współudziale władz szkolnych, organizacja koleżeńska — Samopomoc. Jak już sama nazwa wskazuje, młodzież miała sama sobie pomagać, a pomoc miała być dwojaka: materialna i moralna.

Specjalnie powołana komisja opracowała statut organizacji, który następnie został zatwierdzony przez Dyрекcję Szkoły.

Samopomoc obejmowała wszystkich uczniów szkoły naszej, kierownictwo leżało w rękach Rady Delegatów klas, która ze swej strony powoływała Zarząd, o zmiennej, w zależności od rozwoju działalności, liczbie członków.

Na czele pierwszego Zarządu stanął kol. Stefan Szeliski. Nadto statut przewidywał stanowisko kuratora, wybieranego na rok jeden przez Radę Delegatów, z grona profesorów, Kurator miał opiekować się organizacją, załatwiać wszelkie formalności z Dyрекcją Szkoły oraz przewodniczyć Komisji Rewizyjnej. Pierwszym kuratorem został obrany p. doktor Władysław Kociatkiewicz.

Koniec roku szkolnego 1918/19 upłynął przeważnie na pracy organizacyjnej; uruchomiono sklepik z materiałami piśmiennymi oraz czytelnię czasopism.

Oba powyższe działy prosperowały bardzo dobrze i cieszyły się ogólnym uznaniem.

Z rozpoczęciem się roku szkolnego 1919/20 Samopomoc, pod dalszym kierownictwem kol. Szeliskiego rozpoczęła intensywną pracę, tworząc już siedem działów: Sklep, Czytelnię, Biuro pośrednictwa pracy, Antykwarnię, mającą na celu wymianę podręczników, Seminarjum, prowadzące bezpłatne komplety naukowe, oraz Skarb i Sekretariat.



Fundusze czerpano ze składek i dochodów ze sklepu.

W celu zwiększenia funduszy zostały zorganizowane dwa koncerty, których program wykonany był całkowicie przez kolegów.

Zyskawszy w ten sposób większy zasób gotówki, rozpoczęła Samopomoc wydawać pożyczki i zapomogi oraz opłacała kilka wpisów.

Sz szczególnie intensywną stała się praca Seminarjum.

Większość uczniów naszej szkoły pochodziła z Rosji lub Ukrainy i potrzebowała znacznej pomocy naukowej. Uruchomiono też kilkanaście kompletów z blisko 200 uczestnikami; korzystanie z nauki było bezpłatne, a korepetytorów opłacała Samopomoc.

W styczniu 1920 roku ustąpił prezes Zarządu kol. Szeliski, kierownictwo zaś objął kol. Andrzej Marchwiński. Na kuratora obrano p. profesora Józefa Krokowskiego. Praca była kontynuowana w dalszym ciągu, jedynie tylko została zwinięta, ze względu na duże koszty, czytelnia czasopism.

Jako organizacja, obejmująca ogół uczniów, Samopomoc roztoczyła ścisłą kontrolę nad wszystkimi organizacjami, znajdującymi się na terenie szkoły i reprezentowała młodzież na wszelkich uroczystościach. Wprowadzono do statutu cały szereg poprawek oraz powołano do życia Sąd koleżeński — jednokompletowy, mający na celu załatwianie kwestyj spornych między kolegami a organami Samopomocy, oraz mający stać na straży etyki koleżeńskiej. Wszedłszy w porozumienie z powstałą na terenie Warszawy Centralą Samopomocy uczniowskich, Samopomoc nasza wzięła udział w piśmie „Młoda Myśl”.

W styczniu 1921 roku został urządzony bardzo udany koncert-bal. Od tego czasu bale takie były urządzone corocznie i stale przynosiły znaczne dochody, zasilając kasę Samopomocy.

W lutym tegoż roku następują nowe wybory, mocą których, kuratorem został obrany p. prof. Witold Ruszczycki, a kierownictwo Zarządu objął kol. Jan Kisler, prowadząc dalej rozpoczętą pracę. Profesor Ruszczycki, gorliwie opiekując się Samopomocą, pozyskał zaufanie ogółu kolegów i odtąd stale, aż po dzień dzisiejszy piastuje godność kuratora.

W jesieni 1921 roku obejmuje stanowisko Prezesa Zarządu kol. Jan Tysza.

Prosperująca świetnie i stale się rozszerzająca dotychczas Samopomoc zaczyna, z powodu tarć wśród władz oraz znacznie zmniejszonego zainteresowania wśród kolegów, przeżywać pewien kryzys.

Z tego powodu Seminarjum, Biuro pośrednictwa pracy oraz Antykwarnia zostały zlikwidowane. Jedynie tylko Komisja kulturalno-oświatowa rozszerzyła znacznie swą działalność i zorganizowała cały szereg odczytów, pokazów i przedstawień teatralnych.

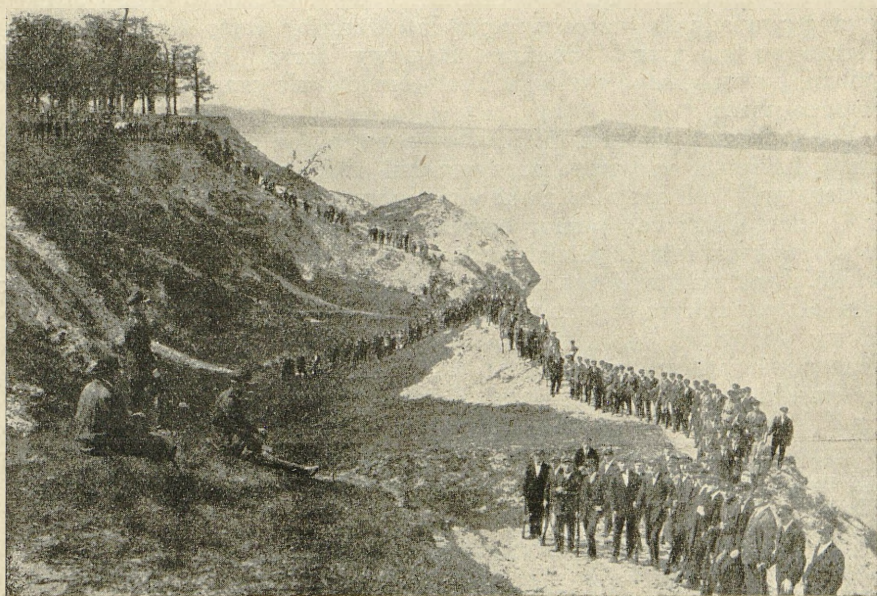
Kryzys ten przeciągnął się i nawet doszedł do maksymalnych rozmiarów w roku szkolnym 1922/23 w czasie kierownictwa kol. Marka Wiśniewskiego.

Rok ten był najfatalniejszym w dziejach Samopomocy. Wszystkie prawie działy zostały zwinięte, prosperował jedynie sklepik. W takich warunkach objął Zarząd w jesieni 1923 roku kol. Roman Mazurkiewicz, który dobrawszy odpowiednich współpracowników, dźwignął ponownie organizację i, wprowadziwszy cały szereg inowacji, przywrócił jej dawne znaczenie.



Wszystkie działy, będące w okresie kryzysu w zaniku, zaczęły nadal prosperować, a sklep, prócz towarów piśmiennych, dostarczał kolegom ze znacznym rabatem podręczników i dzieł literatury.

Po ustąpieniu kolegi Mazurkiewicza, objął na rok szkolny 1924/25 Zarząd Samopomocy kol. Janusz Piszczatowski. Wobec powiększenia się funduszy Samopomocy, Zarząd rozszerzył dział zapomóg oraz zapłacił kilka wpisów. Komisja zapomóg prosperowała bardzo dobrze i zdołała udzielić kolegom pożyczek na ogólną sumę około tysiąca złotych.



Z ćwiczeń hufca wyszkolenia wojskowego na Bielanych 12 maja 1926 r.

Komisja kulturalno-oświatowa, otrzymawszy szerokie pole do działania, ze względu na wprowadzenie kart, biletów ulgowych do teatrów i kinoteatrów, rozdała ich około dwóch tysięcy, dając w ten sposób możliwość ubogim kolegom uczęszczania na widowiska.

Duże trudności napotkał Zarząd w prowadzeniu sklepu, który, będąc znacznie rozszerzony, wymagał wielkiego poświęcenia ze strony kierownika oraz zajmował dużo czasu, to też, wskutek propozycji 13 drużyny harcerskiej został wydzierżawiony jej na dogodnych warunkach. Samopomoc zastrzegła sobie prawo kontroli cen oraz szereg innych prerogatyw.

Wobec trudności, jakie napotkał Zarząd przy ściąganiu składek, prezes Zarządu porozumiał się z Kołem Opieki Rodzicielskiej, które zobowiązało się ściągać składki Samopomocy wraz ze swymi składkami przy wpisie.



Prócz tego, wszedłszy w porozumienie z nowo-powstałym na terenie szkoły, Kołem Artystycznym, Zarząd zaczął wydawać miesięcznik „Wzwyż”, którego dwa numery wyszły w 1925 roku na wiosnę, oraz zorganizował bibliotekę, początkowo szczupłą zaopatrzoną, lecz po zakupieniu całego szeregu dzieł literackich i beletrystycznych, jak na pierwszy rok istnienia, dość pokaźnie się przedstawiającą. Zawdzięczając energicznej i dobrze zorganizowanej pracy Zarządu oraz współpracy Prezydium Rady przedstawicieli klasowych, majątek Samopomocy wzrósł czterokrotnie.

Wreszcie w roku szkolnym 1925/26 objął Zarząd kol. Zenon Falkowski. Już duże trudności napotkał nowy Prezes przy tworzeniu Zarządu. Zainteresowanie ogółu kolegów organizacją, która, śmiało można powiedzieć, już cały szereg lat działając, dużo dobrego zrobiła, doszło do minimum. Pomimo to, nowy Zarząd dokłada wszelkich starań, by zwiększyć zaufanie i zainteresowanie oraz dalej prowadzić owocną pracę.

Przejrzawszy obecnie dzieje Samopomocy w ciągu jej siedmioletniego istnienia, widzimy, poza małymi wyjątkami, stały jej rozwój. Jeden swój cel spełniła całkowicie, pomoc materialna jest zupełnie widoczna. Drugi cel, pomoc moralna, był niestety osiągnięty jedynie w pierwszych latach jej istnienia. Ogólnie dające się zauważyć zjawisko, brak zainteresowania się organizacjami społecznymi, a co za tem idzie, brak jakiegokolwiek do nich zaufania, powodowało stopniowy upadek tego wpływu. W pierwszych jeszcze latach z opinią Samopomocy liczył się każdy kolega i zdanie jej wysoce sobie cenił. Ze smutkiem należy stwierdzić, że ilość chętnych do pracy w organizacji kolegów stale maleje; rok rocznie trudniej jest ukonstytuować władze, niema współpracy kierownictwa z członkami, wobec czego nie może organizacja tak prosperować, jak powinna. Cały ciężar spoczywa przeważnie na jednostkach, które z poświęceniem oddają się tej pracy. Należy jednak stwierdzić, iż jest to objaw ogólny, widzimy to samo i w organizacjach akademickich oraz w społeczeństwie starszym. Miejmy nadzieję, że ogół, przeżywszy ten kryzys, podejmie nadal pracę społeczną, tak ważną rolę w życiu odgrywającą.

Samopomoc nasza wyrobiła jednak społecznie wielu kolegów. Cały szereg byłych jej pracowników, po wyjściu ze szkoły, wykazał w pracy organizacyjnej akademickich a nawet w życiu starszego społeczeństwa wielkie zdolności i wyrobienie społeczne.

Jest to w dużej mierze zasługą Dyrekcji naszej szkoły, która wszelkimi sposobami popiera organizacje młodzieży oraz stara się przygotować swych wychowanków do życia i pożytecznej pracy dla Ojczyzny.





# BYLI WYCHOWAŃCY

J. WEJTKO

**L**ATA szkolne, ten długi szereg dni jednostajnych i często nużących dla ucznia, ileż rozmaitych, a zawsze żywych wspomnień wywołuje w pamięci „byłego wychowanka”.

Każdy, kto szkołę skończył, wie, jakie uczucia budzi myśl o tych niezapomnianych przeżyciach w klasie, o nieskończonych uciechach z wypłatanych figlów, o wspólnych troskach i kłopotach naukowych, wreszcie o profesorach i kolegach, z których paru pozostanie bliskimi przez całe życie.



Odpoczynek po ćwiczeniach wojskowych hufca szkolnego nad Wisłą pod Bielanami.

Może z biegiem czasu niejeden szczegół ulec zapomnieniu, niejedna twarz lub nazwisko ulecieć z głowy, nie zatrze się jednak nigdy to wrażenie ogólne, jakie się unosi ze szkoły kończąc — ten nastrój nieuchwytny, lecz wyraźnie już przez samych uczniów odczuwany, który możnaby nazwać: Duchem szkoły.

Składają się nań zapewne tak różnorodne czynniki, jak lokal szkoły, dobór kolegów, osoba dyrektora i nauczycieli, wreszcie cały system pedagogiczny, tworzący pewne tradycje uczelni.

Zauważy je odrazu każdy, kto szkołę zmienia, zrozumie wszakże najlepiej ten, kto ją opuścił, by iść dalej w życie samodzielnie, może bowiem ocenić wartość wyniesionego zapasu wiadomości i zasad dla swej nowej pracy.



Patrząc na swą szkołę z oddalenia czasu — znaczenie jej rozumiemy najlepiej.

Pamiętam swe pierwsze wrażenia, gdym po wstąpieniu do „Szkoły Kulwiecia” porównywał ją ze szkołami rosyjskimi, które poznałem rozpoczynając w nich swe nauki, najpierw w Wilnie, potem w Petersburgu.

Było to w roku 1919, gdy szkoła nasza od paru zaledwie lat prowadziła swą pracę regularną po powrocie z Rosji.

Nie było w niej ani sal przestronnych, ani klas wygodnych, lub kosztownych aparatów naukowych; przeciwnie, pierwsze wrażenie zewnętrzne musiało wypaść niekorzystnie.

Uczniowie stanowili element różnorodny, zarówno co do pochodzenia, jak i zamożności, znaczna ich większość powróciła razem z nauczycielami z wygnania, część zaś wstąpiła do szkoły już w Warszawie, przeważnie po rozmaitych przejściach z bolszewikami, klasy były przepełnione, braki w kursie ogromne.

Jednakże były pewne cechy, które tę właśnie szkołę wyróżniały od innych, stanowiąc o jej wartości.

Było tam przedewszystkiem poczucie, wspólne wszystkim, od dyrektora do ostatniego ucznia, poczucie ważności przeżyć, jakie tam na obczyźnie doznane, w walce o polskość — stały się tradycją szkoły, i przy rozumnej, a głębokiej pracy jej kierowników, nie mogły nie pozostać bez wpływu na duch jej obecny.

Szereg nazwisk ludzi ofiarnych, wypisanych w krótkiej, lecz bogatej historii szkoły, stał się sztandarem, pod którym gromadziła się młodzież, pozbawiona możliwości normalnej nauki, a często nawet domu rodzinnego, lecz pełna sił żywotnych i zapału.

Nie byli to chłopcy, którzy mogliby świecić innym przykładem wzorowego zachowania się, lub postępów w nauce. Przeciwnie, warunki ich wychowania tak się składały, że nieraz nie o książce, lecz o zdobyciu jedzenia, lub o bezpieczeństwie własnem myśleć musieli. Wypadki, jakie widzieli, a czasem udział w nich brali, wyrobiły w nich samodzielność nadmierną, i wczesną znajomość ujemnych stron życia. Trudności, z jakimi walczyć musieli, odbiły się na ich wykształceniu, to też w tej dziedzinie ustępowali znacznie swym kolegom ze szkół warszawskich. Lecz górowali nad nimi znajomością życia i byli zawsze pierwszymi tam, gdzie trzeba było dać dowód czynnego poświęcenia lub trudu życiowego. Niejeden znał już w 5-ej, 6-ej klasie twarde życie żołnierskie, jednak wrócił na szkolną ławę, by kończyć przerwana naukę. Kilku pozostało w Warszawie z tych wilnian, którzy opuścili swe miasto z bronią w ręku, ulegając przemocy bolszewickiej, a przygarnięci przez szkołę, tworzyli w niej przez dwa lata swe kursa wieczorowe, aby przy pierwszej możliwości wrócić do siebie.

W takich warunkach w szkole wytworzyła się atmosfera, w której nie sama książka kształciła wychowanków; nielada umiejętnego wpływu trzeba było ze strony przełożonych, żeby tej rozmaitej, a wcześniej znającej życie, młodzieży, nadać właściwy kierunek wychowawczy.

Dowodem ducha, jaki wśród niej panował, może być fakt, że w 1920 r. uczniowie szkoły Kulwiecia, jednym z najliczniejszych zastępów poszli do wojska, by wraz z innymi swymi kolegami, przyczynić się do Cudu nad Wisłą.



Do historii szkoły przybyła nowa chlubna karta, tradycje zaś jej wzbogacił szereg złożony z 18 nazwisk poległych uczniów, wypisany na tablicy pamiątkowej pod nazwiskami zmarłych bohatersko założycieli szkoły ś. p. braci Lutosławskich.

Dnia 3 maja 1922 r. odbył się ogólny zjazd byłych wychowanców. Miał on na celu zgromadzenie rozproszonych po świecie kolegów, zebranie wiadomości o tych, których los rzucił gdzieś dalej, oraz założenie Stowarzyszenia, grupującego wszystkich dawnych uczniów.

Na Zjazd przybyło kilkadziesiąt osób ze wszystkich prawie roczników. Byli między nimi maturzyści jeszcze moskiewscy, z których wielu zajmowało już samodzielne stanowiska w życiu, większość stanowili wszakże warszawscy, — młodzież akademicka, przeważnie znająca się ze sobą choćby z widzenia.

W obradach przyjęto statut projektowanego Towarzystwa, przyczem założycielami jego i pierwszymi członkami byli obecni na Zjeździe koledzy. Ideowem tłem przyszłej pracy, niejako przedłużeniem linii działalności szkoły na szeregi, wychodzących z jej murów wychowanców — stał się referat dyrektora Kulwiecia o pracy dla Kresów.

Minął okres walk o polskość na wygnaniu; ostatnie zastępy młodzieży, wykolejonej z normalnych podstaw, kończą szkołę, coraz więcej przybywać będzie dzieci, mających możność spokojnej nauki, jednak szkoła pozostała wierna swym zadaniom — krzewienia oświaty wśród tych, którzy utrudniony mają do niej dostęp, i pracować będzie nadal z myślą o ziemiach polskich, upośledzonych pod względem kulturalnym.

Pierwszy Zarząd Stowarzyszenia b. wychowanców, ze Stanisławem Peszyńskim na czele, zabrał się z zapałem do pracy, tworząc listy swych członków z adresami i wiadomościami, by służyć informacjami o każdym z nich, pośrednicząc w zdobyciu dla nich pracy zarobkowej (korepetycyj), wreszcie dbając o podtrzymanie stałej łączności między dawnymi kolegami, drogą zebrań towarzyskich.

Niestety, warunki nie sprzyjały tym poczynaniom, zakreślonym na szeroką skalę.

Młodzież, pochłonięta życiem akademickim, rozproszona pomiędzy liczne organizacje i zaabsorbowana nauką, a często i pracą zarobkową, nie znajdowała wiele czasu, by czynnie podtrzymywać więzy, łączące ją z dawną szkołą.

Stosując się więc do okoliczności, Stowarzyszenie b. wychowanców, zredukować musiało swój program działania, szczególnie, gdy następny z kolei Zarząd przeżył kryzys, z powodu wyjazdu paru swych członków, i trudności, jakie napotykał w pracy.

Jednakże żywa pamięć o szkole i jej tradycjach nietylko się nie zacierza, lecz daje częste dowody swej wytrwałości, czy to w postaci tej łączności, jaką zachowują poszczególne grona uczniów, grupujących się w jednych organizacjach i pozostających w bliskich stosunkach ze szkołą (Harcerstwo, korp. Sparta), czy to przez kontynuację pracy pedagogicznej przez poszczególnych ludzi, w tych samych klasach, w których ongiś jako uczniowie zasiadali, czy wreszcie przez nici owej sympatji osobistej i przywiązania dawnych uczniów do swych przełożonych, której objawem jest zwykłe tradycyjne święto imienin czcigodnego Dyrektora, w dniu św. Kazimierza.



# KOŁO RODZICIELSKIE PRZY GIMNAZJUM KAZIMIERZA KULWIECIA

M. PAJOR

**M**YŚL pociągnięcia rodziców i opiekunów młodzieży do współpracy jaknajżywszej ze szkołą nad wychowaniem i wykształceniem ucznia, przyświecała już na obczyźnie twórcy naszego gimnazjum, Kazimierzowi Kulwieciowi, w trosce o przygotowanie najlepsze do życia inteligentnego obywatela w wolnej Polsce.

Ta troska — skoro tylko szkoła nasza, utworzona na tułactwie, zjechała do stolicy Rzeczypospolitej, przerodziła się w czyn: zorganizowanie przy szkole „*Koła Opieki Rodzicielskiej*”.

Jako członków powołano wszystkich rodziców i opiekunów uczniów szkoły.

Ogół członków wyłonił z pośród siebie zarząd Koła, który rozpoczął pracę celem urzeczywistnienia podjętych przez nie obowiązków. Zarząd powołał z kolei do życia szereg sekcji lub komisji dla poszczególnych dziedzin. I tak powstały:

- 1) Sekcja wpisów szkolnych.
- 2) Sekcja śniadaniowa.
- 3) Sekcja odzieżowa i książkowa.
- 4) Sekcja patronatów szkolnych.
- 5) Komisja dochodów niestałych.
- 6) Sekcja naukowo-wychowawcza.
- 7) Patronat nad harcerstwem.

Opracowano regulaminy, wskazujące cele i zakres pracy powyższych sekcji.

O działalności ich świadczą szczególnie następujące cyfry: już w roku 1918/1919 wydano uczniom bezpłatnie około 24.206 śniadań, a około 18.000 śniadań za opłatą nieznaczną.

Z bibliotek klasowych, utworzonych straniem Koła korzystało przeszło 200 uczniów. Wpisów szkolnych opłacono za 61 uczniów całkowicie, a za 42 uczniów częściowo.

W roku 1920 wyruszyła młodzież klas wyższych (od klasy V włącznie) gremjalnie do ochotniczego wojska, aby odeprzeć nawałę bolszewicką. Niezwłocznie też Zarząd Koła utworzył Sekcję opieki nad „ucznim-żołnierzem”, która rozwinęła swą działalność zrazu celem zaopatrywania uczniów w szeregach w bieliznę i przybory życia codziennego oraz przesyłała na front paczki z żywnością dla swych walczących pupilów.

Później, gdy wróg został odparty, a władze wojskowe przetrzymywały jeszcze młodzież szkolną w szeregach, sekcja zorganizowała wywiad przy pomocy uczniów harcerzy z klas niższych, aby za pośrednictwem rodziców i opiekunów zebrać dane o miejscach pobytu lub postoju poszczególnych uczniów-żołnierzy. Na podstawie wyników tego wywiadu zwracała się sekcja skutecznie do Władz i Komend





Chór szkolny pod kierunkiem prof. W. Łachmana.



wojskowych o zwalnianie uczniów z szeregów. Powracającym z wojska a potrzebującym pomocy dostarczano konieczną odzież cywilną.

W następnych latach, gdy stosunki gospodarcze społeczeństwa coraz bardziej szwankowały i nie było komu za znaczną część uczniów, należących do zbiedniałych rodzin — szczególnie z kresów, uiszczać wpłat szkolnych, rozwinęło Koło opieki działalność głównie w kierunku zdobycia koniecznych funduszy na zasiłki wpisowe jakoteż na dożywianie uczniów, nie mających środków finansowych na wikt dostateczny.

W tym celu członkowie Koła opodatkowali się stałymi składkami oraz urządzano od czasu do czasu imprezy dochodowe w formie zabaw, przedstawień i koncertów, często z pomocą uczniów, zorganizowanych w kółkach artystycznych lub literackich. Imprezy te cieszyły się zazwyczaj powodzeniem zarówno moralnym jak i materialnym.

W roku 1924 Koło opieki zorganizowało pomoc dentystyczną przy szkole, łącząc się z głosem światłych lekarzy, zwracając uwagę na złe następstwa zaniedbywania u młodzieży utrzymywania dziąseł i zębów.

Koło współdziałało też z Dyrekcją Gimnazjum gorliwie w pracy nad rozwojem harcerstwa wśród uczniów. Gdy jednak w tym celu powstała ogólna organizacja Przyjaciół harcerzy w Warszawie, okazał się Patronat harcerzy w łonie Koła opieki zbędnym.

Wspomnieć też trzeba, jeśli chodzi o powołanie się na dzielność i rozwój uzdolnień tej młodzieży, którą się Koło opiekowało, na urządzoną przez Koło z pomocą kółka artystycznego uczniów „Akademię ku uczczeniu pamięci Staszica” w listopadzie 1925 r. w sali szkoły Podchorążych. Akademia ta wypadła, jak to bezstronne głosy uznały, wspaniale i godnie. Tak uczniowie biorący udział w widowisku scenicznym „Obiad czwartkowy” pod kierunkiem prof. Jętkiewiczowej, jak w produkcjach muzycznych i chóralnych pod kierunkiem dyr. Lachmanna spisali się dzielnie w owej Akademii, na której — przyjaciel szkoły i młodzieży prof. Aleksander Janowski wygłosił piękny odczyt o Staszicu, jako wzniosłym działaczu społecznym i uczonym polskim.

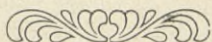
Część dochodów nadzwyczajnych z wieczorów i koncertów postanowił Zarząd Koła jeszcze w 1924 r. odkładać na zakup instrumentów muzycznych, celem założenia orkiestry uczniowskiej i pobudzenia ogółu młodzieży do żywszego zajęcia się muzyką. Pan Dyrektor Kulwiec, pragnąc przyspieszyć urzeczywistnienie tej myśli, oświadczył ze swej strony gotowość poparcia sprawy sumą równą tej, jaką Koło zdoła zebrać. Cel zamierzony został wkońcu osiągnięty, gdyż dzięki ofiarności Pana Kulwiecia oraz darowi Pani Kąsinowskiej, skarbniczki Koła, zakupiono komplet instrumentów dętych kosztem około 4.560 zł. i przygotowano utworzenie orkiestry.

Mimo niepomysłnych stosunków finansowych w kraju i zbiedzenia ogólnego wśród rodziców i opiekunów, działających w Kole, działalność jego naogół była trwałą i różnorodną, a miała na celu przede wszystkim ułatwienie bytu uczniom szkoły i wpływanie na uszlachetnienie młodych serc i rozumów.

Stałym energicznym i ciałnym łącznikiem między zespołem pedagogicznym szkoły, a organizacją rodziców okazała się szczególnie Pani Prof. Wanda Tyszkowa, której organizacja ta wiele zawdzięcza, jeśli chodzi o wyniki pracy.



Koło, chcąc nie być oderwaną jednostką, a jednocześnie uzyskać pewną materialną pomoc, przystąpiło zrazu do sekcji Kół szkolnych przy Magistracie st. m. Warszawy i uzyskało nazwę Koła szkolnego Nr. 31. Z czasem jednak zależność ta wykazała więcej przeszkód niż pożytku. Główną ujemną stroną była ta okoliczność, że K. O. R. nie było jednostką prawną i gdy w roku 1922/23 zamierzało wystąpić oficjalnie z protestem przeciwko pozbawieniu szkoły praw, było zniwolonone działać nieoficjalnie przez delegację do Ministerstwa W. R. i O. P. w imieniu rodziców, a nie jako jednostka prawna. Wobec tego w 1924 r. gdy powstała myśl utworzenia w Polsce zjednoczenia zrzeszeń rodzicielskich, Koło przy gimnazjum K. Kulwiecia niezwłocznie delegowało swoich przedstawicieli do tej organizacji i zostało jej członkiem, a następnie przyjęło opracowany przez to zjednoczenie statut wzorowy. Obecnie organizacja rodzicielska przy szkole Kulwiecia nosi nazwę „Koło Rodzicielskie”, stanowi jako stowarzyszenie osobę prawną, opierając się na statucie zarejestrowanym przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych 6.IV.1925 r. za nr. 1921.





# PERSONEL NAUCZYCIELSKI

1915 — 1925

*Antosiewicz Wacław*\*)  
*Bąkowski Franciszek*  
† *Biernacki Wiktor*  
*Błażejewicz Tadeusz*  
Ks. *Bogdański Antoni*\*\*) *Bogucka Cecylja*  
*Boguski Józef*  
*Bohuszewiczówna Zofja*  
*Boye Edward*  
*Brodzikowski Władysław*  
Ks. *Bruzdewicz Kazimierz*  
*Ceceniewski Robert*  
*Cesarz Czesław*  
*Chmielińska Eugenia*  
Ks. *Chojcecki Michał*  
*Chrupczałowski Stefan*  
*Cichecki Franciszek*  
*Czerniewski Zygmunt*  
† *Dąbrowski Jan*  
*Dąbrowski Roman*  
*Dąbrowski Stanisław*  
*Dembowski Jan*  
*Denter Zygmunt*  
*Dietl Józef*  
*Diszer Edward*  
*Nałęcz-Dobrowolski Marcei*  
*Doboszyńska Jadwiga*  
*Domański Ludwik*  
*Drejszer Zygmunt*  
*Drogoszewski Aureljusz*  
† *Dunin Karol*  
*Elwertowski Kazimierz*  
Ks. *Faliński Karol*  
*Garczyński Kazimierz*  
*Gawrońska Helena*  
† *Gibess Stanisław*  
*Giro Fr.*  
*Glass Edward*  
Ks. *Gniazdowski Marjan*  
*Gocławska M*  
*Gorski Konstanty*

*Górnicka Marja*  
Ks. *Górniecki Kazimierz*  
*Gottfried Roman*  
† *Gryżewski Jan*  
*Hauke Aleksander*  
*Hejdrich Adolf*  
Ks. *Herget Józef*  
*Heybowiczówna Stella*  
*Jachno Ludwik*  
† *Jacurński Wacław*  
Ks. *Jamiołkowski Józef*  
*Janowski Aleksander*  
*Jastrzębska Natalja*  
† *Jazwiński Maksym*  
*Jętkiewicz Lucjan*  
*Jętkiewiczowa Zofja*  
*Kaus Mieczysław*  
*Kausowa Amelja*  
*Kessłowa Jadwiga*  
*Klejnot M*  
*Kl mowicz Tadeusz*  
*Kociatkiewicz Władysław*  
*Kołodziejczyk Tadeusz*  
*Kopczyńska J.*  
Ks. *Kossakowski Marcei*  
*Krajowska Wanda*  
Ks. *Krawczyk Jan*  
*Krokowski Józef*  
*Krzymuski Kazimierz*  
Ks. *Kuczyński Stanisław*  
*Kudelski Adam*  
Ks. *Kunert Wacław*  
*Kulwiec Kazimierz*  
*Kulwieciowa Julja*  
*Kulwiec Stanisław*  
*Lachman Wacław*  
*Leśniewski Stanisław*  
† *Lipski Andrzej*  
*Lisowska Halina*  
† *Ks. Lutosławski Kazimierz*  
*Macewicz Piotr*

\*) W kolumnie wysuniętej na lewo — personel obecny.

\*\*) W kolumnie wysuniętej na prawo — personel z lat ubiegłych.

Wydrukowane kursywem — nazwiska personelu z czasu pobytu w Moskwie.



Maj Władysław  
 Marcinkowska Marja  
*Markowska Marja*  
 Markowski A.  
 Michalski Władysław  
*Miklaszewski Walenty*  
 Mrozowski Stanisław  
*Nałęcz Włodzimierz*  
 † *Napiórkowski Mieczysław*  
*Naruszewiczówna Marja*  
 Niewiadomski Stanisław  
 Ks. Nitecki Marjan  
 Nowak Zygmunt  
 Nowakowska Michalina  
 Nowicki Eustachy  
 Ogulewicz Witold  
 Oknińska Cecylja  
 Orłowska Jadwiga  
 Paszkiewicz Wacław  
 Peel Henryk  
 Peszyński Stanisław  
 Petrycki J.  
*Pękostański Stanisław*  
*Pociecha Stanisław*  
*Polańska Zofja*  
*Požaryski Mieczysław*  
*Rajkowska A.*  
*Rakowiecki Kazimierz*  
 Romeykówna Wanda  
 Rudnicki S.  
 Ruszczycki Witold  
*Sadkowska Zofja*  
*Samoraj Władysław*  
 Sieciński Henryk  
 Siewierski Mieczysław  
 Sioma Józef  
 Sławiński Kazimierz  
*Sokołowski Eugenjusz*  
*Sokołowski Marjan*  
 Szabuniewiczowa Janina

Szczawiński Kazimierz  
 Szczawiński Stanisław  
 Szukszcianka Krystyna  
 Szwarc Ksawery  
 Szwarc Ulrich  
 Ks. Szwejnic Edward  
*Szymański Jan*  
 Śliwiński Leon  
 Świdwiński Stanisław  
 † *Świdwiński Zygmunt*  
 Taflńska Hanna  
 Tokarzewicz Kazimierz  
 Tomowa Paulina  
 Topoliński Włodzimierz  
 † *Ks. pastor Tosio Tomasz*  
*Tosiowa Ernestyna*  
 Trocki Stanisław  
 Truskowski Kazimierz  
 † *Tyszka Zygmunt*  
*Tyszkowa Wanda*  
 Uhma Tadeusz  
*Waraszkiewicz Stanisław*  
*Wachowski Kazimierz*  
 Ks. Wasiak Jan  
 Wasik Józef  
 Wasowicz Wacław  
*Wieliczko Juljusz*  
 Ks. Wilamowski Bolesław  
*Wiśniewski Tadeusz*  
 Wołosowicz Stanisław  
 Woydyno Władysław  
 Wróblewski Karol  
*Vorbrodt Władysław*  
 † *Uzdowski Józef*  
 Zadrowski Stanisław  
 Zarebska Emilja  
*Zdanowski J.*  
 Zetowicz Stanisław  
 Zielińska Iza





# MATURZYŚCI GIMN. ŚW. KAZIMIERZA

(668)

Affeltowicz Stanisław  
Ambroziewicz Juljusz  
Andruszczenko Włodzimierz  
Andrzejewski Tadeusz  
Anuszewski Albin  
Arciszewski Zenon  
Badowski Jerzy  
Baliński Edmund  
Bar Franciszek  
Bar Tadeusz  
Barciński Wacław  
Bendarzewski Stanisław  
Bereśniewicz Marjan  
Białkowski Jakób  
Białkowski Kazimierz  
† Błęszyński Zdzisław  
Błotnicki Władysław  
Bobiński Roman  
Bogusławski Stanisław  
Boguszewski Stanisław  
Boguszewski Tadeusz  
Bohdanowicz Franciszek  
Bojarski Ludwik  
Bojarski Nikodem  
Borkowski Tadeusz  
Borkowski Wacław  
Borowski Władysław  
hr. Breza Krzysztof  
Brodzicki Zdzisław  
Brokowski Roman  
Bronowski Witold  
Brzozowski Alojzy  
Brzozowski Antoni  
Brzozowski Karol  
Brzozowski Stefan  
Brzozowski Witold  
Buczyński Bogusław  
Bujalski Jerzy  
Bury Tadeusz  
Byczyński Zygmunt  
Byszewski Józef  
Čaky Ryszard  
Celiński Józef  
Cel'ński Wacław  
Chachulski Piotr  
Chitruk Wiktor  
Choiński Maurycy

Chrapowicki Witold  
Chromiński Tadeusz  
Chromiński Władysław  
Chrzanowski Rajmund  
Chwalibóg Ryszard  
Chwalibóg Tadeusz  
Chyla Stanisław  
Chyliński Tadeusz  
Ciborowski Franciszek  
Cieplowski Edmund  
Cichowski Mieczysław  
Ciundziewicki Jerzy  
Ciundziewicki Leon  
Ciundziewicki Stefan  
Ćwikel Władysław  
Cybulski Jan  
Cybulski Tadeusz  
Cynkutis Edward  
Cywiński Mamert  
Cywiński Włodzimierz  
Czaplicki Edmund  
Czarnocki Rajmund  
† Czech Tadeusz  
Czczot Otton  
Czulda Henryk  
Dajczman Zygmunt  
Danielewicz Juljusz  
Danilewicz Ludomir  
Dargiewicz Stefan  
Dawidowski Bohdan  
Dawidowski Czesław  
Dawidson Aleksander  
Dąbrowski Janusz  
Dec Ludwik  
Derwiński Mieczysław  
Dębicki Kazimierz  
Dobkowski Edward  
Dobiecki Józef  
Dobrowolski Michał  
Domański Janusz  
Domański Józef  
Domański Stefan  
Dorant Stanisław  
Dorant Władysław  
Dorja-Dernałowicz Czesław  
Douglas Jerzy  
Dowkontt Jerzy



Downar Edward  
Dowojna-Sylwestrowicz Ludwik  
† Drecki Włodzimierz  
Drewski Tadeusz  
Drzewiecki Wacław  
Duchnowski Tadeusz  
Dulęba Feliks  
Duniewicz Wiktor  
Durasewicz Eugenjusz  
Dziarkowski Janusz  
Ehrenkreutz Zbigniew  
Eljasz Stefan  
Engelhardt Kazimierz  
Erdman Jan  
Eysymontt Tadeusz  
Fafius Roman  
Fedeki Bronisław  
Fedor Zygmunt  
Feller Eugenjusz  
Fickowski Stanisław  
Filipski Czesław  
Flanczewski Edward  
Fried Eugenjusz  
Gajewski Zygmunt  
Garliński Stanisław  
Garliński Tadeusz  
Gaszczyński Marjan  
Gądziński Stefan  
Gątkiewicz Jan  
Gęsiński Jan  
Giergielewicz Mieczysław  
Giziński Stanisław  
Gjel Wacław  
Glass Aleksander  
Głazewski Stanisław  
Głowiński Piotr  
Goebel Jerzy  
Golcz Marjan  
Golcz Włodzimierz  
Goldbard Stanisław  
Gołębiowski Józef  
Gołębiowski Stanisław  
Gołębiowski Zygmunt  
Gorayski Tadeusz  
Gorayski Wtold  
Górnicki Tadeusz  
Gorski Zygmunt  
Górski Karol  
Górski Lech  
Górski Włodzimierz  
Gostomski Stefan

Grabowski Marek  
Gryżewski Kazimierz  
Gryżewski Tadeusz  
Guerquin Bohdan  
Gumiński Jan  
Gutry Władysław  
Heidrich Adolf  
Helbing Henryk  
Helbing Stefan  
Helwig Wiktor  
Henneberg Adam  
Hera Edmund  
Hermanowski Henryk  
Hettlinger Ryszard  
Hinel Tadeusz  
Hirszel Stefan  
Hiszpański Mirosław  
Hłasko Józef  
Hoffman Jerzy  
Hołyński Lucjan  
Horn Wojciech  
Horowicz Michał  
Horowicz Zygmunt  
Hurwicz Kazimierz  
Ihnatowicz Aleksander  
Ihnatowicz Stefan  
Iwanicki Zenon  
Ivanka Aleksander  
Jabłoński Janusz  
Jabłoński Tadeusz  
Jackowski Tadeusz  
Jacuński Jan  
Jacyna Wacław  
Jagłowski Józef  
Jahołkowski Ryszard  
Janiewicz Stanisław  
Jakimowicz Stanisław  
Jaksa-Bykowski Zygmunt  
Jakubowski Dominik  
Jankowski Lucjan  
Jankowski Wacław  
Jankowski Władysław  
Januszewicz Czesław  
Jaraczewski Edmund  
Jarociński Zbigniew  
Jasieński Wiktor  
Jasionowski Jarosław  
Jasionowski Tadeusz  
Jaskólski Leon  
Jaworski Feliks  
Jaworski Jan



Jaworski Stefan  
Jełowicki Stefan  
Jasiński Wiktor  
Jeziorowski Witold  
Józefowicz Stefan  
Jurkowski Józef  
Juszczakowski Ezechjel  
Juszczakowski Jan  
Kacperski Kazimierz  
Kaczmarek Władysław  
Kadziński Roman  
Kaliński Adam  
Kaliński Stefan  
Kałataluk Włodzimierz  
Kamiński Aleksander  
Kapliński Jerzy  
Kapuściński Władysław  
Karpiński Jerzy  
Karpowicz Jan  
Karpowicz Janusz  
Kasprzycki Emil  
Kempa (Kępa) Józef  
Kiepał Henryk  
Kiersnowski Roman  
Kiersnowski Witold  
Kistelski Leszek  
Kizler Jan  
Kleczyński Bohdan  
Kłopotowski Józef  
Kłys Jerzy  
Kobusiewicz Tadeusz  
Kobierzycki Stanisław  
Kobyliński Józef  
Koch Władysław  
Koenig Tadeusz  
Koenigstein Ludwik  
Kończak Konstanty  
Kończak Stefan  
Kołodziejski Zenon  
Komarnicki Jerzy  
† hr. Komorowski Karol  
Kondratowicz Henryk  
Kopytowski Czesław  
Korewo Janusz  
Korolko Henryk  
Kornacki Kazimierz  
Koronacki Wacław  
Korytkowski Stanisław  
Kosmahl Gustaw  
Kostecki Jan  
Kostecki Tadeusz

Kościąlkowski Włodzimierz  
Kośmider Marjan  
Kowalczyk Marjan  
Kcwański Stefan  
Kozakowski Maciej  
Kozłowski Stanisław  
Kozłowski Tadeusz  
Kozmiński Zygmunt  
hr. Krasicki Lech  
Krasuski Bogusław  
Krauze Janusz  
Krukowski Kazimierz  
Krukowski Stefan  
Kruszewski Józef  
Krzycki Tadeusz  
Kuczyński Witold  
Kudelski Stanisław  
Kuhnke Stanisław  
Kulwiec Stanisław  
Kulwiec Zbigniew  
Kurnatowski Ryszard  
Kutzner Stanisław  
Kwapiszewski Jan  
Kwiatkowski Feliks  
Kwieciński Józef  
Lachert Bohdan  
Lachert Czesław  
Lachert Zygmunt  
Laferski Tadeusz  
Lalewicz Stanisław  
Lalewicz Witold  
Lange Mieczysław  
Lenartowicz Kazimierz  
Lenartowicz Zdzisław  
Leszczyński Jerzy  
† Levitoux Karol  
Ligarszewski Tadeusz  
Lipiński Stefan  
Lisowski Aleksander  
Lisowski Bronisław  
Lisowski Tadeusz  
Lisowski Zbigniew  
Litwa Bolesław  
Lutosławski Bohdan  
Lutosławski Franciszek  
Lutosławski Jerzy  
Lutosławski Zbigniew  
Lutyński Stefan  
Luxemburg Jerzy  
† Łada Tadeusz  
Łada Tadeusz



Łapienis Michał  
Ławecki Antoni  
Łącki Tadeusz  
Łopatecki Stanisław  
Łowiński Józef  
Łowiński Marjan  
Łuczyński Romuald  
Łuczyński Włodzimierz  
Łukowski Aleksander  
Mackiewicz Włodzimierz  
Machowski Tadeusz  
Makarczyk Feliks  
Makarczyk Janusz  
Makarczyk Tadeusz  
Makarczyk Zbigniew  
Makowski Kazimierz  
Malewski Stanisław  
Maliński Stanisław  
Małecki Stanisław  
Marchwiński Andrzej  
Marcinowski Aleksander  
Marcinkowski Jerzy  
Marcinkowski Kazimierz  
Markowski Stanisław  
Marski Włodzimierz  
Martynowski Grzegorz  
Martynowski Jakób  
Martyszewski Jarosław  
Marylski-Łuszczewski Edward  
Matukiewicz Czesław  
May Stanisław  
Mazur Michał  
Mazurkiewicz Roman  
Meyer Jan  
Michalak Kazimierz  
Michalski Józef  
Michniewicz Janusz  
Mielczarski Władysław  
Mierzejewski Stanisław  
Mikołajczyk Józef  
Mikoszewski Stefan  
Mikulski Stefan  
Milbrat Ryszard  
Milbrat Włodzimierz  
Milewski Zenon  
Milicer Jerzy  
Missuna Olgierd  
Mitkiewicz Jan  
Młodecki Wacław  
Modrzejewski Zenon  
Moraczewski Maciej

Moraczewski Wojciech  
Morawski Bogusław  
Mościcki Henryk  
Mosiewicz Konstanty  
Mroziński Stanisław  
Mularczyk Wincenty  
Munkiewicz Stefan  
Muszak Hieronim  
Muszyński Czesław  
Mück Janusz  
Myśliński Bronisław  
Myśliński Zygmunt  
Nagłowski Ryszard  
Naimski Jerzy  
Nestorowicz Mieczysław  
Neuding Jerzy  
Neuding Wacław  
Niczyporowicz Stanisław  
Niedzwiałowski Aleksander  
Niekraszewicz Paweł  
Nielubowicz Czesław  
Niemczyński Mikołaj  
Niewiadomski Tadeusz  
Niwiński Władysław  
Normark Mieczysław  
Nowak Maciej  
Nowakowski Kazimierz  
Nowakowski Mieczysław  
Nowicki Jan  
Obarski Mieczysław  
Obidko Kazimierz  
Obieziński Joachim  
Obrębski Zenon  
Obuchowicz Tadeusz  
Ogrodzki Jan  
Ogrodzki Józef  
Ogrodzki Kazimierz  
Okolski Jerzy  
Okolo-Kuśak Eugenjusz  
Okolów-Podhorski Tadeusz  
Olszyński Czesław  
Ołtarzewski Zdzisław Bartosz  
Orłowski Józef  
Orzeł Witold  
Osiejewski Edmund  
Osiński Wacław  
Ostrowski Edward  
Ottomański Edward  
Owczarski Jan  
Owczarski Stefan  
Pałęcki Janusz



Pałęcki Zbigniew  
 Paruszewski Zenon  
 Pasikowski Wacław  
 Paszkiewicz Mieczysław  
 Patek Tadeusz  
 Pawłowicz Eryk  
 Pawłowski Tadeusz  
 Pałowski Tomasz  
 Peczelewicz Zygmunt  
 Penkacki Czesław  
 Perwel Stefan  
 Peszyński Stanisław  
 Petrych Jan  
 Pączkowski Mieczysław  
 Piotrowski Maciej  
 Piotrowski Mieczysław  
 Piszczatowski Adam  
 Piszczatowski Janusz  
 Platé Tadeusz  
 Planeta Brunon  
 Poczobut-Odlanicki Ludwik  
 Podgórski Stanisław  
 Podoski Jan  
 Podoski Jerzy  
 Podoski Julian  
 Pogorzelski Czesław  
 Polaczek Tadeusz  
 Polak Stefan  
 Polkowski Bolesław  
 Polkowski Wacław  
 Porębski Franciszek  
 hr. Potocki Antoni  
 Pożniak Henryk  
 hr. Prandota-Prandecki Mieczysław  
 Prószkowski Witold  
 Prószyński Feliks  
 Pruski Stefan  
 Przedpełski Stefan  
 Przybylski Karol  
 Przybysz Euzebjusz  
 Przybysz Stanisław  
 Przyłuski Bohdan  
 Pszczółkowski Edmund  
 Ptaszyński Józef  
 ks. Puzyna Krzysztof  
 Raabe Jerzy  
 Radzio Jerzy  
 Radziwiński Jerzy  
 Radziwiński Włodzimierz  
 ks. Radziwiłł Krzysztof

Rafałowicz Stanisław  
 Rahnenfeld Romuald  
 Rakuza-Suszczewski Kazimierz  
 Ramlau Włodzimierz  
 Rasiński Tadeusz  
 Redlich Ryszard  
 Regulski Piotr  
 † Restorff Bohdan  
 Rochowicz Kazimierz  
 Rochmiński Witold  
 Rodys Włodzimierz  
 Rogalski Mieczysław  
 Rogowski Roman  
 Rola Antoni  
 Rola Lucjan  
 Romanowski Adam  
 Romejko-Hurko Jan  
 Romejko-Hurko Zygmunt  
 Rosenzweig Józef  
 Rosiński Henryk  
 Roslan Mieczysław  
 hr. Rostworowski Andrzej  
 Roszczewski Edward  
 Roszkowski Jerzy  
 Roth Wiktor  
 Rotter Marjan  
 Rowiński Jan  
 Różański Stanisław  
 Różycki Jan  
 Różycki Sylwan  
 Rubinowski Stanisław  
 Rummel Wiktor  
 Ryciak Stefan  
 Rynkowski Ludwik  
 Rzepecki Tadeusz  
 Sokal Władysław  
 Salcman Piotr  
 Sawa Andrzej  
 Sawicki Witold  
 Sawicki Władysław  
 Sawicki Zygmunt  
 Schmidt Mieczysław  
 Serafinowicz Stanisław  
 Serkuczewski Henryk  
 Sidorowicz Jerzy  
 Sienicki Stefan  
 Sienkiewicz Jerzy  
 Siewierski Mieczysław  
 Sitkiewicz Jerzy  
 hr. Skarbek-Borowski Włodzimierz



Skibniewski Mieczysław  
 Skibniewski Stanisław  
 Skibniewski Zygmunt  
 Skotnicki Bolesław  
 Skowroński Jerzy  
 Skrzywan Stanisław  
 Skwierczyński Leonard  
 Sliwiński Leon  
 Sliwiński Stefan  
 Ślusarczyk Walenty  
 Sławiński Jan  
 Sławiński Witold  
 Sławiński Zygmunt  
 Słojewski Kazimierz  
 Smoleński Eugenjusz  
 Sobolewski Janusz  
 Sochacki Adam  
 Sochacki Włodzimierz  
 Sokal Władysław  
 Sokołowski Marjan  
 Sokołowski Wacław  
 Sokulski Mieczysław  
 Sołtan Roman  
 Staniszewski Jan  
 Staniewicz Jerzy  
 Stańczyk Hugon  
 Starczewski Stanisław  
 Starowicz Zygmunt  
 Stasiewicz Kornel  
 Stawicki Henryk  
 Stefanowicz Przemysław  
 Stomatello Henryk  
 Stożkowski Jan  
 Strzałkowski Kazimierz  
 Sudra Zbigniew  
 Sujkowski Zbigniew  
 Świdziński Feliks  
 Świecki Władysław  
 Świerczyński Tadeusz  
 Szabuniewicz Bożydar  
 Szabuniewicz Mirosław  
 Szadkowski Tadeusz  
 Szalewicz Bronisław  
 Szarejko Roman  
 Szawłowski Kazimierz  
 Szawłowski Tadeusz  
 Szczawiński Kazimierz  
 Szczepanik Tadeusz  
 Szczerbowski Tadeusz  
 Szemioth Wacław  
 Szmida Jan

Szpakowski Kazimierz  
 Szparkowski Eugenjusz  
 Szparkowski Zygmunt  
 Szpinalski Leopold  
 Szwarz Ksawery  
 Szwoynicki Kazimierz  
 Szylling Eugenjusz  
 Szymański Andrzej  
 Szymański Stefan  
 Szymański Tadeusz  
 Szyszkiewicz Jan  
 Targosz Mieczysław  
 Teraszkiewicz Mirosław  
 Terlecki Władysław  
 Tłaga Franciszek  
 Tołwiński Tadeusz  
 Tomaszewski Jan  
 Tomaszewski Julian  
 Tomaszewski Przemysław  
 Tomaszewski Zbigniew  
 Tomaszewski Zygmunt  
 Trembecki Stanisław  
 Trębicki Kazimierz  
 Trószyński Jan  
 Trzeciak Zdzisław  
 Tworkowski Stefan  
 Tworkowski Tadeusz  
 Tyblewski Henryk  
 Tymiński Wincenty  
 Tymowski Franciszek  
 Tysza Jan  
 Tysza Zbigniew  
 Tysza Zdzisław  
 Urbanowski Zenon  
 Urbanowski Czesław  
 Uszycki Władysław  
 Uszycki Zygmunt  
 Uzdowski Rościsław  
 Wachniewski Zygmunt  
 Walewski Michał  
 Walicki Michał  
 Walicki Tadeusz  
 Warchałowski Stanisław  
 Warzgowski Kazimierz  
 Waserman Marjan  
 Wawerys Bolesław  
 Wasik Stanisław  
 Weberman Henryk  
 Wejtko Józef  
 Wencel Eugenjusz  
 Wendorf Bohdan



Wengierow Grzegorz  
Wengierow Stefan  
Werner Antoni  
Werner Bohdan  
Werner Jerzy  
Węclawski Kazimierz  
Węgierski Karol  
Węglewski Władysław  
Węzyk Stanisław  
Wierzbiński Antoni  
Wikiel Mieczysław  
Wilewski Szczepan  
Wilgat Kazimierz  
Windyga Stanisław Feliks  
Wiorogórski Stanisław  
Wiorogórski Władysław  
Witt Adolf  
Wodziński Tadeusz  
Wojciechowski Jerzy  
Wojczyński Roman  
Wojtulewski Konstanty  
Wolański Jerzy  
Wołcki Adam  
Wolicki Jerzy  
Wolicki Stefan  
Wolski Władysław  
Worobik Stefan  
Wóycicki Kazimierz  
Wróblewski Mirosław  
Wrzeszcz Tadeusz  
Wszelaki Stanisław  
Wyczański Kazimierz  
Wysocki Tadeusz

Wyżnikiewicz Zdzisław  
Virion Eugenjusz  
Virion Józef  
hr. Zabiello Henryk  
hr. Zabiello Stanisław  
Zabłocki Henryk  
Zacharzewski Jan  
Zacharzewski Olgerd  
Zajaczek Kazimierz  
Zajaczek Wincenty  
Zajackowski Zygmunt  
Zaniewski Teodor  
Zaorski Władysław  
Zaranowski Sławomir  
Zaremba Tadeusz  
Zawadzki Cyprjan  
Zawadzki Jerzy  
Zawitniewicz Adolf  
Zbyszewski Karol  
Zdanowicz Zdzisław  
Zeidler Ludwik  
Zelenka Mirosław  
Zieleziński Marjan  
Zieleziński Przemysław  
Zieliński Jan  
Zieliński Tadeusz  
Zuchowicz Kwiryn  
Zygmund Antoni  
Żebrowski Jan  
Żenczykowski Tadeusz  
Żmijewski Zdzisław  
Żochowski Zygmunt  
Żuławski Jacek





# ŻYCIORYSY ZMARŁYCH PROFESORÓW

## PROF. WIKTOR BIERNACKI

26-go stycznia 1918 r. zmarł na wygnaniu w Moskwie, dokąd, jako oficer rezerwy, musiał odejść z wojskami rosyjskimi, prof. politechniki i uczony polski, prof. Wiktor Biernacki, urodzony w 1869 r. z ojca Adolfa Poraj-Biernackiego z ziemi Mińskiej, zmuszonego po wypadkach 63 roku porzucić ziemię rodzinną, przeszedł całą martyrologię kształcenia się pod obcym rządem w gimnazjum w Lublinie pod osławionym Syngalewiczem, w uniwersytecie warszawskim za czasów Apuchtina, asystenturę siedmioletnią u Ziłowa, wreszcie przez dwadzieścia lat pracował w politechnice warszawskiej, gdzie przedmiot swój ukochany, fizykę i pracownię fizyczną wzorowo postawił. Chlu-



prof. W. Biernacki.

biono się nim, bo jakkolwiek był to człowiek do żadnych kompromisów niezdolny i w polityce udziału nie biorący, to jednak tak się umiał postawić, że wrogowie nawet szanować go musieli. Nie przeszkadzało to jednak, że przechodził wiele przykrości, jako urodzony w pierwotnym grzechu polskości. Po ukończeniu Uniwersytetu Warszawskiego studjował w Berlinie, gdzie tej miary uczeni, jak Helmholtz, wyróżniali go i pochwały z własnym podpisem przy rozstaniu się ofiarowali.

Ofiarowywano mu w czasie bytności jego w Rydze miejsce profesora, w Kijowie, wymieniano go jako następcę prof. Smoluchowskiego, on jednak trwał na trudnej placówce, która szczególnie po strajku szkolnym, którego był zwolennikiem, i po roku 1905-ym stała się nader ciężka. Wielokrotnie był delegowany zagranicę, dla obeznania się z nowoczesnymi urządzeniami w dziedzinie fizyki, brał udział w zjazdach naukowych, był członkiem Warsz. Towarzystwa Naukowego od samego



jego powstania, a także członkiem Tow. paryskiego, berlińskiego, londyńskiego, petersburskiego i innych. Zagranicą w Kolonji wyrabiają przyrządy jego, które pod jego nazwiskiem są znane w naszym mieście. Pisał i tłumaczył po polsku, francusku, niemiecku, angielsku i rosyjsku. Zasłynął jako eksperymentator. Z Niżnego Nowogrodu, dokąd ewakuowano inwentarz naukowy Politechniki Warszawskiej, dojeżdżał parę razy tygodniowo do Moskwy dla odbywania lekcyj fizyki w tamtejszych szkołach polskich—a między innymi i w gimnazjum C. K. O. w Moskwie.

## CECYLJA BOGUCKA

Ś. p. Cecylja Bogucka, ur. 1859 roku we wsi Jaśluta, ziemi płockiej. Lata dziecińne spędziła na wsi pod opieką matki i tam nabrała owej promiennej pogody ducha, która Ją cechowała przez całe życie.

Lata szkolne w Warszawie, na ukrytej pensji sióstr Krajewskich przebyte, rozwinęły w ś. p. Cecyli umiłowanie rzetelnej wiedzy, ukochanie ponad wszystko nauki języka polskiego oraz historii ojczystej. Szkoła owa tchnęła głębokim patriotyzmem: przełożona była siostrą członka Rządu Narodowego, Rafała Krajewskiego; profesorowie tej miary, co Władysław Smoleński, Karol Dunin, Edward Grabowski, Florjan Łagowski i inni, nauczanie traktowali nie tylko jako zawód życiowy, ale jako służbę narodową, z narażeniem osobistego bezpieczeństwa, w imię najszczytniejszych ideałów podjęta. Dla tych przewodników zachowała ś. p. Cecylja głęboką cześć, a lata, spędzone w szkole, przesądziły o Jej powołaniu, uczyniły Ją nauczycielką przedmiotów ojczystych.

Jeżeli w okresie niewoli „twierdzą polskości stawał się każdy próg”, to niewątpliwie w wielkiej mierze przyczyniły się do tego takie nauczycielki, jak ś. p. Cecylja Bogucka. Uczyła Ona szereg lat w domach prywatnych; kompletach i ukrytych szkołach, otaczana uznaniem rodziców i miłością dzieci. Szerzyła światło wśród szeregu nauczycieli ludowych, ofiarne i odważnie brała udział w pracy ówczesnych kółek oświatowych.

Niebawem, zachęcona przez ś. p. Cecylję Niewiadomską, stanęła z Nią do współpracy literacko-pedagogicznej... I oto rozszerzyły się wpływy onej cichej, skromnej nad wyraz pracownicy oświatowej: niema dziecka polskiego, któreby nie korzystało z Jej pracy, nie kształciło się na Jej wypisach, ćwiczeniach do nauki poprawnego pisania, stylistyce i t. d.

Wojna światowa zaskoczyła ś. p. zmarłą na letnich wywczasach, u przyjaciółki w Tuhanowiczach. Została odcięta od warsztatu swej pracy, ale nie przestała uczyć. Przez trzy lata do umęczenia uczyła w gimnazjum męskim i żeńskim w Mińsku Białoruskim, i ta karta Jej wygnańczego żywota obfituje w piękne wspomnienia: ofiarnego i płodnego wysiłku.

Po powrocie do kraju w 1918 r. zaczęła pracować w gimnazjum pod kierunkiem K. Kulwiecia. Podupadała na zdrowiu, ale humor, pogoda, zapał do pracy towarzyszyły Jej stale. Z jakąż radością uczyła nareszcie otwarcie, jawnie dziejów narodowych polskie dzieci w polskiej szkole. To był już ostatni Jej posterunek, posterunek zwycięski.



W 1921 r. stan zdrowia zmusił Ją do wycofania się z nauczycielskich szeregów, przez ostatnie cztery lata pracowała już jedynie piórem. Pozostawiła I-ą część podręcznika do nauki historii polskiej. Umiłowane to ostatnie dzieło, owoc tyloletniego doświadczenia, ma się niebawem ukazać w druku, choć niedokończone.

Zmarła 29 lipca 1925 r., pozostawiając po sobie bogaty dorobek literacko-pedagogiczny i pełne czci wspomnienie wśród kolegów, rodziców i młodzieży. Była dla nas wszystkich słowem, piórem i czynem — Nauczycielką.

## JAN FRANCISZEK DĄBROWSKI

Ś. p. Jan Franciszek Dąbrowski ur. 10.X.1861 r. w Lublinie, ukończył gimnazjum lubelskie, a następnie wydział fizyko-matematyczny w uniwersytecie petersburskim, ze stopniem kandydata nauk fizyko-matematycznych. Po ukończeniu objął w 1887 r. posadę wychowawcy i nauczyciela matematyki w szkole realnej Wojciecha Górskiego w Warszawie. W 1893 r. przenosi się do Wilna, gdzie w Wileńskim Prywatnym Banku Handlowym zapoznawszy się kolejno ze wszystkimi działami pracy, mianowany zostaje od 1896 r. głównym buchalterem. Na stanowisku tem pozostaje tylko rok, gdyż już w 1897 r. przenosi się do nowopowstającego w tym czasie Białostockiego Banku Handlowego w charakterze członka zarządu. W 1900 r. po opuszczeniu banku przez dotychczasowego jego kierownika p. Józefa Karpowicza, zostaje jednogłośnie na jego miejsce wybrany. Stanowisko to zajmuje do chwili fuzji Banku Białostockiego z Bankiem Rosyjsko-Francuskim w 1913 r., poczem przez dwa lata, t. j. do 1915 r. pracuje w instytucji powstałej z połączenia się tych dwóch banków w charakterze dyrektora oddziału. Po osiedleniu się w Białymstoku należy do założycieli Towarzystwa Popierania Szkolnictwa Handlowego. W maju 1915 r. przejeżdża do Rosji, gdzie przez trzy lata t. j. do maja 1918 r. wykłada matematykę w szkołach (filologicznej i realnej) Centralnego Komitetu w Moskwie. Zaraz potem wraca do kraju, wstępuje do Ministerstwa Skarbu, pracując nad odbudową kraju, gdzie na stanowisku radcy ministerjalnego zmarł 7.VI.1919 r.

## KAROL DUNIN

Ur. 1850 r. w Skroniowie w z. Kieleckiej. Gimnazjum ukończył w Pińczowie 1868 r. Studja odbywał w Szkole Głównej do czasu jej zamknięcia, potem w Uniwersytecie Warszawskim, który ukończył w 1872 r.

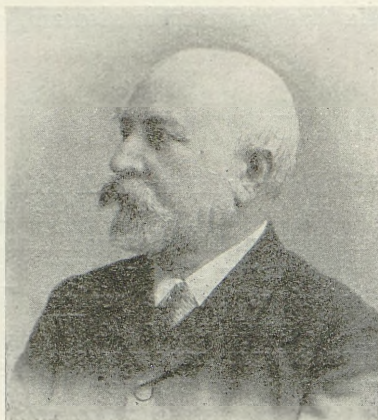
W r. 1877 po obronie publicznej rozprawy „O prawie mazowieckiem” uzyskał stopień magistra prawa cywilnego.

W r. 1879 wszedł do ciała obrończego, jako adwokat przysięgły w Warszawie. W tym charakterze był długoletnim zastępcą radcy prawnego Tow. Dr. Żel. Warsz.-Wiedeńskiej, a następnie aż do końca życia — skarbowej Kolei Wiedeńskiej. Jednocześnie był długotelnim radcą prawnym Ordynacji hr. Zamojskich.



Od r. 1901 — 1906 był prezesem delegacji prawno-ekonomicznej przy sekcji handlowej Warszawskiego oddziału Tow. popierania przemysłu i handlu.

Od r. 1907, t. j. od chwili otwarcia Tow. Prawniczego Warszawskiego aż do r. 1915 — prezesem Rady tej instytucji.



Karol Dunin.

Od r. 1901 — 1914 jest członkiem Komitetu Kasy im. Mianowskiego. Był jednym z założycieli Tow. Naukowego.

Przez szereg lat był wydawcą i członkiem Komitetu redakcyjnego „Gazety Sądowej” Warszawskiej.

Wydał wiele prac naukowych z zakresu stosunków prawnych w Polsce — oraz pedagogicznych do użytku szkół handlowych. Częściowo poświęcając się pracy pedagogicznej, wykladał zasady prawa na wyższych kursach handlowych Raczkowskiej i Siemiradzkiej w Warszawie i w gimnazjum C. K. O. w Moskwie.

Zmarł w Moskwie 16 czerwca 1917 r.

## STANISŁAW CEZARY GIBESS

Urodzony dn. 22 lipca 1890 r. w Piotrkowie S. Gibess po ukończeniu szkoły średniej udał się na studia wyższe do Lwowa, gdzie studiował chemię na Politechnice.

Z natury bardzo ruchliwy i czynny, poza studjami zawodowymi oddawał się gorliwie pracy społecznej. Zwłaszcza ruch harcerski porwał go z całą siłą namiętności — i w pewnych momentach życia wypełniał mu cały czas wolny od obowiązków zawodowych. To też w hierarchji organizacji harcerskiej posuwał się szybko, otrzymując w 1926 r. stanowisko Zastępcy Komendanta Chorągwi Warszawskiej, oraz kierownika Wydziału Wyszkożenia.



W wojnie ostatniej brał czynny udział. W 1914 r. wstępuje do Legjonu Wschodniego, zostając tam Komendantem Kompanji.

Przechodzi całą ciężką i smutną martyrologję tego Legjonu. Po dłuższym pobycie w Kijowie, w sierpniu 1918 r. przyjeżdża do Warszawy i tu obejmuje lekcje gimnastyki i nadzór w szkolnych drużynach harcerskich w Gimnazjum K. Kulwiecia.

Zmarł dn. 6 stycznia 1927 r. w Warszawie.

## JAN GRYŻEWSKI

Urodzony w 1870 r. w Róźcach, w pow. Łęczyckim, w majątku rodzinnym ojca Kazimierza i Faustyny z d. Skotnickiej, uczęszczał do szkoły realnej w Warszawie, po ukończeniu której odbył studja zawodowe w Instytucie dróg komunikacji w Petersburgu. Po pewnym okresie służby w wydziale drogowym kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w Warszawie, został inżynierem dystansu w Częstochowie. Przypadło to na czas otwarcia jawnej działalności Polskiej Macierzy Szkolnej. Oddział Częstochowskiej Macierzy pod kierownictwem inż. Gryżewskiego odznaczył się żywotnością, a ta działalność oświatowa w robotniczym ośrodku częstochowskim miała wielkie zadanie do spełnienia.

Gdy przyszła wojna, a z nią w 1915 r. ewakuacja urzędów kolejowych, udać się musiał z rodziną na wygnanie do Moskwy, skąd wrócił latem 1918 r.

Na początku tego wygnania stracił w Rosji ukochane dziecko. W Moskwie pracował, przydzielony do kolei Kazańskiej, bez wytchnienia w swoim zawodzie. Ale znajdował czas i tam na pracę społeczną; był współzałożycielem i prezesem Polskiego Towarzystwa Oświatowego; gdy Szkoła średnia C. K. O. miała trudności ze znalezieniem nauczyciela wyższej matematyki — ofiarnie podjął się w niej lekcyj tego przedmiotu, który wybornie posiadał. Poza tem wykładał w Politechnice Warszawskiej.

Ś. p. inżynier Jan Gryżewski, kolejowiec, znany szerokim kołom również i z pracy społecznej, padł na posterunku. Gdy jechał do Poznania dla ustalenia stosunków komunikacji z zaborem pruskim, jechał z ochotą i werwą dokonywać w swoim zakresie zjednoczenia tej najdroższej sercu polskiemu ziemi z macierzą, nieoczekiwanie dosięgła go śmierć w katastrofie kolejowej.

## WACŁAW JACUŃSKI

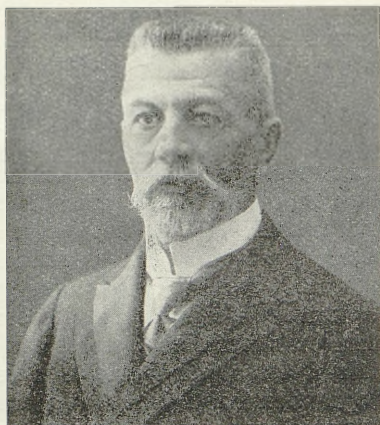
Ur. 1873 r. w majątku Szyłanach, w powiecie trockim. Gimnazjum ukończył w Grodnie, wydział przyrodniczy w Petersburgu, potem wyjechał do Paryża do szkoły chemicznej — specjalizować się w chemji. Po powrocie do kraju, choć z zamiłowaniem pedagog, nie chciał wykładać w szkole rosyjskiej — przyjmuje więc w gazowni posadę administracyjną pomocnika dyr. Albertiego. w 1905 r. z chwilą powstania szkoły polskiej przerzuca się na niwę pedagogiczną — najpierw pracuje w szkole Tomasza Niklewskiego w Łodzi — później w Siedlcach, w końcu przenosi się do Warszawy i zyskuje sobie



prędko opinię bardzo cenionego pedagoga. Oprócz pracy na niwie pedagogicznej ś. p. Wacław Jacuński pracował naukowo jako popularyzator wiedzy przyrodniczej — odznaczał się również wielkiem zamiłowaniem do podróżowania. Korzystając z wakacyj szkolnych, corocz-



Wacław Jacuński.



Andrzej Lipski.

nie wyjeżdżał w różne strony i w ten sposób zwiedził niemal całą Europę — między innymi odbył bardzo ciekawą podróż do Szpicbergu. Był też organizatorem wielu wycieczek młodzieży szkolnej po kraju ojczystym, który sam znał doskonale, jako czynny członek Tow. Krajoznawczego.

W roku wojny przed wzięciem Warszawy wyjechał na krótki odpoczynek na wieś do brata w Grodzieńskie, został odcięty od Warszawy i razem z falą wygnańców dostał się do Moskwy. Tutaj, prezes wydziału szkolnego Komitetu Polskiego, p. Libert polecił mu zorganizować szkołę realną męską. Wywiązał się z tego szybko i umiejętnie i został jej dyrektorem.

W pierwszym roku wykładał również w gimnazjum dyr. Kulwiecia. Wybitnymi cechami duszy zmarłego były: gorący patriotyzm i zupełna niezdolność wchodzenia w jakikolwiek kompromis z własnym sumieniem. Nie posiadając zupełnie oportunizmu, potępiał go zawsze u drugich, przez co nieraz narażał się ludziom. Był duszą nawskroś niezależną. Gorąco marzył o powrocie do kraju — niestety, nie danem mu już było zobaczyć ziemi ojczystej: 31 marca 1917 r. zmarł nagle w Moskwie na udar sercowy, pozostawiając głęboki żal wśród tych, którzy go znali, cenili i kochali.

## M. A. JAŻWIŃSKI

Ś. p. Maksymin Antoni Jażwiński urodził się 8 czerwca 1875 r. w Rosochatem, ziemi Łomżyńskiej. Po ukończeniu gimnazjum w Łomży w 1894 r. wstąpił na Wydział Prawny Uniwersytetu Warszawskiego.



Na skutek wykrycia tajnych organizacji oświatowych, których ś. p. M. A. Jaźwiński był członkiem, zostaje za czynny w nich udział w dwa miesiące po ukończeniu Uniwersytetu w dniu 8 czerwca 1898 r. aresztowany i zamknięty w Cytadeli warszawskiej. Po wypuszczeniu z Cytadeli pracuje na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej aż do jej skupu przez zaborców, następnie jako adwokat przysięgły otwiera kancelarię, oraz naucza historii i łaciny w szkole generała Chrzanowskiego. Rok 1915 zastaje go na wygnaniu w Moskwie, gdzie wykłada w szkole polskiej C. K. O. Dyr. K. Kulwiecia, tam też zachorowawszy na sarkomę na wątrobie, po długich cierpieniach zmarł w dniu 24 czerwca 1916 r., przeżywszy 41 lat.

## ANDRZEJ LIPSKI

Dn. 8-go 1921 r. zmarł w Warszawie ś. p. Andrzej Lipski, zasłużony i oddany swej pracy przez długie lata pedagog.

Urodzony w 1853 r. w Józefowie Lubelskim, pobierał nauki szkolne w Lublinie, a studia uniwersyteckie na wydziale historyczno-filologicznym ukończył w Warszawie w 1879 roku. Jako nauczyciel filologii klasycznej rozpoczął w tymże roku swoją zasłużoną pracę pedagogiczną, najpierw w Pińczowie, potem w Częstochowie, Radomiu, Łodzi i ostatnio w Warszawie, z którą rozstał się podczas wojny na trzy lata, zmuszony, jako nauczyciel gimnazjum państwowego, do opuszczenia kraju przy ewakuacji wojsk rosyjskich. Podczas trzyletniego pobytu na obczyźnie brał czynny udział w życiu kolonji i wychodźstwa polskiego. Poza pracą zawodową w szkole C. K. O. zajmował się gorąco sprawami publicznymi i był wice-prezesem polskiego Komitetu pomocy ofiarom wojny w Berdjańsku. Po powrocie do kraju był przez rok kierownikiem jednej ze szkół, zmęczony jednak zajęciami administracyjnymi, oddał się znowu ulubionej działalności nauczycielskiej.

Przeszło czterdziestoletnia praca pedagogiczna, rozpoczęta w najcięższym dla szkolnictwa naszego okresie, trwać będzie długo we wdzięcznej pamięci licznych uczniów zmarłego.

## KSIĄDZ KAZIMIERZ LUTOSŁAWSKI

Ksiądz Kazimierz Lutosławski przyszedł na świat 1880 r. w Drozdowie, położonem malowniczo nad rzeką Narwią, o kilka kilometrów od m. Łomży. Dziecko rodziców zamożnych, piąty z kolei syn Franciszka Lutosławskiego, znanego ziemianina i przemysłowca, nauki wstępne z zakresu szkół średnich pobierał w domu razem z najmłodszym swym bratem ś. p. Józefem. Pozostawał pod okiem rodziców, potem pod okiem matki i opieką braci starszych. Wzrastał w cieple życia rodzinnego, nie zaznawszy trosk, jakie sprowadza niedostatek. Uczony przez starannie dobieranych nauczycieli, z których nauczycielem najlepszym było, niewątpliwie, samo Drozdowo z prześlicznym widokiem na rozległą, majestatyczną dolinę Narwi i na faliste wzgórza lewego brzegu rzeki, porośłe odwiecznymi borami.



Rodzina i przyroda były naturalnymi głównymi wychowawcami duży wrażliwej i hojnie przez Boga obdarzonej. W wieku bardzo młodym obaj bracia jadą na naukę wyższą zagranicę — do Niemiec, potem do Szwajcarii. Tam ś. p. Kazimierz kończy wydział lekarski i zdobywa doktorat medycyny w Zurychu (1903), uzupełniwszy następnie jeszcze w Londynie swe wiadomości lekarskie, interesując się w naukach lekarskich głównie zjawiskami życia człowieka zdrowego, normalnego. Już na ławie szkolnej oddaje się z zapałem nie tylko nauce, lecz i pracy społecznej wśród rówieśników swoich i kolegów; w pracy tej gorliwy wyznawca i szermierz patriotycznego kierunku wśród młodzieży. W Anglii — wśród studjów nad wychowaniem człowieka zdrowego, silnego fizycznie i moralnie, styka się z nowym typem szkoły średniej, szkoły — na wsi, która przez wspomnienia własnego dzieciństwa ogromnie trafia mu do przekonania.



Ks. Kazimierz Lutosławski.

Po paru latach pracy w „Ognisku” staro-wiejskiem pod Warszawą doktor i wychowawca postanawia pogłębić jeszcze bardziej i uszlachetnić ofiarę ze swego życia na rzecz sprawy. Postanawia poświęcić się całkowicie służbie Bożej. Wraca tedy r. 1909 do Szwajcarii, tym razem do seminarjum katolickiego we Fryburgu i tu w 1912 r. otrzymuje święcenia kapłańskie z rąk księdza Merciera, sławnego biskupa belgijskiego i niebawem kardynała. Przybywszy do kraju, doktor medycyny i św. teologii, władający biegle językiem francuskim, niemieckim i angielskim, staje skromnie do pracy, jako prefekt, zajmując się przytem głównie podniesieniem moralnem młodzieży szkolnej przez związki poufne dzielności i cnoty, zwane „związkami harcerstwa”. Wkłada wiele zapału i talentu organizacyjnego w sprawy harcerstwa, wysuwa się na jedno z czołowych stanowisk tego ruchu i zyskuje miłośność licznych zastępów dorastającej młodzieży szkolnej w Warszawie i wogóle w kraju. Nietylko działa, ale pisze w tej sprawie wiele. Wielka wojna wyrzuca go z kraju na wschód, gdyż jest on, oczy-



wieście, przeciw Niemcom, wierzy w powstanie Polski niepodległej, zjednoczonej i wspartej o własne morze; nie tylko wierzy, ale pragnie czynnie pomóc do Jej wyzwolenia. Osiada w Moskwie. Tu z braćmi swymi, ś. p. inż. Marjanem, Józefem i Janem bierze udział w organizacji szkoły polskiej, gimnazjum, w której naucza religji i obejmuje stanowisko wychowawcy i inspektora. Najlepszy wychowawca, ukochany prefekt, hufcowy harcerski, poświęca młodzieży cały swój czas, wiedzę i wyjątkowe organizacyjne zdolności. Wpływał obecnością swą na pracę Rady Pedagogicznej, której był sekretarzem; prowadził wycieczki, zorganizował letnisko pod Moskwą, którem osobiście kierował. W niedziele i święta wygłaszał nauki na zorganizowanych przez siebie nabożeństwach. Jako bezpośredni pomocnik dyr. Kulwiecia, przyczynił się w wielkiej mierze do wytworzenia ze szkoły kuźni charakterów przyszłych obywateli Polski. Bierze gorliwy udział we wszystkich poczynaniach patriotycznych ogółu polskiego na wygnaniu, w szczególności także w pracy politycznej, która doprowadza do słynnego zjazdu lipcowego w Moskwie 1917 roku, i utworzenia tam polskiej Rady międzypartyjnej, jako władzy moralnie Polaków obowiązującej, której prezesem zostaje Prezydent Rzeczypospolitej p. Stanisław Wojciechowski.

Wysiłki tworzenia na froncie wschodnim, po tamtej stronie okopów niemiecko-rosyjskich, wojska polskiego, własnej siły zbrojnej znajdują w ks. Kazimierzu gorliwego orędownika. Popiera tę myśl jeszcze w kraju, opiekuje się pierwszemi oddziałami, gdy są już w polu; święta Wielkanocne 1916 roku spędza na froncie wśród oddziałów I-ej Brygady strzelców polskich, dla których odprawia nabożeństwa uroczyste i głosi ogniste kazania. Wdzięczna Brygada te chwile pracy Jego misjonarskiej utrwala w licznych zdjęciach fotograficznych, a rząd polski w osobnym dekrete Wodza Naczelnego z maja 1922 r. nagradza Krzyżem Walecznych.

W czynnej opiece nad tworzącym się mozolnie wojskiem polskim trwa przez zmienne koleje lat 1916—1918 i nic go nie zdoła odstraszyć, ani mało pocieszający rezultat wysiłków, ani triumf całkowity w Rosji bolszewizmu, sprzymierzonego z Niemcami, ani straszne nieszczęście rodzinne — aresztowanie dwóch braci (Marjana i Józefa), okrutnie potem zamordowanych. Gdy pod władzą bolszewizmu rwą się wszelkie nici pracy patriotycznej, ks. Lutosławski jeszcze umie pomóc pułk. Józefowi Hallerowi do przedostania się z Kijowa na Moskwę ku Murmanowi i do Francji; jeszcze ma energję stać umyślnych nad Dniepr górny, „aby — na Boga — tworzący się I korpus polski (dowódca gen. Dowbór-Muśnicki) nie szedł na zgodę z Niemcami, bo armja bolszewicka jeszcze słaba i Rosja jeszcze stoi otworem dla każdego oddziału, który ma dowódcę, wolę zwycięstwa, choć 4 tysiące karnego żołnierza i choć dwie porządne baterje artylerji. Przykład — brygada czesko-słowacka”. Gdy tam w Rosji nie było już nic do zrobienia, ks. Lutosławski wraca późną jesienią 1918 roku do kraju, wyzwolonego od Niemców wskutek ich klęski na froncie zachodnim. Po przeniesieniu się szkoły z wygnania do kraju, stanął znów ks. Kazimierz do pracy jako prefekt gimnazjum Kulwiecia, w którym kształcili się Jego bratankowie. Niestety praca poselska, do której go kraj powołał, zmusiła Go



do porzucenia tej placówki. Realna polityka odebrała młodzieży Jej ukochanego wodza.

Zgasił przedwcześnie dn. 5 stycznia 1924 r. na skutek szkarlatyny — w swem ojczystym gnieździe, któremu przysporzył tyle sławy.

## MIECZYSŁAW NAPIÓRKOWSKI

Mieczysław Napiórkowski, syn Sylwestra, urodził się na Kurpiach w Turośli z. Łomżyńskiej w grudniu 1881 r., jako syn sędziego gminnego. Kształcił się w Łomży i w Suwałkach, gdzie skończył gimnazjum państwowe 1903 r. Następnie w 1903 r. wstąpił na wydział prawny Uniwersytetu Warszawskiego, lecz w związku ze znanymi wypadkami walki o wykłady w języku polskim zmuszony został do przeniesienia się do Liceum prawnego im. Demidowa w Jarosławiu, które ukończył w 1908 r. Następnie wstępuje, jako aplikant sądowy do Sądu Łomżyńskiego i jednocześnie rozpoczyna pracę pedagogiczną na pensji p. Korzeniowskiej, wykładając historję i prawo. Jako katolik-polak nie mógł posuwać się w hierarchji sądowej, chociaż był wychowankiem „Liceum Demidowskiego“, które dawało wszelkie prawa i nawet ze strony Prezesa Izby Sądowej Warszawskiej spotykał się z wyrazami żalu, że nie jest przedstawicielem „urzędowego“ wyznania, aby zająć stanowisko w dyplomacji. Po skończeniu aplikacji został adwokatem przy Sądzie Okręgowym Łomżyńskim i zajmował się praktyką adwokacką, znajdując wielkie uznanie wśród swoich ziomków Kurpi. W 1915 r. w związku z wojną wszechświatową wyjechał z rodziną do Rosji i zamieszkał w Moskwie, gdzie poświęcił się całkowicie pedagogji, wykładając geografję i historję w tamtejszych szkołach polskich i jednocześnie piastował urząd inspektora schronisk wygnańców. Umarł w 1917 r. po ciężkiej chorobie 5.III.1917 r.

## ZYGMUNT ŚWIDWIŃSKI

Urodzony w 1854 roku, syn Jana i Amelji z Ginterów, Zygmunt Świdwiński rozpoczął nauki i ukończył gimnazjum w rodzinnym Płocku, gdzie ojciec Zygmunta Jan był starszym sędzią sądu kryminalnego. Wywodząc ród swój z drobnej, zubożałej szlachty ziemi przasnyskiej, pomimo dość jak na owe czasy poważnego w palestrze stanowiska ojca swego, Zygmunt Świdwiński od najmłodszych lat musiał pracować na siebie, udzielając korepetycyj i jeżdżąc na kondycje w czasie feryj letnich.

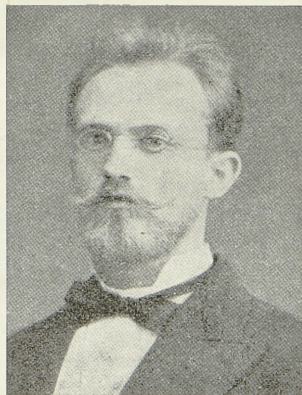
Już w czasie studjów na wydziale matematycznym Uniwersytetu Warszawskiego, które rozpoczął jako 18-letni chłopiec, objął stanowisko nauczyciela matematyki w progimnazjum Jankiewicza w Warszawie, prowadząc jednocześnie liczne komplety, przygotowujące do egzaminów maturalnych w gimnazjach rządowych.

Po ukończeniu Uniwersytetu koło 1873 roku przybywa do Radomia, jako nauczyciel matematyki miejscowego gimnazjum rządowego. Na



stanowisku tem pomimo ciężkich przejść z władzami rosyjskimi przetrwał ku pożytkowi i dobru młodzieży aż do 1904 roku, t. j. daty słynnej przed strajkiem szkolnym, z t. zw. Homerjady, za którą Zygmunt Świdwiński z powodu sympatji dlań młodzieży zostaje zesłany wgłąb Rosji.

Decyzję tę na skutek usilnych zabiegów przedstawicieli społeczeństwa radomskiego uchylono w dobie „liberalizmu” rosyjskiego, okresu rewolucji 1905, i zamieniono na degradację stanowiska służbowego, wraz z przeniesieniem do gimnazjum w Płocku.



Zygmunt Świdwiński.

Pracę Zygmunta Świdwińskiego, jako Polaka i i pedagoga, charakteryzuje dosadnie Jego śmiertelny wróg, a długoletni dyrektor z Radomia, A. Smorodinow w swoich słynnych „Pamiętnikach”, niedawno wydanych w Kijowie.

Prócz prac o charakterze społecznym (m. in. organizacja siedmioklasowej szkoły „handlowej” w Radomiu) podejmował Zygmunt Świdwiński prace naukowe, odznaczane specjalnemi nagrodami przez Petersburskie Obserwatorium (organizacja m. in. Obserwatorium meteorologicznego w Radomiu), w następstwie czego otrzymuje rosyjski, naukowy tytuł „zasłużonego nauczyciela matematyki”.

Na stanowisku nauczyciela w Płocku pozostaje Zygmunt Świdwiński do 1907 roku, współdziałając rzetelnie i czynnie w organizacji i prowadzeniu miejscowych szkół średnich polskich.

Koło 1908 roku po 4-letniej „karze” przywrócono Mu dawne stanowisko służbowe w Radomiu, gdzie pozostaje aż do wybuchu wojny.

Wybuch wojny zapędził Zygmunta Świdwińskiego wraz z rodziną do Mińska, a stąd do Moskwy, gdzie pracuje w gimnazjum C. K. O. W 1918 roku, jako jeden z pierwszych reemigrantów powraca do Polski, gdzie w Warszawie zrazu naucza w gimnazjum K. Kulwiecia, a po śmierci żony na stałe osiada w ulubionym przez siebie Radomiu, jako nauczyciel miejscowych szkół polskich. Długoletnia praca nauczycielska, właściwa temu zawodowi astma i choroba oczu, przewlekła choroba żony i tułaczka w Rosji poderwały doszczętnie organizm.



Gdy stał w ogonku przy kasie magistrackiej po odbiór parorublowej po 47 latach emerytury, zaziębił się i zmarł w Radomiu 26 października 1921 roku.

## KSIĄDZ PASTOR TOMASZ TOSIO

Ksiądz Pastor Tomasz Tosio, syn profesora matematyki Kacpra Tosio, urodził się dn. 18.XI. 1881 r. w Sosnowcu.

Pierwsze szkolne lata spędził w Warszawie, maturę zaś pozyskał w gimnazjum państwowym w Sumach, guberni Charkowskiej. Studja teologiczne odbył od r. 1905 — 1909 w Bazylei i Zürichu.

Po ukończeniu studjów objął, jako duszpasterz, ewangelicko-reformowaną parafję w Serejach w Suwalszczyźnie, gdzie wojna go zaskoczyła. W listopadzie 1914 r. wskutek denuncjacji rusofilów litewskich, wywołanej założeniem i prowadzeniem przezeń szkoły parafjalnej



Tomasz Tosio.



Zygmunt Tysza.

polskiej przy Zborze Serejskim, był aresztowany i więziony w Suwałkach przez 3 miesiące. Powtórne najście Niemców w lutym 1915 r. zmusiło ówczesną władzę gubernialną do ewakuacji więźniów do Wilna, gdzie ks. Tosio po kilku dniach zwolniono. Stąd pojechał do Sum, należał tam do Komitetu Obywatelskiego kolonji polskiej, pracując pomiędzy uchodźcami. W ciągu 1916 roku organizował w Martowoje w tejże samej guberni szkołę dla dziatwy uchodźców polskich. Zgromadziła się około niego młodzież do 20 lat, ucząc się i korzystając z rad jego, jako pedagoga i przyjaciela. We wrześniu 1916 r. powołał go Dyr. K. Kulwiec na stanowisko nauczyciela i inspektora Gimnazjum C. K. O. do Moskwy. Tam obsługiwał jednocześnie, jako duchowny, kolonję polsko-ewangelicką, kaząc w obydwu kościołach wyznań ewangelickich.

W maju 1918 r. wrócił do kraju z pierwszymi reemigrantami, pragnąc ponownie objąć osieroconą placówkę kościelną. Gdy tego usku-



teczeń nie mógł, ponieważ parafianie, jako ewangelicy wysłani zostali w głąb Rosji i jeszcze nie wrócili do swoich siedzib z przymusowego wygnania, wypadło mu szukać nowego pola pracy, które też rychło znalazł, zajmując stanowisko profesora w Gimnazjum Państw. im. Staszica.

W trakcie roku szkolnego 1918 — 1919 ofiarowano mu katedrę na Uniwersytecie Warszawskim, na wydziale teologii ewangelickiej. Bóg inaczej zrządził. Organizując ponownie parafję swą w Serejach po powrocie wychodźców, zaraził się tyfusem plamistym i 31 lipca 1919 r. niespodzianie odszedł z tego świata.

## ZYGMUNT TYSZKA

Zmarły był synem Ferdynanda Tyszki, mecenasa trybunału polskiego w Płocku, który brał udział w wypadkach 1863 roku w Królestwie Polskim, a następnie został do Rosji wywieziony.

Ś. p. Zygmunt, po ukończeniu gimnazjum płockiego w 1885 roku i wydziału fizyczno-matematycznego w Uniwersytecie Warszawskim w 1890 r., poświęcił się pracy nauczycielskiej i powołaniu temu pozostał wierny do zgonu.

Zmarły był nieustrudzonym kierownikiem pedagogicznym szkoły ogólno-kształcącej drogi żelaznej W.-Wiedeńskiej, która do chwili skupu kolei przez skarb, była prowadzona z językiem wykładowym polskim. Prócz tego ś. p. Zygmunt Tyszka pracował w różnych szkołach polskich. Był on również nieustrudzonym pracownikiem na niwie społecznej, czego dowodem było zapoczątkowanie i zorganizowanie pierwszej Kasy Nauczycielskiej, której był też prezesem. Instytucji tej zmarły poświęcał cały swój wolny czas. Należał również do założycieli Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie.

Oderwany przymusowo od kraju, znalazł się na początku Wielkiej Wojny w Moskwie i tu nauczał matematyki w szkołach polskich — a między innymi w gimnazjum C. K. O. Zmarł tam dn. 2 lipca 1916 r.

## JAN UZDOWSKI

Józef Uzdowski ur. 1860 r. we wsi Sarnaki ziemi Siedleckiej, syn burmistrza. Po ukończeniu gimnazjum siedleckiego wstąpił na wydział historyczno-filozoficzny uniwersytetu w Petersburgu (1879 — 1884), który ukończył ze stopniem kandydata. Następnie wstąpił do Instytutu Języków Wschodnich, gdzie pracował nad sanskrytem i badał kulturę perską z takim powodzeniem, że proponowano mu asystenturę przy katedrze tego języka, lecz ś. p. Uzdowski chciał pracować dla kraju i powrócił do Królestwa. Tu otrzymał posadę nauczyciela języków starożytnych w b. III gimnazjum rządowym w Warszawie i na tem stanowisku z zapałem oddając się wykładom ulubionego klasycyzmu, przetrwał najcięższe chwile „rządów Apuchtinowskich”. Wskutek wypadków 1915 r. wyjechał do Rosji i wykładał łacinę w r. 1915—16 w szkole C. K. O. w Moskwie. Zmiana klimatu bardzo ujemnie wpłynęła na jego nadwątłone chorobą płuc zdrowie i, pomimo kuracji w Jałcie, umarł na suchoty w Moskwie 1917 r.



# ŻYCIORYSY POLEGŁYCH UCZNIÓW

## ZDZISŁAW BŁESZYŃSKI

S. p. Zdzisław Bleszyński, syn Józefa i Salomei, właścicieli ziemskich ziemi Piotrkowskiej, urodził się dn. 9 sierpnia 1901 roku w rodzinnym majątku Libidza.

Do lipca 1915 r. uczęszczał do szkoły Konopczyńskiego w Warszawie, poczem wraz z rodzicami pojechał do Kijowa, a następnie do Moskwy, gdzie skończył gimnazjum polskie, prowadzone przez Dyrektora Kulwiecia.

W lipcu 1918 r. wrócił do Warszawy, a od jesieni tegoż roku uczęszczał na politechnikę warszawską na wydział Dróg Lądowych i Wodnych. Lecz już w dwa miesiące później wstępuje do formującego się w Błoniu III pułku Ułanów.

Po rocznej służbie frontowej, korzystając z chwilowego zmniejszenia napięcia bojowego, wraca do politechniki, ale już w lipcu 1920 r., pod grozą nawały bolszewickiej, zaciąga się do 1 pułku Ułanów Krechowickich i przebywa w nim do dnia 2 września 1920 r...

W dniu tym IV szwadron I-go pułku stał pod Łaszczami w ziemi Lubelskiej, napierając na ustępującą kawalerję Budiennego...

W bohaterskiej szarży kawaleryjskiej, po rozbiciu kilku oddziałów bolszewickich, wycofawszy się na czoło szwadronu, pada rażony kilku kulami wraz ze swym dowódcą, rotmistrzem Nowaczyńskim...

Wieziony wózkiem chłopskim do szpitala polowego, umarł w drodze, pochowany na cmentarzu wiejskim we wsi Rahaniu...

W dwa tygodnie potem, po odnalezieniu zwłok, przewieziony do Warszawy, spoczął w grobach rodzinnych na Powązkach obok dziada swego, również Zdzisława Bleszyńskiego, rotmistrza Wojsk Polskich, weterana z 1863 roku.

Chociaż odszedł tak młodo, pozostawił po sobie trwałą pamięć u wszystkich tych, co go znali.

Łączył w sobie niezwykłą harmonję piękna i siły fizycznej z zaletami charakteru i serca, wiedzy i rozumu, z niezwykłą wyrozumiałością i skromnością. Zdolny, pracowity i systematyczny, podczas egzaminów był przepracowany przygotowywaniem kolegów.

Będąc w wojsku, woził z sobą podręczniki szkolne, ucząc swoich kolegów z ludu. Podczas ogólnego strajku w 1919 roku, zapisał się do S. S. S. (Stowarzyszenie Samopomocy Społecznej) na nocną zmianę do najcięższej pracy na stacji pomp. Ponieważ w dzień uczęszczał na wykłady, a w nocy pracował, po tygodniu takiego życia wymizerniał do niepoznania. Wytrwał jednak do końca na swem stanowisku, twierdząc, że ponieważ na nocną zmianę mało się zapisuje, więc to było jego obowiązkiem, jako zdrowego i silnego.

Tych kilka szczegółów z życia ś. p. Zdzisława Bleszyńskiego mówią o nim, jako o człowieku.

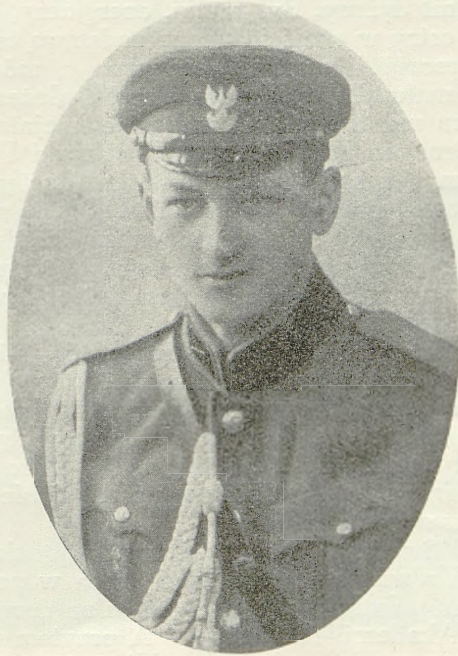
Odszedł z tej ziemi, bo duch jego osiągnął szczyty doskonałości ludzkiej, bo spełnił swoje przeznaczenie, — lecz zostawił po sobie żal i tęsknotę tych, co Go znali i kochali.



## TADEUSZ CZECH

Ś. p. Tadeusz Czech, syn Władysława i Kazimiery z Rodkiewiczów, urodził się w Piotrkowie 4 lutego 1897 r. W 1906 roku wstąpił do wstępnej klasy szkoły ś. p. E. Konopczyńskiego, do której uczęszczał do roku 1915-go i został promowany do klasy siódmej.

Jako syn urzędnika kolei podczas ewakuacji Warszawy w lipcu 1915 r. wraz z rodzicami wyjechał do Rosji; w tymże roku w październiku wstąpił do siódmej klasy szkoły C. K. O. pod kierunkiem Dyrektora K. Kulwiecia w Moskwie.



Tadeusz Czech

Po otrzymaniu matury w 1916 r. zostaje powołany do wojska armji rosyjskiej i wysłany pod Dźwińsk do ciężkiej artylerji. W 1917 roku w miesiącu lipcu otrzymał stopień podchorążego z przeniesieniem do fortecznej artylerji w Helsingforsie. Po zdetronizowaniu Mikołaja II i zdeorganizowaniu armji rosyjskiej, z Polaków wojskowych znajdujących się w Helsingforsie utworzony został polski dywizjon ciężkiej artylerji, w którym to dywizjonie ś. p. Tadeusz Czech był adjutantem dowódcy dywizjonu pułkownika Bujakowskiego.

W dniu 19-go kwietnia 1918 r. wraz ze swym dowódcą pułkownikiem Bujakowskim został zabity przez bolszewików.



## TADEUSZ DĄBROWSKI

Tadeusz Dąbrowski urodził się 17 marca 1901 roku w Bachtach, obwodu Siemireczeńskiego na granicy Chin. Wstąpił do gimnazjum w Klincach ziemi Czernihowskiej i tam też spędził większą część swego życia. Klince są osadą fabryczną, zamieszkałą przez Rosjan i Niemców. Kolonia polska składała się z kilku rodzin. W 1915 r. napłynęła do Kliniec fala wygnańców z Polski. Wtedy już 14-letni Tadeusz zaczął służyć Krajowi. Rodzice jego zorganizowali doraźną pomoc przejeżdżającym i zatrzymującym się wygnańcom. Z czasem pomoc ta przekształciła się w Komitet Pomocy Ofiary Wojny, na czele którego stanął ojciec Tadeusza. Od pierwszej też chwili pracował on nieraz nawet ponad siły. Wyszukiwał przyjezdnym mieszkanie, latał z listami polecającymi, pełnił dyżury. Był rzutki, energiczny, głęboko czujący, choć nieraz dość ostry w obęjsciu. Może podstawą tego obęjscia była bezwzględna szczerść i prawość, związana z mówieniem prawdy w oczy. Kiedy w maju 1917 r. powstała myśl założenia Drużyny harcerskiej i Związku młodzieży, był w liczbie inicjatorów. Objął też w I klinieckiej Drużynie im. Tadeusza Kościuszki IV-ty zastęp Wilczą. Drużynowym był ks. Ignacy Skorupka. Zastępowi należeli do zastępu szarż, prowadzonego przez księdza. Długie zbiórki, a jeszcze dłuższe rozmowy zostawiły ślad niezapomniany na duszach chłopców. W parę miesięcy później został Tadeusz przybocznym drużyny. Drużynowy i przyboczny zginęli jednego dnia. Stanęli razem do raportu przed Bogiem!

Gorące było życie w Klincach w latach 1915 — 18. Obchody, odczyty, biblioteki, referaty, teatry amatorskie, których dochód opłacał wpisy wygnańców, a przede wszystkim zbiórki i uroczystości harcerskie. Tadeusz brał udział we wszystkim. Nie był zbyt zdolny, szczególnie języki przychodziły mu z trudnością. Dużo czasu zabierała szkoła. Ale miał inicjatywę w załatwianiu najróżniejszych spraw, to też je bez końca wszystkim załatwiał.

We wrześniu 1918 r. przyjechał do Warszawy, gdzie wstąpił do VIII klasy szkoły K. Kulwiecia. Ciężką była praca w polskiej szkole po tem, gdy się uczyło polskiego i historii Polski na dorywczych niedzielnych godzinach „Akademji Klinieckiej”. A przytem wszystkie przedmioty trzeba było przerobić po polsku. Mimo to nie zaniechał pracy harcerskiej. Wstąpił do 20 drużyny i wkrótce został zastępowym.

W listopadzie 1918 roku brał udział w Pogotowiu harcerskiem, wkrótce uciekł z domu i zapisał się do oddziału obrony Lwowa. Był zamały jednak na żołnierza, odesłano więc go do telefonów i wkrótce „maleńki” stał się pupilem całego oddziału. Na rozkaz władz musiał jednak wrócić do szkoły.

W 1919 roku przez całą zimę pracował w Komisji Dostaw Harcerskich, załatwiając najróżniejsze sprawy techniczne i pracując nad siły. Po nieudanym egzaminie maturalnym wyjechał do Poznania, gdzie się zapisał na uniwersytet na wydział filozoficzny, jako wolny słuchacz. W końcu czerwca 1920 roku, jeszcze przed ogólnym alarmem, wstąpił do Sekcji Kultury i Oświaty Oddziału II Naczelnego Dowództwa, jednak już w pierwszych dniach lipca jest w 201 pułku ochotniczym, motywując w jednym ze swych listów, że w II oddziale „pracę gryziپیórka

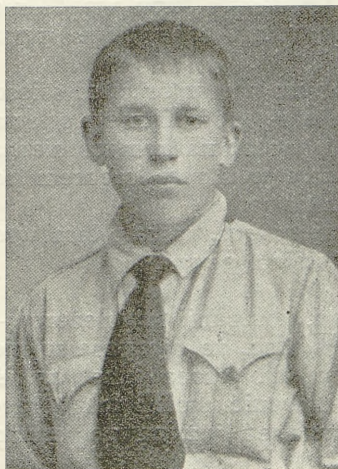


może robić każdy dekownik". 25-go lipca 201 pułk wyruszył na front. Żołnierze niewyćwiczeni, nieumundurowani poszli do boju tylko z wiarą i miłością do Tej, za którą prawie wszyscy mieli zginąć. Tadeusz należał do 3 baonu 9 kompanji.

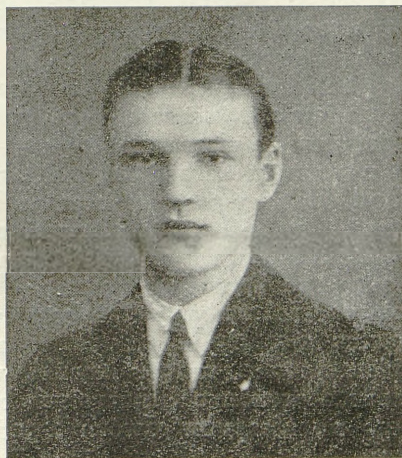
Był wyjątkowo mały i szczupły, to też gdy rodzina zobaczyła go przed śmiercią, miał nogi pościerane od ran, przez zbyt wielkie buty, na policzku zaś miał ranę od odbijania karabinu. Był tylko w jednym boju pod Łapami, trwającym kilka dni, po nim dopełził, jak sam mówił przed śmiercią, do czołówki sanitarnej. Miał czerwone. Pięć dni wieziono chorych do szpitala Garnizonowego w Poznaniu. Gdy 13 sierpnia wezwano telegraficznie rodziców był już dogorywający. Umarł 14 sierpnia 1920 roku.

Że Polskę kochał całą duszą, dowiódł tego życiem i śmiercią. Ci tylko jednak, co go znali bliżej, wiedzieli, jak cichym a gorącym był Jej bojownikiem.

Na parę godzin przed śmiercią domagał się gazet i nowin z frontu. Na parę godzin przed śmiercią wskazywał jeszcze siostrze swej jak ma pomóc chorym, leżącym w jego sali.



T. Dąbrowski.



M. Demidecki-Demidowicz

## M. DEMIDECKI-DEMIDOWICZ

Michał Demidecki-Demidowicz, syn ś. p. Konstantego Demideckiego-Demidowicza i Bronisławy z Radłowskich, urodzony w grudniu 1902 r. w Mińsku-Litewskim. W latach 14 — 18 uczęszcza do szkoły rosyjskiej (z braku innej), potem 2 lata do polskiej. Bierze czynny udział w ruchu harcerskim. Współdziała z wojskiem przy werbowaniu ochotnika do I korpusu gen. Dowbora. W 1919 r. przejeżdża nielegalnie granicę bolszewicką i wstępuje do 6-ej klasy szkoły K. Kulwiecia. Rwie się stale do wojska. Rodzicom z trudnością udaje się go odwlec od tego zamiaru. Nareszcie osiąga upragniony cel i wstępuje



w roku 1920 jako ochotnik do 1-go pułku Szwoleżerów. Przebywa w kadrze w Warszawie 7 dni i wyjeżdża na front w kierunku Siedlec. Po trzydniowym pobycie na froncie w szarży konnej pod wsią Zembrow, dostaje kilka kul kulomiotowych w brzuch. Dostaje się do niewoli, gdzie po paru godzinach strasznych męczarni umiera. Przygodny świadek okoliczności, w jakich to nastąpiło, tak je opisuje:

Ranek sierpniowy pogodny był i cudny.

Słońce wyłacało świeżo żęte łany, pachnące silnie ziemią i zbożem. W wiosce otulonej z trzech stron lasiem sosnowym, podszytym z brzegów gęstą olszyną, ruch panował niezwykły. Dolatywały piskliwe, łzawe głosy kobiet, żałosne porykiwania bydła, a między chatami i podwórkami uwijała się moc zbrojnych ludzi. To oddział bolszewicki w nocy opanował bezbronną wioskę i gospodarzy tam po swojemu: zabiera gwałtem pracowicie zebrany plon letni, uprowadza bydło i grabi mienie ludu polskiego. Idą oni jak burza, niszcząc, wszystko po drodze, jak szarańcza zgłodniała, co pustkę jeno po sobie zostawia, idą wciąż, a pułki polskie znużone nieustanną walką, miażdżone ogromem sił wroga wciąż przybywających, cofają się już ku Warszawie z bezsilną rozpaczą i tępą rezygnacją w duszy.

Do wioski oddział o rękach chciwych grabieży i łupu wpadł niespodziewanie, a siły większe, baterje i karabiny maszynowe opodał w lasku stanęły.

Nagle na zakręcie drogi, co poza wiatrakiem na wzgórzu ku wiosce biegła, niewielki, bo zaledwie dwadzieścia parę głów liczący, oddziałek zbrojny się ukazał. To nasz — chłopcy mocno na koniach siedzą, ręce na cynglu karabinów, koło siodeł lance w słońcu srebrem połyskują. Konie w pędzie coraz szybciej ich niosą.

Dokąd wy leciecie, żołnierzyki nasze najdroższe, wszak tam wrogów, jak mrowia, a was garstka mała, tam śmierć pewna?

Rozkaz żołnierski ich pędzi.

Ten oddział mały — to ochotnicy z 201 p. kompanji szwoleżerów — wszystko to chłopięta młode, co na zew Wodza, że ojczyzna w niebezpieczeństwie, rzucili książki, wywczaszy lub prace inne, by iść i miedz zagrożonych, ojczystych bronić. A bronić chcieli tak gorąco, że oto po niespełna dwóch tygodniach ćwiczeń już na posterunku stanęli.

I duma wzbiera w piersiach młodych, — wczoraj późnym wieczorem wprost z koszar tu przybyli, a dziś ich właśnie na pierwszy bój, pierwszy chrzest bojowy posłano.

Z wioski Zembrowa wyprzeć choć na krótko bolszewików, dywersję tam uczynić, a tymczasem pułk dogodniejszą pozycję zachować potrafi.

I poszli. — Lecą na koniach zuchy młode, tętni krew młoda. W rytm pobudki bojowej, — żarem zapału serce zalewa.

Pędzą jak szaleni z zwartym szeregu.

Mało czasu minęło, bitwa się rozpoczyna.

Nierówne siły, ale impet, brawura i zapał szalony liczby zamienia. Cofają się bolszewicy, coraz gwałtowniej strachem objęci. — Ale wtedy — lasek ziać ogniem pocyna. Nic to — zwijają się zuchy, niby starzy żołnierze, co pogardę śmierci w duszy swej mają. Z lasu wysypują się nowe wroga oddziały, a naszych wciąż ta sama garstka tylko.



Pada rozkaz odwrotu — zadanie spełnione, czas potrzebny uzyskany. Zrozumieć na razie rozkaz trudno — jeszcze wysiłek, a wioska wolną będzie — wicher zawrotny zwycięstwa już dusze obwiewa, — „cofać się”, — rozkaz rozbrzmiewa powtórnie donośnie — i oddziałek, cudem jeszcze cały pomimo kul latających i trajkotania karabinów, cofa się posłusznie. — Naraz jeden z żołnierzy spada z konia z nogą strzaskaną, — obok jadący żołnierz jasnowłosy o twarzy białej i różowej, jak panienka, migiem zeskakuje z konia, kolegę podnosi, ranę zawiązuje i wsiąść pomaga, a wtem kula jedna — druga — trzecia i jego dosięga, — w brzuch ciężko rani i na ziemię bezwładnie powala.

Jęk usłyszawszy, dwaj najbliżsi konie zwracają, wstrzymują i ku leżącemu podbiegają; podnieść go, opatrzyć chcą. Krew bucha z ran, — wnętrzości poszarpane okropnie.

— „Zostawcie mnie”, — osłabłym głosem żołnierz prosi — uchodźcie... tu śmierć pewna... powiedzcie rodzicom, żem ranny”... padają z przerwami słowa, — „uchodźcie prędzej... zaklinam was, zostawcie mnie”...

I zostawić musieli, bo pomoc była prawie niemożliwą. — W chwilę potem zaczerpięto się na polance od żołnierzy bolszewickich, — kilku z nich w stronę leżącego bieży.

Zrywa się chłopiec ostatkiem sił, za karabin porywa i, klękawszy na jedno kolano, jeszcze do nadbiegających strzela. Wściekłość ich ogarnia, lecą ku niemu — już kolby podniesione nad jego głowę zawisły... ale... czy widok młodej, dziecinnej prawie twarzy, czy nieustraszone męstwo żołnierza, co pławiąc się we krwi własnej, jeszcze do obrony jest gotów... coś wstrzymuje rękę okrutną i budzi ludzkie uczucia w duszach twardych.

Nie dobijają, tylko na ręce go biorą i do najbliższej chaty na podwórko wnoszą. Chęci grabieży powstrzymać w sobie nie mogą i mundur i buty zdejmują, ale resztki życia, co jeszcze się tli w młodem ciele, nie pozbawiają.

W wiejskim obejściu na garstce słomy, rzuconej litościwymi rękami kobiet — kona żołnierz młody.

W dziecinnej twarzy kropli krwi już nie ma, wsiąkła ona cała z ran otwartych w ziemię polską — kochaną, której bronić do ostatniego tchu to 17-letnie chłopię sobie przysięgło.

— „Księżdz!”... — szepnęły zbielełe usta.

Pobiegły kobiety do plebanji, korzystając, że żołnierze sprzeciwu nie okazywali, zajęci grabieżą w tej samej plebanji.

Po chwili ksiądz staje u wezgłowania, odsuwa zebranych i spowiedź ostatnią rozpoczyna.

Tymczasem coraz więcej ludzi gromadzi się w obejściu, szlochaniem słyhać naokół, — to anielska śliczna twarz młodziutkiego żołnierza przyciąga oczy, a śmierć zbliżająca się już litość wielką budzi. Ksiądz, błogosławiący na drogę wieczną, ma twarz łzami zalaną.

Nagle błysk życia rozjaśnia gasnące oczy żołnierzyka, porywa się na postaniu, dziwną ożywioną siłą, i dłonią wyciągniętą wskazuje wciskających się w tej chwili między zebranych — żołnierzy bolszewickich.



— „Wrogowie! — grabieżcy! — rozlega się mocą głos jego, — bić bolszewika!... Bracia, ratujcie Polskę!” — i głos wciąż potężnieje, jakby ten żołnierz młodziutki w tej ostatniej chwili swego życia brał w pierś swą umęczoną wszystkie krzywdy polskiej ziemi, strątowanej, grabionej i niszczonej stopą najeźdźców — i krzywdy te, niepomny własnego niebezpieczeństwa, w twarz wrogowi tu obecnemu całą mocą gorejącego serca rzucał.

Obecni osłupieli na razie...

— „Niech żyje Polska! niech żyje Naczelnik! Bracia, ratujcie Polskę!” — zabrzmiał potężny mocą i błaganiem głos umierającego, a płacz ogólny stał się odpowiedzią.

Rzuciło się żołdactwo, odpychając proszących: — „Dobić! — zakłuć go natychmiast!” — rozległy się złowrogie okrzyki. Jednocześnie szmer powstał: — „Toż dziecko jeszcze, nie damy!” — i zwarli się bliżej obok chłopca, który bezwładny, wydając ostatnie tchnienie, opadł na posłanie.

Obrońcy, nie dali, pochowali w trumnie na swoim cmentarzu wiejskim ci sami, których braćmi nazywał i o ratunek dla Polski błagał.

I krzyżyk mały drewniany tymczasowy stanął, a na nim wypisane zostanie imię żołnierzyka: *Michał Demidowicz*, szwoleżer z 201 pułku, co w pierwszym za Polskę swym boju w wieku lat 17-tu w obronie wioski Zembrowa zginął dnia 7 sierpnia 1920 r. U stóp mogiły brzoźka stoi.

## ZYGMUNT MAZUŚ

Ś. p. Zygmunt Mazuś, urodzony 23 grudnia 1900 roku w Sobieniu. Wstąpił do Z. H. P. dn. 20.VIII.1916 r. do I Mohylowskiej drużyny. W listopadzie 1918 r. wraca do kraju i zostaje przydzielony do 39 W. D. H. im. J. Wybickiego. W 1920 r. będąc uczniem klasy piątej, wstąpił do 1 komp. 201 p. p.; dnia 29.VII.1920 ciężko ranny w głowę przy obronie przyczółka mostowego za Łapami, po kilkudniowych ciężkich cierpieniach, zmarł 7 sierpnia 1920 r., opatrzony św. Sakramentami.

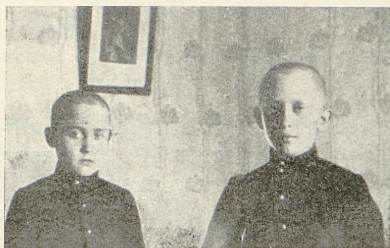
Przedstawiony do mianowania „Honorowym Harcerzem Rzeczypospolitej”.

## MIECZYSLAW KRASSOWSKI

Mieczysław Krassowski, syn Józefa i Marii z Uszkarajtesów, wnuk powstańca 1863 r., urodzony w Moskwie w 1903 r., uczęszczał do szkoły 1-go moskiewskiego realnego gimnazjum, ukończył 4 klasy, ponieważ dowiedział się o otwarciu gimnazjum polskiego p. Kulwiecia, z wielkim zapałem i chęcią wstąpił do niego.

W 1918 r. powrócił z rodzicami do Warszawy i uczęszczał nadal; będąc w szóstej klasie, na wezwanie gen. Hallera wstąpił jako ochotnik do 201 p. piechoty wraz ze swym młodszym bratem Zdzisławem, który w owym czasie był w trzeciej klasie. Młodszy powrócił po inwazji bolszewickiej, a Mieczysław zginął.





Zdzisław i Mieczysław  
bracia Krassowscy.



K. Z. Płoszko.

## KAROL-ZYGMUNT PŁOSZKO

Ś. p. Karol Zygmunt Płoszko, lat 16, urodzony w 1905 r. w mieście Baku, na Kaukazie, syn nieżyjącego dra Adama i Zofji z Iwanowskich, obecnie profesorowej Ossendowskiej, żony słynnego podróżnika, padł w obronie Warszawy pod Ossowem w bitwie z bolszewikami. Służył w 236 p. p.

Młodziutki ten bohater w dzieciństwie swem wyróżniał się wśród innych dzieci absolutnym brakiem egoizmu, posłuszeństwem i spełnianiem wszelkich obowiązków. Była to natura niezwykle bogato uposażona. Wybitny talent muzyczny i malarski, wskazywał rodzicom, że w tym kierunku kształcić go trzeba. Jednocześnie kształcił się w szkole średniej, gdzie był pierwszym uczniem. Cały czas swój wolny od zajęć poświęcał kolegom mniej zdolnym, dzieląc się z nimi nie tylko swoją wiedzą, ale i materjalną często służąc pomocą. Kochali go też wszyscy. W domu był anielsko dobry, uprzejmy dla wszystkich, bez żadnych wymagań, wrażliwy na cudzą krzywdę i cierpienie. Był osłoda, dumą i nadzieją rodziców. Niedługo się jednak nim cieszyli, wyroki Boskie zrzędziły, że ukochany ich złotowłosy Loluś, mając niespełna lat 16, na pierwszy apel generała J. Hallera, jako uczeń 6 klasy gimnazjum Kulwiecia, samorządnie, z sercem przepełnionem miłością dla Ojczyzny, z wiarą, że choćby zginąć musiał, to dla ocalenia Polski, zaciągnął się do szeregu armji ochotniczej harcerskiej. Zapał, który bił z promiennych jego a wielkich szaro-zielonych oczu, udzielał się wszystkim jego towarzyszom.

Poszedł na bój z bolszewikami i tam obok księdza Skorupki, padł ugodzony w samo serce, z promiennym uśmiechem na twarzy. Ostatnie jego słowa — Jezus, Marja! — Wydobyty z pod stosu ciał innych, odnaleziony przez matkę — przywieziony został do Warszawy, gdzie odbył się pogrzeb.

Jednocześnie z nim pochowani zostali: ks. Skorupka i troje innych bohaterów, pomiędzy którymi była i kobieta — porucznik.

Złowieszcze strzały wrogów padły, a wielki duch bohaterstwa stworzył „Cud nad Wisłą”.



Cześć wzniosłym ideałom i samorzutnym apelom młodych i kochających serce Polski.

Śpij niezapomniany i ukochany Lolušku, nasz harcerzyku!

## BOLESŁAW ANTONI PRÓSZYŃSKI

Bolesław Antoni Prószyński, syn ś. p. Konrada (Promyka) i wnuk — przez matkę, Tadeusza Korzona, urodził się w Warszawie 22 sierpnia 1902 r. Tradycja rodzinna przekazała mu opowiadania o prapradziadku Stańskim, który zginął od kuli armatniej w 1831 r. pod Wilejką, o prababce ze Stańskich Prószyńskiej Róży, co uzbroiła 50 ludzi i na pomoc ojcu na ich czele śpieszyła — o prapradziadku Korzonie Janie, który zginął w 1794 r. pod Gólkowem. Obaj dziadowie byli wygnańcami po 1863 r., ojciec wyczerpywał zdrowie w pracy nad siły.

Zdarzyło się pewnego wieczora, że Bolek dziewięcioletni, położysz się na spoczynek, nie zasypiał długo, zapytany o przyczynę, rozplakał się rzewnie, „bo ja nie potrafię tak się poświęcić, jak tatuś“! Dłuższej chwili trzeba było dla uspokojenia go. Dosyć wątpli, wcześniej okazywał usposobienie marzycielskie, wybujałą wyobraźnię i nadmierną wrażliwość.

Naukę szkolną rozpoczął z początkiem wojny 1914 r. bezpośrednio po pełnej wrażeń i uciążliwej podróży z Sopot przez Szwecję i Finlandję dookoła Bałtyku. Z pamięci później wymalował dość udatnie krajobraz szwedzki tak, jak go z okien wagonu zapamiętał. Miał wówczas wielkie upodobanie do rysunku i malarstwa, rozwinięte przez dobre wskazówki nauczycielki. Później więcej pracował nad muzyką, do której zdradzał wybitne zdolności przy nadzwyczajnym słuchu i pamięci muzycznej.

Poczynając od 1908 r., t. j. od śmierci ojca — co kilka lat odczuwał smutek i żalobę w domu z powodu powtarzających się raz po raz zgonów w rodzinie. W 1918 r. stracił dziadka Korzona. Te smutki wpływały ujemnie na stan nerwowy chłopca. Trudno i coraz trudniej było mu uczyć się systematycznie i spokojnie.

W czerwcu 1920 r. zdał egzamin do 7 kl. Szkoły Św. Kazimierza. W początku lipca wyjechał na odpoczynek do Zakopanego. Przebył tu jednak zaledwie dwa tygodnie — 13.VII bowiem pisał: „myślę, że już niedługo wrócę, bo przy dzisiejszych wiadomościach — trudno tu wytrzymać“...

22 lipca zgłosił się do Inspektoratu Armji Ochotniczej, 26-go stanął w koszarach przy ul. Zygmuntowskiej na Pradze.

Trochę rozpieszczony, wytwornis, uległ zupełnemu przeobrażeniu: nie przyjął żadnych udogodnień, wszystko chwalił: i nocleg, i jadło, i towarzystwo — pisał znów do brata do Zakopanego: „mnie w wojsku byłoby zupełnie dobrze, gdybym był przekonany, że Mama jest o mnie spokojna i nie martwi się; to jest jedyną moją troską, która mnie przesładuje.“

Uroczystość wręczania pułkowi sztandaru przez Weteranów 1863 r., przemówienia odpowiednie chwili bardzo głębokie wrażenie na Bolku wywarły — był silnie wzruszony — z wielkiem też przejęciem przygotował się do spowiedzi i komunji św., przerwał rozmowę z matką,



spostrzegłszy, że przyszedł ś. p. ks. Skorupka, aby zapoznać się z chłopcami ochotnikami.

Ponieważ karabinu maszynowego jeszcze nie złożono i nie było jeszcze ani jednej lekcji strzelania, więc rodziny młodych ochotników sądziły, że wymarsz ich „na front” jeszcze o kilka dni się przeciągnie. Jednak pochód wrogów, tak jak ongi Tatarów, następował szybciej „niż wieść o nich”.



B. Prószyński.

Zginął niewątpliwie na polach Ossowa w zaciętych walkach, które toczyły się w obronie stolicy. Ciało, pomimo skrzętnych poszukiwań matki, nie odnaleziono. Pogrzebany prawdopodobnie łącznie z wielu innymi, w tej bitwie poległymi, w bratniej mogile.

## BOHDAN RESTORFF

Bohdan Restorff urodził się 31 stycznia 1899 r. w Warszawie, jako syn Stefana i Pelagii z Chmyzowskich Restorffów.

Pierwsze lata życia spędził w Warszawie, od 4-go roku życia zamieszkał z rodzicami w Mińsku Mazowieckim, gdzie jego ojciec był rejentem.

Był zawsze dzieckiem bardzo zdrowym, spokojnym, cichym, zawsze wesół i wysokie zdolności umysłowe, był wielkim szczęściem rodziców i znakomitym przykładem do naśladowania dla młodszego braciszka.

W 10-tym roku życia został oddany do najlepszego wówczas zakładu wychowawczo-naukowego: do Starej Wsi, szkoły ks. Gralewskiego, do grupy C.

Często odwiedzany przez matkę, rósł w atmosferze wysokiego napięcia duchowego, prowadzony przez światobliwego wychowawcę p. Tyszkę i przez księdza przełożonego. Pierwsza spowiedź i komunja



św., do której, oprócz matki, przygotowywał go wielkiej świątobliwości i rozumu ks. Jakubisiak (dziś znany działacz wśród młodzieży w Paryżu) wywarła na małym chłopcu duże wrażenie i usposobiła go w ten sposób, że ze szkoły oddalonej spory kawał od kościoła, co rano wymykał się cichaczem, by przyjąć komunię św. i bez zwrócenia niczyjej uwagi stawiać się na śniadanie wspólne; wiedział o tem tylko wychowawca p. Tysza i matka Bohdana.

Gdy oddział C. miał być przeniesiony ze Starej Wsi do Prokocimia pod Kraków, Bohdan został przez rodziców oddany do szkoły w Mławie. Był to zakład doskonale prowadzony przez dyrektora Frankowskiego, w domu którego Bohdan mieszkał. Tak ucząc się i przechodząc bez zatrzymywania się z klasy do klasy, doszedł do 1914 r.

W okresie wakacji wybuchła wojna i pierwsze zaraz ataki, skierowane były na Mławę, wobec tego rodzice przenieśli Bohdana do szkoły Konopczyńskiego, do Warszawy, gdzie przebył w 6-ej już klasie rok.

W 1915 r. Bohdan z bratem wyjechał na letni pobyt do krewnych pod Mołodeczno i tu razem z rodziną został odcięty od domu i Polski.

We wrześniu znalazł się w Moskwie, poszukując możliwości dalszego kształcenia się.

Wtedy Centralny Komitet Obywatelski założył w Moskwie szkołę pod dykcją prof. Kulwiecia i do niej wstąpili obaj Restorffowie. Bohdan do kl. 7-ej.

Matka ich zaangażowana została do prowadzenia internatu dla młodzieży szkolnej, i tak wychowywał się i kształcił Bohdan Restorff przez trzy straszne lata wygnania, wojny, pożogi, lata rewolucji w Moskwie, lata strasznej tęsknoty do kraju, lata głodu, niepokoju, szarpaniny, męczarni, z których wykwiła wolność Ojczyzny.

Cała młodzież szkolna przechodziła wtedy chwile przełomowe, w których kierownikami im byli zacni profesorowie z dyrektorem Kulwieciem na czele i z niezapomnianym ks. Kazimierzem Lutostawskim, jako ich duszpasterzem i wychowawcą.

Przyszł rok 1918. Bohdan był już studentem prawa uniwersytetu moskiewskiego, zapragnął koniecznie służyć sprawie publicznej, czemśkolwiek przyczynić się do budzenia uświadomienia narodowego i idei wolności, wziął więc swoje książki dla studjów prawnych i powędrował z Moskwy na zachód, do Mińska; Komitet pomocy ofiarom wojny zaangażował go na posadę skromnego nauczyciela ludowego do wioski zapadłej za Mińskiem; tu spędził Bohdan całą jesień i ciężką zimę, ucząc dzieci polskie i białoruskie, które się do jego szkoły ze szkółki państwowej rosyjskiej tłumnie przeniosły.

Na wiosnę, wezwany przez rodziców do wspólnego powrotu do kraju, wyruszył w drogę z Moskwy do Mińska Mazowieckiego, gdzie w końcu maja 1918 r. stanął. Na jesieni wstąpił na Uniwersytet i 1 października tegoż roku zgłosił się, jako ochotnik do 5-go pułku ułanów, do oddziału karabinów maszynowych.

Stał w Mińsku Mazowieckim, brał udział w rozbrajaniu Niemców w listopadzie, ćwiczył się przez zimę w obchodzeniu się z koniem i z karabinem maszynowym, pełniąc służbę jako prosty szeregowiec; na wiosnę 1919 r. został z całym pułkiem wysłany na front w okolice Kowla.



W ostatniej swej pożegnalnej rozmowie z matką Bohdan mówił, że czuje, iż z tej wyprawy nie wróci i wyrażał obawę i troskę, że nie chciałby umierać bez księdza, bez krzyża w rękę, a matka mu na uspokojenie dała radę, że krzyżyk można sobie samemu wystrugać, czy wyrysować i położyć sobie na sercu ten symbol wiary i męki pańskiej i duszą całą zapragnąć Boga; to w ostatniej chwili życia starczy za spowiedź i rozgrzeszenie. Bohdan wszedł do pociągu i przez okno oddalającego się wagonu pokazał matce różaniec, który miał w rękę, ten sam, który nosił przy sobie od 7-go roku życia. Tak go widziała poraz ostatni.

Bez słowa narzekania znosił Bohdan trudy wojenne i życia koszarowego, najwięcej mu dokuczało: robactwo, którego nie można było uniknąć w życiu żołnierza i towarzystwo kolegów oraz zwierzchników niższych stopni, niekulturalnych, dzikich, którzy mu na każdym kroku jego wykształcenie i pochodzenie wymawiali, zwalając na niego najcięższą robotę fizyczną.



B. Restorff.

W końcu września pułk jego stoczył kilka bitew, w których Bohdan brał udział ze swym karabinem maszynowym. Aż raz, jak to opisywał w liście ostatnim, oddział jego musiał cofnąć się przed przeważającą siłą bolszewików i w pewnym momencie cała obsługa karabinu, porzuciwszy go na polu, umknęła; wtedy Bohdan wrócił i pod gradem kul porwał karabin maszynowy na plecy i włókł go przez zorane pole kilka wiorst. „Nie mogłem przecie swego karabinu oddać bolszewikom” — pisze dosłownie, — i to był początek jego końca; zmordowany padł zemdlony w stodole jakiejś i wstał po kilkunastogodzinnym śnie, zziębnięty i zupełnie chory; prosił pułkownika o urlop na leczenie się; odmówiono mu, otrzymał tylko pochwałę w rozkazie dziennym za swój czyn.

Dostał gorączki wieczorem i znów poszedł na słomę do przewiewnej stodoły, bo w chałupach wszystkich, gdzie mieścił się pułk, panował wszędzie tyfus plamisty i roilo się od robactwa.



Po tygodniu męki, kiedy ślaniał się na nogach i ustać nie mógł, oddano go do szpitala polowego; tam doktor skonstatował, że Bohdan ma tyfus plamisty, i kazał go odstawić do szpitala dla zakaźnych chorych do Kowla. Podwieziono go w nieopalonym wagonie towarowym do stacji Kowel i kazano mu iść piechotą do szpitala oddalonego o trzy wiorsty; i szedł, padając, i szedł nie wiadomo jak długo, aż doszedłszy, padł w przedśionku. Otoczyli go żydzi i żydówki. Doktor w tym szpitalu był żyd, żydówki sanitariuszki, kancelarję i cały szpital obsługiwali żydzi.

Zaniesiono Bohdana na salę nieprzytomnego. Gdy po paru dniach odzyskał trochę przytomność, poprosił doktora o zatelegrafowanie do rodziców, dał adres dokładny i czekał matki; czekał z dnia na dzień, z godziny na godzinę, a doktor oddał telegram do kancelarji, kancelistka oddała go woźnemu, woźny chłopakowi od posyłek, a chłopak telegramu nie posłał wcale.

Choroba szybko postępowała, zbliżał się kryzys. Bohdan czuł zbliżający się koniec, a tu nie miał kogo nawet o księdza prosić, ścisnąć rękę swój różaniec i szukał między żydami i żydówkami, którzy go otaczali, kogoś, co go zrozumie, i zawołał łaż chłopaka, który w piecu palił.

„Skąd ty jesteś?” pytał chory; „z Mińska Mazowieckiego” odpowiedział chłopak. Rozweseliła się twarz Bohdana; „a to pewnie cię Pan Bóg zesłał, ba ja też jestem z Mińska; daj mi krzyżyk”. I pobiegł chłopiec szukać krucyfiks i nie znalazł go w całym szpitalu. „No, to daj mi deszczułkę jaką” prosił znów Bohdan. I odłupał Jasek deszczułkę od jakiegoś pudełka i dał Bohdanowi, potem o węgielek Bohdan prosił i stygnącą ręką wyrysował sobie krzyżyk na deszczułce i położył ją sobie na piersi na sercu, i lżej mu się zrobiło.

Wtedy jał prosić Jaśka „zawołaj mi księdza”; szukał Jasek kapelana dzień cały; napróżno, aż nazajutrz do chorego urzędnika powiatowego przyszedł znajomy ksiądz w odwiedzinę; tego Jasek przyprowadził do Bohdana, i tak przez skromnego posługacza Jaśka zesłał Bóg umierającemu żołnierzowi ostatnią pociechę, i umarł zdala od rodziców, na twardym łożu szpitalnem, i rzucili go wraz z innymi do zbitej z czterech desek skrzyni, i wywieźli na cmentarz, i zakopali do ziemi, i nie dali o tem znać rodzicom, ani nikomu. A było to 1 października 1919 r.

## HENRYK STĘPKOWSKI

Henryk Stępkowski urodził się w czerwcu 1900 r., a zmarł 1920 r.; 1910 roku wstąpił do szkoły realnej, 1912 roku zapisał się do harcerstwa; 1915 roku wyjechał do Rosji, do Smoleńska.

Po przebyciu jednego roku w szkole smoleńskiej przyjechał do Ekaterynosławia. Zarówno w Smoleńsku, jak i w Ekaterynosławiu brał czynny udział w harcerstwie. W Smoleńsku sam drużynę harcerską założył. Najwyższą ideą jego był skauting. W 1917 roku powrócił do Smoleńska i wstąpił do tej samej szkoły, co poprzednio.

1918 roku powrócił wraz z matką do Ojczyzny. By naprawić swą mowę, tak jak i inni, wstąpił do szkoły Kazimierza Kulwiecia.



W piętnastym roku swego życia pierwszy raz przepowiadał sobie, że życie jego będzie niedługie. Przez dwa lata przed pójściem na front przepowiadał bardzo często, że tylko 20 lat żyć będzie.

Od małego dziecka wyróżniał się łagodnością i dobrocią, był wzorowym synem. W późniejszych latach zakwitł w nim patriotyzm, był przykładem wiernego katolika. Był bardzo uczynny i koleżeński.

W 18 — 19 lipca 1920 roku wstąpił do wojska, jako ochotnik, wcielony do 21 pułku harcerskiego w służbie sanitarnej. Na front szedł z przeświadczeniem, że nie wróci. Na słowa matki: „synu bądź uważnym i chroń swoje życie” odpowiedział: „Co? Mamusia myśli, że gdyby kolega potrzebował pomocy i jej wzywał, to jabym nie szedł z pomocą? Pod najgorętszym gradem kul pójdę nieść ratunek”.



H. Stępkowski.

W jednej z bitew, w Tyszkach pod Grodnem, gdy znajdował się na linii frontu, usłyszał wołanie kolegi, który, ciężko ranny, wzywał pomocy. Jeden z kolegów, którego matka powierzyła opiece Henryka, odradzał mu wychodzenia z okopów, mówiąc, że gdy strzelanina ustanie, udzieli rannym pomocy. Gospodarz posiadłości, gdzie oni stali, złapał go za frencz, ze słowami: „Panoczku, niech panoczek nie idzie, bo kule latają”. Lecz ten w myśl hasła, które wypowiedział „pod najgęstszym gradem kul pójdę kolegom z pomocą” wyrwał się i pociągnął kolegę, który mu odradzał. Gdy położyli rannego na nosze i uszli parę kroków, kula zabłąkana trafiła w nich; obaj zginęli od jednej kuli.

## AUGUSTYN SEWERYN ZAORSKI

Augustyn Seweryn Zaorski, urodzony dnia 11 maja 1904 r. w majątku Miłków, pow. Radzyński, gub. Siedlecka. Był jedynym dzieckiem Marji z Hinczów i ś. p. Jana Henryka Zaorskiego.

Do roku 1915 uczył się w domu. W sierpniu roku 1915 z powodu przeprowadzenia przez majątek rodziców okopów rosyjskich i cofania



się armji, zmuszony był wraz z rodzicami usunąć się na wschód, nie przypuszczając narazie, że wypadki zapędzą ich aż w okolice Orła, gdzie w przykrych warunkach przebyto cały rok, a następnie dwa lata w Kijowie, gdzie Gucio miał sposobność zobaczyć wszystkie okropności rewolucji wraz z bombardowaniem Kijowa.

Początkowo uczęszczał do kl. II szkoły „Komitetowej”, z której jednakże po roku przeniesiono go do szkoły „Zrzeszenia Rodziców i Nauczycieli”.

Do Polski powrócił z wielkim trudem, uzyskawszy pozwolenie w 1918 r. Po przyjeździe z matką do Warszawy na podstawie świadectw ze szkoły kijowskiej został przyjęty do szkoły reemigracyjnej R. G. O. Dyrektora Kulwiecia. „Gdy po wycofaniu się Niemców — pisze jego matka — i nasze warunki osobiste polepszyły się, a Gucio przyjechał na wakacje jako uczeń V-ej klasy, z całym zapałem wziął się do gospodarstwa i nie tylko wyręczał ojca w administracji majątkiem, ale nauczył się wszelkich robót polnych, więc orał, obsypywał ziemniaki, kosił trawę i zboże, wiązał snopy; po całych dniach na skwarze słonecznym lub słońcu nie można go było namówić na dłuższy sen lub wypoczynek. Pragnął, aby jaknajprędzej odbudować folwark i dwór, więc mimo mego niezadowolenia, gdyż obawiałam się o jego zdrowie, sam wywoził gruz ze spalonych murów i karczował krzaki na ścieżkach zdziczałego parku.

Na wiosnę 1920 roku zapisał się Gucio w Warszawie do Stowarzyszenia Samopomocy Społecznej i podczas strajku pracował energicznie, jako konduktor w autobusach. Trochę słaby i bardzo mizerny wrócił na wakacje do domu z opóźnieniem. Tymczasem z frontu nadchodziły złe wieści. Gucio, podczas czytania gazet wspominał, że w razie potrzeby on pójdzie walczyć... Myślałam, że żartuje; wydało mi się zupełnie nieprawdopodobne, aby ten mój synuś, który tak lubi grać na mandolinie, karmić króliki i budować z deseczek małe okręciiki, aby je podczas kąpieli puszczać na stawie, chłopak mój, który zaledwie skończył lat 16, mógł zostać żołnierzem, więcej — iść na front!

Wyczerpanie fizyczne, zdenerwowanie, czy myśl o niebezpieczeństwie, grożącym Ojczyźnie, nie pozwalały Guciovi pracować już tak, jak wakacji poprzedniego roku. Służbie — fernalom starszym i młodym chłopcom tłumaczył, że w razie potrzeby należy iść wszystkim bronić Ojczyzny i wolności. Gdy zaczęły nadchodzić wieści, że krewni i znajomi wstępują ochotniczo do wojska, Gutuś oświadczył nam, że i on musi iść, a jeżeli nie damy pozwolenia — ucieknie z domu. Postanowiliśmy z mężem, że trzeba jechać z nim do Warszawy i tam zorientować się w sytuacji. Bitwy toczyły się nad Bugiem, lada dzień spodziewano się wtargnięcia w nasze strony bolszewików; mąż mój nie mógł ani na dzień jeden opuścić gospodarstwa i domu; grozę położenia czuło się w powietrzu. Jechałam ze swym synem do Warszawy w nadziei, że jego zapal i dobre chęci okażą się zbyt cenne, że dzieci szesnastoletnie może będą jedynie potrzebne do służby pomocniczej. Stało się inaczej: 29 lipca zapisał się na ochotnika w biurze werbunkowem w S. S. S. Komisja przeznaczyła go do 236 p. p.; w trzy dni musiał stawić się w koszarach; w dwa tygodnie później już był na froncie; po bitwie „zaginął”.



Ostatniego lipca wracałam zgnębiona do Siemienia, na dworcu żegnał mnie po raz ostatni już w mundurze i z kokardką ochotniczą, wręczył list do ojca, w którym pisał: „Mamusia biedna ciągle płacze; niech Tatuś ją pocieszy, nie jestem dzieckiem; dam sobie radę”. Potem już tylko kartka z koszar przez kogoś ze znajomych: „Kochani Najdrożsi Rodzice, jestem tymczasem zdrow. Pragnąłbym się z Wami zobaczyć. Co słyszeć w Siemieniu?” I ostatnia kartka z dn. 13.VIII 1920 r. „Wyjechałam na front”.

Dzień 14.VIII — bitwa pod Ossowem. Padł ks. Ignacy Skorupka, Loluś Płoszko, Jackowski i tylu, tylu innych...



A. Zaorski.

Po wielu długich poszukiwaniach osobistych i dochodzeniach, czynionych przez władze wojskowe i sanitarne, dowiedzieliśmy się, że: „Augustyn Zaorski, ochotnik 236 p. p. przyłączony wraz z innymi przed bitwą do 36 p. p. VII komp., był ranny w bitwie pod Ossowem 14.VIII, opatrywany w szpitalu polowym 106 w Ząbkach i odesłany na stację zborną na dworzec wileński. Dalsze dochodzenie w toku”. Tu dalszy ślad ginie, gdyż między przywiezionymi z Zabek rannymi na dworcu wileńskim syna naszego podobno nie było. Koledzy, ani siostry miłosierdzia wyjaśnień prawie żadnych dać nie umieli.

W parę tygodni po bitwie otrzymaliśmy kartkę tej treści: „Jako kolega ś. p. Augustyna Zaorskiego, poczuwam się do obowiązku powiadomić W. Państwa, że syn W. Państwa Augustyn Zaorski, szer. ochotnik 36 p. p. 7 komp. został ciężko ranny w boju pod Warszawą, odwieziony zaś do szpitala twierdzy w Modlinie, zmarł tam i tamże został pochowany. Bliższych szczegółów udzieli zapewne zarząd szpitala w Modlinie”; podpis: Węgrzynowski Stanisław, ochotnik 36 p. p. 7 komp. Natychmiastowe i kilkakrotne późniejsze dochodzenia w Modlinie nie dały żadnego wyniku. Zarząd szpitala, jak również kapelan,



stanowczo zaprzeczali, aby mieli u siebie ранego lub zmarłego Augustyna Zaorskiego. Co dziwniejsze, mimo wszelkich usiłowań nie udało nam się odnaleźć St. Węgrzynowskiego; adresu swego nie podał; mimo wielokrotnych ogłoszeń w różnych czasopismach nie zgłosił się; w kancelarji pułkowej zapewniono nas, że od początku istnienia pułku nie było żołnierza tego nazwiska. Tak więc pozostało zagadką, gdzie i w jakich warunkach syn nasz życie zakończył. Z inicjatywy ś. p. Męża mego, wspólnie z kilku rodzinami poległych lub zaginionych w bitwie, postawiliśmy pomnik na bratnich mogiłach pod Ossowem. W roku zeszłym cmentarzyk został otoczony murem, w roku obecnym posadzone zostało trochę drzew i krzewów".





# Z DZIEJÓW SZKOŁY IM. ŚW. KAZIMIERZA

Z. JĘTKIEWICZOWA

**P**ODCZAS, gdy inne, normalnie powstające szkoły tworzą się powoli i mozolnie długie miesiące, a nieraz nawet lata pracy przygotowawczej poprzedzają otwarcie pierwszych kilku klas, z których potem rozwija się pełne gimnazjum — *nasza szkoła powstała szybko, po amerykańsku* — zrodziła ją potrzeba chwili — konieczność dziejowa, i miłość gorąca dla rzesz wygnańczej młodzieży — zrodziła usilną chęć pracy dla Ojczyzny pedagogów, którzy się po wakacjach 1915 r. znaleźli odcięci od kraju.

Ci, co powołani przez Centralny Komitet Obywatelski z inicjatorem tej pracy p. Janem Lutosławskim i Dyr. Kazimierzem Kulwieciem na czele, do budowania szkoły polskiej w Moskwie stanęli, czuli, że gmach ten nie ma podstaw, że tymczasowość zawisła nad ich poczynaniami, że pracę na miesiące, a może na lata rozciągnąć wypadnie. Jednak rozumieliśmy wszyscy nakaz chwili: musimy ochronić młodzież od trwonienia czasu na bruku Moskiewskim, od trucizny rozkładowej wschodu, trzeba ją skupić przy warsztacie pracy szkolnej, kształcić jej umysł i krzepić ducha, aby zachować tych młodych obywateli Ojczyźnie.

Kilka cyfr najwymowniej zilustruje 3-letnią działalność naszej szkoły w Moskwie:

|                                     |            |      |      |
|-------------------------------------|------------|------|------|
| w pierwszym roku                    | prowadzono | klas | 15   |
| w drugim                            | "          | "    | 19   |
| w trzecim                           | "          | "    | 14*) |
| Uczęszczało młodzieży w I roku      |            |      |      |
|                                     |            |      | 450  |
| " " II "                            |            |      | 627  |
| " " III "                           |            |      | 497  |
| Wydano 97 matur filol. i 62 realne. |            |      |      |

Personel nauczycielski liczył osób 66: z wyższem wykształceniem 38, ze średnim 19, ze specjalnem 8. Kardynalną zasadą szkoły było utrzymanie na obczyźnie obyczajów wzorowanych na szkołach w kraju, broniliśmy się przeciw zakusom reformatorskim, które powiały ze Wschodu i niestety znalazły oddźwięk w sferach nauczycielskich. „My, ludzie postępowi, wieloletni pracownicy nad udoskonaleniem gmachu oświaty ojczystej — tu na obczyźnie na czas wojny, orzekliśmy się, jako konserwatyści” (przemówienie Dyr. Kulwiecia podczas uroczystości zamknięcia szkoły). To stanowisko zasadnicze naraziło szkołę, zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch lat na wiele przykrości ze strony lewicowych Kół Emigracji, ale pociechą i dumą byli nasi uczniowie, ich całkowite zaufanie i zaufanie rodziców, którzy tak żyli się ze szkołą, że stanowili jedną szkolną rodzinę. Jeśli dziś młodzież, wspominając lata tułaczki, pamięta jasne, nieraz pogodne

\*) Zmniejszenie ilości klas wynikało z powodu utraty obszerniejszego lokalu w sprzedanym przez poprzedniego właściciela domu.



chwile i podniosłe wrażenia, wiążą się one niewątpliwie ze szkołą, która *była kuźnią ducha narodowego na wygnaniu*, w której całe nauczycielstwo tęsknotę swą i niedolę przeradzało w twórczy czyn, płynący z ukochania polskiej dziatwy. Toż 39'10% młodzieży nie miało innej, oprócz szkoły opieki, 17'65% przybyło do Moskwy tylko z ojcem, lub tylko z matką. Życie domagało się od szkoły coraz nowych wysiłków, powstawały pod egidą C. K. O. internaty, kolonie letnie i t. p. instytucje, dające całokształt opieki szkoły nad swą młodzieżą — Samopomoc szkolna, sklep uczniowski, ożywiony ruch harcerski, ważnym się stały czynnikiem obywatelskiego wychowania.

Jeden z maturzystów, żegnając szkołę, tak mówił: Jeśli środowisko, w którym znajdujemy się, nie zdołało dusz naszych opanować, jest to zasługa naszej szkoły, która nas skupiła, oderwała od wszystkiego, co złe i cudze, rozwijała ducha narodowego na tle gruntownej wiedzy o Polsce, przygotowała nas do wiernej służby dla niej, i wskazywała drogę ku świetlanym szczytom odrodzenia". Życie naszych maturzystów, ich służba w szeregach, przypieczętowana śmiercią 5-ciu z nich, poległych w walkach z bolszewikami, dają świadectwo, że słowa te nie były frazesem, ale głęboko odczuta prawda.

Na ostatniem zebraniu w Moskwie rodzice uczniów zwrócili się do Dyrektora Kulwiecia z gorącą prośbą, aby szkoła nie rozwiązała się po powrocie do kraju i nadal zaopiekowała się ich dziećmi. Zespół nauczycielstwa uważając, że szkoła przetrwała ogniową próbę życia i związała ich silną wspólną ideą z zacnym kierownikiem, wyrazili to samo życzenie. Ale najsilniejszym motywem do otwarcia szkoły naszej na gruncie warszawskim był znów niewątpliwie nakaz chwili, potrzeba narodowa.

Co mieli czynić ci chłopcy, którzy ze szkół rosyjskich i z kresów przybyli, nie mogli się z powodu braków w przedmiotach ojczystych dostosować do żadnej klasy w normalnie pracującej szkole? Co czynić mieli ci, którzy, ucząc się w szkołach polskich na wygnaniu, również pewne braki programowe mieli do wyrównania?

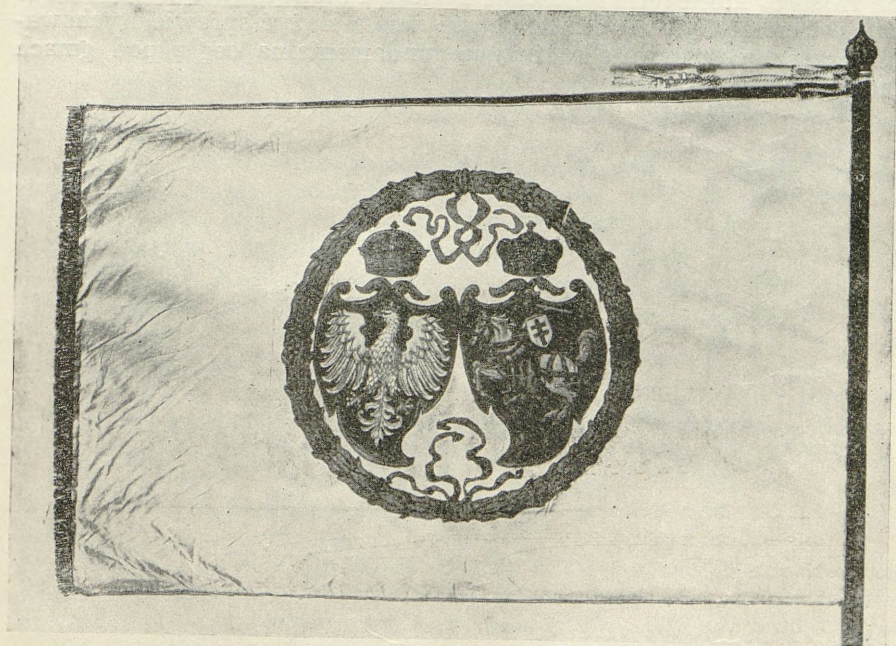
I oto znów powstaje nagle pełna VIII klasowa szkoła o niestłuchanej liczbie klas równoległych (22 klasy), w lokalu dla szkoły nieodpowiednim, przy niezwykle ubogich sprzętach i pomocach naukowych, szkoła Reemigracyjna, nosząca przez rok nazwę R. G. O., obecnie nazwą patrona Kresów Św. Kazimierza popularnie zwana od imienia Jej organizatora i Dyrektora szkołą Kulwiecia.

I znów tymczasowość nad nami zawisła: nie wiedzieliśmy wszyscy, *jak długo trwać będzie potrzeba takiej szkoły*. A jednak, choć nauczycielstwa w kraju brak, choć niema bodaj osoby w personelu nauczycielskim, której nie spotkałaby propozycja pracy w materialnie wygodniejszych warunkach, w bardziej równych i dobranych klasach, nikt nie zszedł z posterunku, przywarło do nas wraz ze swą młodzieżą nauczycielstwo z Kijowskich i Wileńskich szkół polskich wygnańczych i trwamy. Ta zewnętrznie niepociągająca szkoła ma swoich, oddanych sobie i silną ideą związanych ludzi; tradycją szkoły naszej było ratowanie młodzieży nie z własnej winy wykolejonej, przez wojenną zawieruchę, zadanie to nie zostało skończone i dziś w przeciwstawieniu do szkół, które odrzucają szeregi chłopców, wysuwając hasło, „w naszej szkole ani jeden maturzysta nie może odpaść przy maturze“, my





Sztandar Szkolny od strony frontowej.



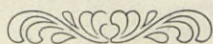
Sztandar Szkolny od strony odwrotnej.



wysuwamy dumnie nasze hasło: „ani jednemu chłopcu, który chce pracować i z winy ciężkich ogólnokrajowych wydarzeń ma braki, nie odmówimy pomocy i opieki, każdemu postaramy się dać średnie wykształcenie i otworzyć drogę do dalszych samodzielnych studiów”. Ministerstwo W. R. i O. P. uznało to obywatelskie stanowisko szkoły i trudne warunki jej pracy — klasy wyrównują się z każdym rokiem. W latach szkolnych 1918/19 i 1919/20 83-ch chłopców, po odbytych przy Delegacie z M. W. R. i O. P. egzaminach otrzymało maturę. Obecnie 125 chłopców, z których większość nosi krzyże walczyli na piersiach, którzy wszyscy lato i część jesieni walczyli w szeregach — stanęło do egzaminu dojrzałości.

Może niejednen z nich ma pewne braki w swem wykształceniu, ale mamy przeświadczenie, że ich poziom moralny i obywatelski, ich dojrzałość życiowa pozwoli im te braki w dalszych studiach uzupełnić, szkoła nie powstydzi się swych wychowanców.

Okres tymczasowości szkoły zdaje się dobiegać do mety — przez długie lata młodzież z Kresów będzie ku nam ciążyła i potrzebowała szkoły o wysokim poziomie ideowym w stolicy. Wyjątkowy stosunek rodzinny, jaki w szkole panuje, ściąga do nas rzesze młodzieży miejscowej. Ruch harcerski, warsztaty stolarskie, introligatorskie i całokształt życia organizacyjnego młodzieży, otaczany troskliwą opieką szkoły, zwrócił na nią uwagę społeczeństwa. Rodacy nasi z Ameryki chcą dostarczyć środków na wybudowanie gmachu szkolnego z boiskiem i warsztatami. Dla nich kreślę ten krótki rys naszej szkoły, w przeświadczeniu, że jeśli spełnią swe zamierzenia i dadzą możność materialną rozwinięcia się tej szkole, która wiele zasług obywatelskich ma za sobą, która tętni miłością i życiem, i niewątpliwie w odpowiednich warunkach lepiej jeszcze będzie mogła służyć sprawie wychowania przyszłych obywateli, dorzucać fundamentalną cegłę pod gmach budowy narodowej.





# PROTOKÓŁ

z plenarnego zebrania Rady rodziców przy szkole C. K. O.  
w Moskwie, odbytego dnia 15 marca 1918 r., otwartego  
o godz. 6 wiecz., zamkniętego o 8 i pół.

W obecności 118 osób rodziców i opiekunów młodzieży, uczącej się w szkole C. K. O., zebranie otworzył gen. J. Latour, który ze względu na słaby stan zdrowia, prosi o zastąpienie go w przewodniczeniu. Zgromadzenie Rady rodziców uwzględnia życzenie gen. J. Latoura i powołuje jednogłośnie na przewodniczącego zebrania p. W. Wasiu-tyńskiego. Na sekretarza zaprasza przewodniczący zebrania dr. L. Jachnę, poczem odczytuje następujący porządek dzienny:

## *Porządek dzienny:*

- 1) Odczytanie protokołu z zebrania poprzedniego;
- 2) Wybór prezydium;
- 3) Sprawozdanie dyrektora szkoły;
- 4) Sprawozdanie sekretariatu i kasjera;
- 5) Ogólna sytuacja szkolna;
- 6) Reformy projektowane przez Komisarza rządowego;
- 7) sprawy bieżące: opieka nad kończącymi szkołę i pozbawionymi opieki internatu;
- 8) Interpelacje i wnioski.

Po zaakceptowaniu przez zgromadzenie odczytanego porządku dzien-  
nego, udziela przewodniczący głosu prof. Zygmuntowi Denterowi, który  
jako sekretarz poprzedniego zebrania Rady rodziców, odczytuje  
protokół.

Odczytany protokół zostaje przez zgromadzenie bez poprawek jed-  
nogłośnie przyjęty, poczem przewodniczący zebrania oznajmia, iż  
wobec tego, że punkt drugi porządku dziennego jest już wyczerpany,  
wybór bowiem prezydium został dokonany, udziela głosu dyr. Kul-  
wieciowi. Dyr. Kulwieć informuje rodziców, iż w myśl uchwały Rady  
Pedagogicznej poprawek wakacyjnych w tym roku nie będzie. Ucz-  
niowie, wynoszący na świadectwie jedną ocenę niedostateczną, przejdą  
bez poprawek do klas wyższych, z większą zaś ilością dwójek promocji  
nie otrzymają. Rodzice wyrazili życzenie, by maturzystom tegorocz-  
nym wydała szkoła świadectwa przed świętami Wielkanocnymi —  
zyczeniu temu szkoła uczyni zadość. Informuje dalej dyr. Kulwieć, że  
stopnie za tercjał II są lepsze, niż za pierwszy i wyraża swoje z tego  
zadowolenie. Zawiadamia, że ferje świąteczne rozpoczną się 23 marca  
i potrwać do 15 kwietnia — 3 tygodnie.

Oświadcza nadto p. dyrektor, że odbyła się już wspólna konferencja  
szkoły filologicznej z Radą Szkolną przy Komitecie Polskim. Konfe-  
rowano nad nawiązaniem wzajemnego stosunku pomiędzy całym szkol-  
nictwem polskim w Moskwie.



Z kolei zabiera głos prof. Denter — referent sekretariatu Rady rodziców. Z obszernego, ścisłego referatu prof. Dentera uświadamiają sobie zebrani ilość potrzeb i zakres pomocy w pieniądzu i w naturze, udzielanej przez Radę rodziców młodzieży. Zaopatrzone w obuwie przeszło 100 uczniów, udzielono pomocy doraźnej kilkunastu najuboższym, zaniechano choinki specjalnie w tym celu, by pozostałe zasoby finansowe przeznaczyć na najniezbędniejsze potrzeby najuboższej młodzieży. Postarano się o śniadania dla najuboższych i zrobiono apel do możniejszych, by się podzielili z ubogimi uczniami stołem i dachem.

Pan Jahnz referuje stan kasy, który przedstawia jak następuje:

|                        |             |
|------------------------|-------------|
| było w kasie . . . . . | Rb. 6468.44 |
| wydano . . . . .       | Rb. 4151.70 |
| pozostaje . . . . .    | Rb. 2316.74 |

Zgromadzenie postanawia obrócić pozostałą w kasie kwotę na zapomogi dla najuboższych uczniów, kończących szkołę.

W czasie sprawozdania p. Jahnza zjawił się na zebraniu p. Stefan Poznański, Sekretarz Wydziału kultury i oświaty Komisarjatu do spraw polskich, w charakterze zastępcy p. Lipińskiego \*). Korzystając z jego obecności, podnosi dyr. Kulwiec sprawę zażaleń, które według oświadczenia p. Lipińskiego na zebraniu w Komitecie Polskim jakoby miały licznie wpłynąć do niego na szkołę C. K. O.

P. Izydorchyk wyraża zdziwienie, jak się to stać mogło, że rodzice, którzy w ciągu 3 lat istnienia szkoły nie zgłaszali ani do Rady Rodzicielskiej, ani wogóle do kierowników szkoły żadnych pretensyj ani dezyderatów — teraz mieliby zwracać się z jakimiś skargami do zupełnie obcej sobie osoby — i to do Komisarza rządowego.

P. Poniński żąda, aby Komisarz wytłumaczył się z gołosłownych swych twierdzeń i zrozumiał, że, jeżeli ogół rodziców, oddających swe dzieci do szkoły C. K. O., nietylko nie ma żadnych pretensyj do niej, lecz przeciwnie jest zupełnie z niej zadowolony, i ma wiele dla niej za jej kierunek wdzięczności, to jakim prawem jakieś obce, zewnętrzne czynniki mają się do jej spraw mieszać. Zebrani hucznymi oklaskami przyłączają się do poglądu p. Ponińskiego.

Sekretarz Wydziału kultury i oświaty Komisarjatu do spraw polskich, p. Poznański \*\*), który przy wejściu na zebranie oznajmił, iż we wszystkich sprawach może udzielić wyczerpujących informacji, oświadczył, iż o żadnych zażaleniach na szkołę C. K. O. nic mu nie wiadomo. Zgromadzenie przeprowadziło dłuższą dyskusję nad tem, czy wobec nieobecności p. Lipińskiego ma debatować wogóle nad sprawą reorganizacji szkoły, gdyż sprawa ta została postawiona na porządku dziennym tylko ze względu na zapowiedzianą przez p. Lipińskiego jego osobistą obecność na zebraniu.

Odezwały się głosy przeciw dyskusji nad reorganizacją szkolnictwa wobec sekretarza Komisarza, który, otrzymawszy głos, wyjaśnia, że „p. Lipiński nie jest komisarzem, lecz tylko referentem do spraw polskich i p. Stefan Poznański, jako sekretarz Wydziału Kultury i oświaty

\*) Zaufanego rządu bolszewickiego.

\*\*) Żydek tódzki w wieku początkującego studenta.



ma te same prawa, co i p. Lipiński, na zażalenia jednak wniesione od rodziców na szkołę filologiczną odpowiedzieć może tylko p. Lipiński".

P. Marjan Lutosławski wyjaśnia, że szkoła filologiczna nie otrzymuje od listopada od rządu żadnych subsydjów, utrzymuje się ze środków prywatnych, a zatem należy do zakładów prywatnych, których zależność od władz państwowych rosyjskich nie została prawnie określona; dekret bowiem „towarzysza” Łunaczarskiego odnosi się do zakładów rządowych i publicznych (społecznych).

Komisariat miałby wtedy jedynie prawo nadzoru nad wewnętrznym ustrojem szkoły, gdyby na niąłożył i dopiero od tego czasu, gdy istotnie fundusze uzyska i szkole wypłaci.

P. Jan Lutosławski zwraca uwagę „sekretarza Wydziału kultury i oświaty”, że, jak mu wiadomo, dotychczas w wewnętrzne sprawy innych szkół prywatnych polskich Komisariat się nie wtracał; zapytuje, dzięki czemu szkoła ta podlega tak specjalnej opiece Komisariatu?

P. Marjan Lutosławski oświadcza, iż wobec tego, że praw republiki federacyjnej rosyjskiej dotychczas w specjalnych aktach nie ogłoszono, trudno zgóry przesądzać, jak daleko sięga kompetencja Komisariatu do spraw polskich w kwestjach szkolnictwa polskiego, a w szczególności, jaką te prawa przyznają kompetencję Sekretarzom Wydziałów oświaty i kultury.

P. Stefan Poznański zaznacza, że dekret Rady Komisarzy Ludowych w sprawach polskich obejmuje sprawę szkolnictwa polskiego. Jeżeli zebranie na takie stanowisko Komisariatu się nie zgadza, to p. Stefan Poznański prosi wnieść to do protokołu.

P. Marjan Lutosławski wyjaśnia, iż sprawa, omawiana na zgromadzeniu, nic nie ma wspólnego z dekretem, na który powołuje się p. Poznański; szkoła nie otrzymała żadnych dyrektyw w sprawie obowiązujących ją, nieogłoszonych praw. Jeżeli prawa obowiązujące szkolnictwo prywatne będą ogłoszone, i jeżeli szkoła i Rada rodziców nie uzna za możliwe im się poddać, szkoła zostanie zamknięta, wyłamywać się bowiem z pod praw obowiązujących nikt tu niema zamiaru.

Dyr. Kulwieć proponuje wobec nieobecności p. Lipińskiego i z powodu niemożności otrzymania ze strony sekretarza p. Poznańskiego wyjaśnień w sprawie prawnego położenia szkoły, — zdjąć tę sprawę z porządku dziennego i przystąpić do rozpatrzenia następnych punktów.

P. Stefan Poznański zapowiada przeciwko takiej uchwale zgromadzenia protest piśmienny, który złożył pod koniec zebrania (p. niżej).

Zgromadzenie dyskutuje nad pomocą dla młodzieży, mającej z dniem 23 marca opuścić internaty, które z powodu wyczerpania środków muszą ulec zwinięciu. Idzie głównie o dach nad głową i stół dla dzieci młodszych, zupełnych sierot, starsze zaś dzieci prędzej sobie dadzą radę same.

Niektórzy z zebranych rodziców zgłaszają gotowość przyjęcia do siebie tej biednej, nieszczęśliwej dziatwy.

Generał J. Latour wzywa do wniesienia składek przez wszystkich członków Rady rodziców dla zdobycia i powiększenia tą drogą funduszków zapomogowych.



Dyr. Kulwiec zawiadamia, że dla wybadania woli rodziców w sprawie terminu zamknięcia roku szkolnego szkoła rozesała rodzicom ankietę, która w wyniku dała mniej więcej połowę głosów za przerwą, połowę za przedłużeniem nauki po Świętach Wielkiej Nocy. Rodzice dzieci z klas młodszych wypowiedzieli się przeważnie za przedłużeniem nauki, z klas starszych — za wczesną przerwą.

Na wniosek p. J. Lutcławskiego zebranie głosuje nad tą sprawą z następującym wynikiem:

|                        |                         |
|------------------------|-------------------------|
| za niezwłoczną przerwą | wypowiada się 14 głosów |
| za przedłużeniem       | 90 głosów               |

Reszta wstrzymuje się od głosu.

Dyr. Kulwiec wyjaśnia, że prawdopodobnie tak będzie, iż młodsze klasy przedłużą naukę, starsze — ukończą wcześniej.

Z powodu wyczerpania porządku dziennego przewodniczący zebranie zamyka. W kilkanaście minut po zamknięciu zebrania wręcza p. Stefan Poznański na piśmie oświadczenie treści następującej:

„Wobec tego, że zebranie plenarne rodziców młodzieży, uczącej się w szkole b. C. K. O., w dn. 15 marca 1918 r. nie udzieliło mi głosu w sprawie projektu reorganizacji szkolnictwa, przedłożonego przez Komisarjat do spraw polskich, aczkolwiek byłem w tym celu oficjalnie wydelegowany przez Wydział kultury i oświaty wzmiankowanego Komisarjatu, stwierdzam, że zebranie tem samem działało świadomie wbrew dekretoowi Rady Komisarzy Ludowych, którym wszystkie instytucje społeczne polskie na terytorjum Rosyjskiej Republiki Federacyjnej podlegają opiece i kontroli Komisarjatów do spraw polskich.

Sekretarz Wydziału kultury i oświaty  
Komisarjatu do spraw polskich

*St. Poznański*“.

Na ogólne życzenie przewodniczący otworzył zebranie dla odczytania i powzięcia uchwały Rady rodziców w sprawie wręzonego przez p. St. Poznańskiego oświadczenia.

Zebranie po odczytaniu oświadczenia p. Poznańskiego uchwaliło stwierdzić:

1) że zgromadzenie bynajmniej nie odmówiło głosu p. sekretarzowi w sprawie wyjaśnień i w sprawach, będących na porządku dziennym — natomiast sprawa projektu reorganizacji szkoły została zdjęta z porządku dziennego z powodu uchwały zebrania, aby uprzednio uzyskać ściśle wiadomości co do realności widoków na uzyskanie środków rządowych na utrzymanie szkoły — co z powodu nieobecności p. Lipińskiego było niemożliwe;

2) że na prośbę zebrania wyjaśnienia zasad prawnych, określających obowiązki szkół prywatnych — t. j. niekorzystających z subydjów rządowych — wobec władzy, oraz określających zakres praw organów tejże władzy, sekretarz żadnych wyjaśnień, prócz gołosłownego powołania się na dekret Rady Komisarzy Ludowych, udzielić nie potrafił i również nie umiał zastąpić p. Lipińskiego w wyjaśnieniu na żądania Rodziców, na jakie to skargi jakoby złożone na



szkołę, powoływał się p. Lipiński na zebraniu Rady Szkolnej; owszem oświadczył — iż o żadnych skargach nic mu nie wiadomo.

3) zgromadzenie specjalnie stwierdziło, iż nie ma wcale zamiaru wyłamywać się z pod praw obowiązujących, o ile treść ich będzie podana do wiadomości publicznej — zarzut zatem świadomego działania przeciw dekretovi, poddającemu instytucje społeczne polskie opiece i kontroli Komisarjatu, jest niezgodny z prawdą; tylko że pola do okazania takiej opieki zgromadzenie nie widziało, a zasad wykonywania kontroli nie zna i żadnych dokumentalnych wyjaśnień z powodu nieobecności p. Lipińskiego nie uzyskało. Kopję protestu p. Poznńskiego i powyższej rezolucji zebrania poleca prezydjum zakomunikować p. Lipińskiemu.

Dyr. Kulwiec zgłosił wniosek, by zgromadzenie upoważniło Zarząd Rady rodziców do zatwierdzenia niniejszego protokołu; wniosek przyjęto i na tem zgromadzenie zamknięto.

Przewodniczący zebrania: inżynier *W. Wasiułyński*.

Sekretarz zebrania: *L. Jachno*.





# PRACA WYCHOWAWCZA NAD PRZYGOTOWANIEM MŁODZIEŻY DO ŻYCIA SPOŁECZNEGO\*)

K. KULWIEĆ

**J**EŻELI zasada, że każda lekcja winna być godziną wychowywania, a nie tylko nauczania, przeważnie nie nastrocza wątpliwości, jeżeli od wszystkich nauczycieli wymagane jest współdziałanie z ogólnie przyjętym systemem wychowawczym w szkole, to natomiast zagadnienie, jaką drogą kroczyć należy, ażeby wszelkie drogi i ścieżki życia szkolnego ku jaknajlepsznemu przygotowaniu dziecka i młodzieńca do samodzielnego i społecznego życia wykorzystać, mało jest dotychczas zanalizowane i pogłębione: poprzestajemy przeważnie na ogólnikach o obowiązkach wpajania w młodzież zasad życia cnotliwego, o konieczności urabiania w niej zdolności do życia samodzielnego i zbiorowego, o podstawach wychowania narodowego i społecznego; mało natomiast zastanawiamy się, na czym metoda, wiodąca do wyrobienia w młodzieży cnót tych, w praktycznym życiu szkolnym ma polegać, i jaką rolę systematyczne, regulaminowe ujęcie tej metody może odegrać.

Przyczyną zjawiska tego, zdaniem mojem, jest z jednej strony pewna nasza bezwładność, wskazująca przede wszystkim, stałym zwyczajem, na to, że zadaniem nauczyciela i wychowawcy jest jak najwięcej udzielić młodzieży „zdrowych” zasad, co oczywiście sprowadza się do przelewania wiedzy wykładającego i przekonań etyczno-społeczno-narodowych wychowawcy na nauczanych i wychowywanych; według poglądu tego w szkole subjektem jest wyłącznie nauczyciel i wychowawca, a obiektem — uczeń.

To też regulaminy dotychczasowe i zasady wychowawcze, normujące obowiązki wychowawcy szkolnego, pomimo swej szczegółowości grzeszą często przytłaczającym nadmiarem przepisów i wskazówek, jak młodzież w zachowaniu się swem szkolnem ma być krępowana, a grzeszą brakiem wskazań, co młodzieży w szkole czynić wolno, i do czego ją zachęcać należy.

Drugą wadą zasadniczą przepisów regulaminowych jest przeładowanie ich obowiązkami administracyjnymi. Pierwsza wada regulaminów wychowawczych rodowód swój wieździe częściowo z tych czasów, kiedy to nauczyciel i wychowawca miał być alfą i omegą dla młodzieży pod względem wiedzy i cnót; z nich, jak u źródeł nigdy nie wyczerpanych i kryształowo czystych, dziecko miało czerpać swoje wiadomości, i w nich zapatrzone i zasłuchane kształtować swe ciało i duszę.

\*) Odczyt wygłoszony w Moskwie w r. 1916.



Dziś, chwała Bogu, czasy te minęły. Dziś już rozumiemy, że szkoła nie jest i być nie może jedynym źródłem wiedzy i wyłącznym regulatorem zasad wychowawczych — może ona pod temi względami jedynie być najpoważniejszym i najsystematyczniejszym czynnikiem wśród czynników innych: jak rodzina, książka i otaczające często-przygodne środowisko. Wada druga jest związana z pierwszą, gdyż ten, kto według pewnych przepisów chciał kształtować i prostować duszę dziecka — musiał oczywiście czuwać nad tem, aby praca jego miała najdogodniejsze warunki formalne. Wiemy zaś z doświadcze-



Oddział cyklistów hufca szkolnego.

nia, że wychowawca, obowiązany ciągle czuwać nad ładem i porządkiem w szkole, jaknajczęściej zaglądać do wszelkich ubikacyj szkolnych, dokąd tylko żywość dziecka, chęć zabawy lub psoty — zawieść go potrafią, zmuszony ciągle mieć w napięciu uwagę i czujność — nie znajduje czasu i sił na właściwą, twórczą pracę wychowawczą. Jego działalność negatywna, kontrolująca, zakazująca, przestrzegająca — przytłacza jego wpływ i działalność pozytywną, normującą, kierowniczą — twórczą.

Dziś wiemy, że duszy i charakteru dziecka nie można urobić według zgóry określonego planu, nie można jej dowolnie tworzyć według pewnej recepty. I pod tym względem wychowawca winien uważać się za podobnego do kulturalnego ogrodnika, któremu dany jest dozór nad jaknajpomyślniejszą hodowlą roślin, które jednak rosną przeważnie pod wpływem czynników naturalnych, często nieuchwytnych, bo ukrytych w głębi gleby i działających za sprawą klimatu.



Taki ogrodnik dusz młodzieńczych nie powinien jednak dążyć do wyprowadzenia wszystkich okazów na jednakową modłę, nie powinien niszczyć różnic indywidualnych, bo w powierzonym mu ogrodzie niema chwastów, które mu z lekkim sercem wolno wrywać, i niema gatunków obcych, wśród których ma dokonywać sztucznego doboru.

Taką metodę urabiania w szkole wiernych sobie poddanych, wyhodowanych na jedną modłę, pod jeden strychulec moralny, dogodnych do jednolitych zadań państwowych a tępiącą eo ipso wszelkie „niesłowne” indywidualności, posługiwała się pruska szkoła i oparta na wzorach jej — moskiewska. Dzięki tej metodzie wiele charakterów dzielnych, przerastających strychulec potrzeb państwowych pruskich i moskiewskich, zostało spaczonych, złamanych; nie mogąc szkoły skończyć, ginęły one dla społeczeństwa naszego.

Tem właśnie polska metoda wychowawcza winna obecnie różnić się od metody stosowanej u nas w szkołach obcych, że winna stworzyć warunki rozwoju dla pełnej indywidualności człowieka, oczywiście w granicach, zakreślonych zasadami współżycia społecznego i naszych kardynalnych potrzeb narodowych.

Pamiętać powinniśmy, że szkoła ma obowiązek nie tylko uzbroić swego wychowanka w jaknajskuteczniejszy oręż do jego osobistej walki o byt, lecz również przysposobić do produkcyjnej, czynnej pracy społecznej. A oba te względy — osobisty i publiczny nie tylko dadzą się pogodzić z rozwijaniem w młodzieży wrodzonych im związków różnorodności temperamentów, uzdolnień i upodobań, lecz owszem — nawet są bezpośrednio na nich ugruntowane.

Przestańmy posługiwać się zbyt często wpływiałym już straszakiem o niesforności duszy polskiej, o warcholstwie polskich charakterów, o hipertrofji polskich indywidualności — jako groźnem jakoby widmem wrodzonych naszych wad narodowych. Głębsza analiza przykładów, na które u nas zbyt często wskazywano, wykaże nam, że działalność szkodliwa warcholskich indywidualności dla tego tylko znajdowała u nas grunt podatny, że zbyt mało mamy silnych charakterów na gruncie rodzimym wyrosłych. Brak takich charakterów rodzi ogólną bierność i powoduje bezkrytyczność.

Najważniejsze więc względy społeczne wołają do nas o pomoc w tym względzie.

Całokształt życia szkolnego, już w tych ramach, w jakich dziś odbywać się musi, nastrocza bardzo wiele sposobności, by ze szkoły tej uczynić nie tylko uczelnię wszelkiej wiedzy teoretycznej i trybunę szerzenia zasad etycznych, lecz również laboratorium doświadczalne, w którym młodzież zawiazki swych uzdolnień i upodobań duchowych planowo rozwijać by mogła.

Wychowawca w całej swej działalności szkolnej winien pamiętać, że kształcąca się młodzież ma być rozwijana w dwóch kierunkach:

- 1) wzbogacać się w wiedzę i takie zalety charakteru i nawyków, które zapewnić mu mogą jego osobiste powodzenie życiowe. W dziedzinie tej wychowawca ma stosunkowo łatwe zadanie. Młodzież przekonana o użyteczności praktycznej jakiegobądź wiadomości i o niezbędności jakiegobądź sprawności, chętnie pracować będzie we wskazanym kierunku, skwapliwie skorzysta z okazywanej jej pomocy,



a młodzięczy instynkt, skłaniający do twórczości, samorzutnie dokona wiele; 2) wyrobić w sobie zalety niezbędne w różnych przejawach życia zbiorowego — ugruntować te cechy charakteru, nawyków i upodobań, które niezbędne nie tylko dla prawego, lecz biernego członka społeczeństwa, lecz i dla czynnego pracownika — dla działacza publicznego.

I pod tym względem warunki życia klasowego nastroczają wielką ilość objawów, które przez wychowawcę winny być zużytkowane praktycznie.

Klasę traktować należy jako małe społeczeństwo, społeczeństwo o ustroju wprawdzie bardzo pierwotnym, żyjącem raczej instynktami nieświadomymi, niż takim, w którym można byłoby wskazać wybitne analogie z życiem zorganizowanym społeczeństwa dojrzałego, świadomego swych zadań i swej struktury wewnętrznej. Społeczeństwem takim należy tylko dyskretnie pokierować, a przekonamy się, że ujawni ono w instynktownym poczuciu konieczności — wszystkie te dodatnie i ujemne skłonności, które we wszelkich społeczeństwach dojrzałych stale dostrzegamy. I tu dopiero otworzy się przed wychowawcą wdzięczne pole do naocznego wskazywania wychowywanej młodzieży na konieczności życia społecznego, na źródła siły i sprawności jego, oraz na objawy *niedomagania* i słabości.

Traktując więc oddaną swej pieczy klasę jako zamknięte w sobie społeczeństwo, wychowawca o ile możliwości winien stać na uboczu, dając jaknajwiększą swobodę do samodzielnego działania. Jedynie dyskretnym kierunkiem, z ubocza, wpływać winien na regulowanie biegu tego życia.

Okazji do takiego regulowania oddany swej klasie wychowawca znajdzie bardzo wielką ilość — taką niemal, jakiej zechce.

Winien jednak wobec klasy pozyskać siłę autorytetu.

Młodzież winna czuć, że opiekun jej zawsze i wszędzie przejęty jest pragnieniem dobra dla swej klasy, jest jej życzliwy i bez koniecznej potrzeby krępować nie będzie swobody w jej życiu zbiorowem, ani w wystąpieniach indywidualnych i co najważniejsze, że w każdej potrzebie będzie dla niej kompetentnym doradcą i kierownikiem.

Przedewszystkiem sposobność do pozyskania sobie niezbędnego autorytetu wobec klasy wychowawca znajdzie na specjalnych

#### *Konferencjach wychowawczych,*

na które winien co tydzień przynajmniej przeznaczać jedną godzinę.

Na konferencje takie wychowawca winien obrać szereg tematów, dyskusja nad którymi nastroczy sposobność do omówienia podstawowych zagadnień życia zbiorowego.

Ilość i treść tematów tych jest nieograniczona — każdy niemal dodatkni lub ujemny wpływ życia klasowego nadaje się do konferencji takiej doskonale.

Przedewszystkiem jednak tematem konferencji takich mogą być następujące zagadnienia.

1) Ogólne podstawy życia zbiorowego. Współżycie, współzawodnictwo, specjalizacja, podział pracy.

2) Solidarność — jako potężny czynnik życia zbiorowego. Twórcze i destrukcyjne jej objawy w społeczeństwie wogóle.



- 3) Władza, jako czynnik kierujący życiem zbiorowym.
- 4) Użyteczność ładu i porządku.
- 5) Kto i jaką drogą pozyskuje stanowisko kierownicze.
- 6) Objawy życia społecznego w klasie. Omówienie wniosków z poprzednich 5 tematów w zastosowaniu do objawów życia klasowego.

Pozatem każdy temat z zakresu etyki ogólnoludzkiej, a zwłaszcza chrześcijańskiej\*) może być bardzo zajmującym dla klasy przedmiotem dyskusji, w której odpowiednio przygotowany wychowawca z łatwością potrafi: 1) pozyskać w klasie autorytet i 2) udowodnić, że klasa wtedy tylko może należycie pracować i sama sobą składnie rządzić, o ile przejmie się należycie zasadami współżycia kulturalnego.

Jeżeli tylko oddany swym obowiązkom wychowawca wykona zadanie powyższe — cała jego dalsza praca będzie niezmiernie ułatwiona.

Wybierając tematy do dyskusji na konferencjach wychowawczych z pośród wydarzeń z bieżącego życia szkolnego, należy szczególny nacisk położyć na takie, które nadają się najlepiej do zilustrowania zalet i wad, występujących u nas pospolicie w życiu społecznym, zwracając szczególną uwagę na zagadnienia następujące:

1) Opinia publiczna, jako regulator obowiązków i odpowiedzialności publicznej. Szczegółowe rozwinięcie tego tematu z podaniem przykładów z życia społecznego i klasowego.

2) Objawy egoizmu i altruizmu w prawidłowym i wadliwym ich zrozumieniu (podpowiadanie, korzystanie z cudzej pracy, ukrywanie cudzych występków przeciwko dobru publicznemu).

3) Poczucie obowiązku zawodowego, społecznego i narodowego.

4) Sybarytyzm i indferentyzm społeczny — oraz odwaga cywilna.

5) Poczucie honoru osobistego i zbiorowego (stanowego, narodowego, klasowego-szkolnego).

Organizując życie zbiorowe klasy, wychowawca szczególną uwagę winien zwrócić na następujące tego życia regulatory:

#### *Dyżurny:*

*Dyżurny* winien mieć *władzę* w klasie, określone obowiązki i związane ze spełnianiem ich prawa.

Opracowanie odpowiedniego regulaminu, wskazującego na sposób wyboru dyżurnego (drogą mianowania przez władzę szkolną, gdy niema pewności, że dana gromada dzieci uświadamia sobie społeczne obowiązki i ocenia poważnie żądane kwalifikacje dyżurnego, lub też drogą wyboru, jeżeli istnieje pewność, że wybór ten z zasadniczym celem bytu dyżurnego nie rozminie się) — na jego czynności, odpowiedzialność.

Racjonalne zorganizowanie stanowiska dyżurnego klasowego jest podstawowym zadaniem wychowawcy w szkole.

Zadanie to zmierza prosto, bo bezpośrednią drogą, do zaprawienia

\*) W szkole gdzie część młodzieży nie uznaje etyki chrześcijańskiej, zadanie wychowawcy jest bardzo utrudnione, i tam o jednolitem wychowaniu jest bardzo trudno mówić.



młodzieży w służbie publicznej, zaznajomi ją doświadczalnie z trudnościami dźwigania władzy, z metodami kierowania zbiorowością, nie tylko wdroży do posłuchu, lecz i nauczy rozkazywania, i da wreszcie zadowolenie spełnionego obowiązku. Z czasem, gdy klasa wejdzie już w normalny tryb ściśle określonego jej życia autonomicznego, winna być zaprowadzona powszechna dla wszystkich służba dozorcza, tak iżby doświadczenie sprawowania władzy przeszły tak silniejsze, jak i słabsze moralnie jednostki.

#### *Jednostki wpływowe w klasie.*

Prawie w każdym zespole klasowym dają się zaobserwować pewne jednostki, które wcześniej czy później stają się ośrodkiem pewnych panujących nastrojów i wpływów silniejszych. W każdym środowisku, a zwłaszcza wśród ruchliwej, łaknącej silniejszych wrażeń młodzieży, jednostki, wyróżniające się jakimś bądź uzdolnieniem, pociągają ku sobie młodzież swą niezwykłością; młodzież unika przeciętności, nudzi się nią, a szuka zawsze czegoś niezwykłego. To ją ratuje od nudów wśród szarżyzny życia jednostajnego. To też chłopcy wyróżniający się dowcipem, umiejętnością narratorską, lub zasobem sprawności życiowej w jakimś bądź kierunku, pozyskują sobie szczególnie narazie zaciekawienie, a potem wpływ i oddziaływanie na klasę. Jednostki takie winny stać się przedmiotem bacznej obserwacji ze strony wychowawcy. Mogą one być z jednej strony nieocenionymi sprężynami do pokierowania opinią klasy w dodatnim kierunku, pozostawione same sobie po większej części ulegają wykoszlawieniu moralnemu: podniecane bowiem posłuchem zbiorowości koleżeńskiej stają się nieznośnym ośrodkiem różnych zbiorowych wystąpień i urabiają się niekiedy na typ demagogicznego działacza.

W postępowaniu z wybitniejszymi w jakimś bądź kierunku jednostkami w klasie wychowawca winien być niezmiernie ostrożnym i przezornym.

Unikając wszelkich bezpośrednich negatywnych względem nich wystąpień — winien omówić na konferencji klasowej odnośną zdolność czy talent ludzki (np. zdolność do rysunku w karykaturze, do śpiewów solowych, do opowiadania anegdot, zdolność organizatorską) — wykazać całą użyteczność społeczną takiej zdolności lub szkodliwość — przy jej wadliwym zastosowaniu, tak aby młodzież znalazła w konferencji takiej właściwą ocenę zdolności, pracowitości czy umiejętności oraz zachętę do ich rozwijania i stosowania, lecz usłyszała i odpowiednią krytykę. Zachęci to niejednego do próbowania na tem polu sił własnych, których być może niedocenił, a z drugiej strony — rozbudzać będzie krytycyzm zbiorowy.

Praca wychowawcy w tym kierunku, aby jaknajwiększą ilość uczniów w klasie ośmielić i zachęcić do rozwijania w sobie jakiegobądź ujawnionego uzdolnienia osobistego, do szczególnie usilnej pracy nad jakimś bądź umiłowaniem zajęciem jest pierwszorzędnej doniosłości wychowawczej. Uprawianie jakiegobądź zajęcia z zamiłowaniem jest nieodzownym warunkiem normalnego rozwijania się dziecka, a bywa często zbawienną kląpą bezpieczeństwa moralnego w przełomowych chwilach i etapach rozwoju dojrzewającego młodzieńca.



Młodzież powinna czuć w szkole, że tak ze strony otoczenia koleżeńkiego jak i ze strony wychowawcy zawsze znajdzie zachętę i wyrozumiałość. Przesadne wymagania i krytyka winny być przez wychowców stanowczo powstrzymywane.

Urządzanie dorocznych wystaw prac uczniowskich winno mieć nie tyle na celu popis szkoły lub nauczyciela, lecz zdrowo zrozumianą emulację młodzieży.

### 3. *Poszanowanie prawa.*

Dla ugruntowania w młodzieży *lojalności*, winien być opracowany i ogólnie udostępniony regulamin dla uczniów.

Regulamin taki, określający ogólne zasady życia szkolnego i klasowego, winien być na jednej z pierwszych konferencji wychowawczych szczegółowo przedyskutowany.

Żaden punkt regulaminu tego nie może być dla nikogo niejasnym. Uczniowie winni zrozumieć konieczność wszystkich przepisów regulaminowych, ze stanowiska ich osobistego i zbiorowego dobra.

Wszelka nastroczająca się wątpliwość winna znaleźć w wychowawcy logicznego i konsekwentnego rzecznika.

Obowiązek czuwania nad ściśłem przestrzeganiem regulaminu przez klasę winien być włożony na dozorców klasowych (dyżurnych).

### 4. *Opinia publiczna.*

Ku rozbudzeniu i stałemu rozwijaniu *opinii publicznej* w klasie winny zmierzać różne drogi wychowawcze.

Już sama treść poruszanych na konferencjach wychowawczych tematów, obieranych z wydarzeń życia codziennego klasy, skieruje uwagę klasy na różne występujące w jej środowisku objawy, rozwijać będzie krytycyzm i przyczyniać się musi do urabiania takiej opinii.

Pozatem doskonałym środkiem ku temu może być zadanie uczniom do opracowywania w domu lub w klasie specjalnych tematów z zakresu życia zbiorowego w klasie, tak ujemnej jak i dodatniej natury.

Przedewszystkiem zaś tematy takie nadają się b. dobrze do opracowań przez tych uczniów, którzy zgrzeszyli niezrozumieniem jakiejś zasady współżycia koleżeńkiego, lub popełnili jakieś przestępstwo przeciwko zasadom czy regulaminom życia szkolnego.

O ileż większy pożytek będzie, że uczeń w takim razie zmuszony zostanie do zanalizowania myślowego popełnionego przez się wykroczenia i przelania swych myśli na papier, niż z wyznaczonej mu przez rygor szkolny „kary” w rodzaju pozostawienia „w kozie”, która w naszych warunkach daje tylko ujemne pod względem moralnym rezultaty.

### 5. *Raporty.*

Nie pozbawione są wpływu na rozwijanie w klasie *opinii publicznej* zadane przez wychowawcę od dyżurnych klasowych *raporty tygodniowe*.



Dyżurny, jako rozporządzający władzą strofowania kolegów i stania na straży ładu, rygoru i poszanowania regulaminu szkolnego, winien wobec wychowawcy zdawać sprawę ze spełniania swych obowiązków w ciągu tygodnia.

Sprawozdanie takie winno być przez dozorcę napisane w specjalnie do tego przeznaczonym kajecie i w charakterze raportu oddawane wychowawcy.

Treść raportów powinna obejmować:

1) Uwagi o stosowanych przez dozorcę zarządzeniach, o trudnościach spotkanych przy spełnianiu jego obowiązków lub o doznanej ze strony kolegów pomocy.

2) Kronika wybitniejszych zdarzeń w życiu klasowym.

3) Uwagi o szczególnych trudnościach, spotkanych w ubiegłym tygodniu przez klasę w jej pracy naukowej.

4) Spostrzeżenia, dotyczące przyczyn nieobecności i spóźnień kolegów.

Aby uniknąć drażliwej sprawy — oskarżania kolegów — w raporcie mogą być wymienione nazwiska tylko takich uczniów, którzy w życiu klasy zaznaczyli się jakimś czynem chwalebnym lub pod względem rygoru szkolnego — obojętnym.

Objawy zaś ujemne notowane być mogą jedynie bezimiennie.

Raporty winny być od czasu do czasu przedmiotem dyskusji na konferencjach wychowawczych.

## 6. Kary.

Przy utrzymywaniu na właściwym poziomie opinii publicznej w klasie, w szkole prawie że wcale odpada potrzeba stosowania *kar* względem ucznia.

Ponieważ jednak sprawa konieczności lub zbędności kar obecnie nie może być u nas przesądzona, gdyż jest wśród nas sporo przeciwników, lecz nie brak i obrońców — należy, aby wychowawca, stosując je, przestrzegał następujących zasad:

a) kara nie powinna sprawiać uczniowi uszczerbku na zdrowiu;  
b) kara nie może szkodzić mu moralnie, to znaczy — osłabiać w delikwencie poczucie godności osobistej, lub tępić wrażliwość odpowiedzialności moralnej;

c) należy dążyć do tego, aby karę zastąpić zadośćuczynieniem w postaci przymusowej pracy fizycznej lub umysłowej, tak obmyślanej, aby spełnienie jej pobudzało do samokrytyki.

O ile przytoczone powyżej środki zmierzają bezpośrednio do uregulowania życia wewnętrznego szkoły na podstawach współżycia społecznego, co przyczynić się musi do stworzenia dla całej pracy szkolnej uporządkowanych warunków, do wytworzenia karności i poważnego nastroju, dającego osiągnąć maximum rezultatów pracy naukowej i wychowawczej przy minimum wysiłków ze strony personelu administracyjno - wychowawczego, o tyle pośrednio nie mogą one nie podnosić i tych sprawności w wychowywanej młodzieży, które uzbroić muszą ją do owocnej walki o byt osobisty, a mianowicie: pracowitości, rzetelności, gruntowności, planowości, konsekwencji, ładu i porządku. Te kardynalne cnoty, których taki brak odczuwamy



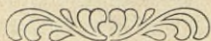
w naszym społeczeństwie dojrzałem, nie dadzą się wpoić i rozwinąć w młodzieży inaczej i prędzej, jak tylko droga — przykładu, płynącego z systematycznej, własnej pracy samego wychowawcy, a powtórne z przykładów, czerpanych umiejętną ręką wychowawcy z jego obserwacji nad zbiorowem zorganizowaniem współżycia koleżeńskiego klasy.

### *Słowo publiczne.*

Podkreślając jeszcze raz wielką doniosłość należycie zorganizowanych konferencyj wychowawczych, którą *mutatis mutandis*, porównałby z doniosłością parlamentu, poddającego krytyce rzeczywistość życia państwowego i uświadamiającego naród o najistotniejszych tego państwa potrzebach, pragnąłbym tu jeszcze zwrócić uwagę na pewną, prawie ogólnie zaniedbaną stronę w wychowaniu naszej młodzieży.

Dawna tradycja szkół naszych, które wdrażały młodzież do życia publicznego, drogą lekcji retoryki, winna być przywrócona — oczywiście w formie, odpowiadającej dzisiejszym potrzebom. Szkoły nasze prawie wcale nie przygotowują młodzieży do przemawiania. Wina w tem wielka nauczycieli, którzy rzadko wymagają od uczniów rzetelnego wyłożenia przygotowanej lekcji, poprzestając często na krótkich odpowiedziach: tak lub nie. Lecz jeszcze większe zaniedbanie w tem jest wychowawcy, który dostępnymi sobie drogami nie wyrabia w młodzieży tych fundamentalnych podstaw, bez których dobrego mówcy być nie może: 1) równowagi w porządkowaniu swych myśli, 2) umiarkowania w mówieniu (treściwość), 3) pewności siebie, 4) spokojnego i harmonijnego panowania nad swemi ruchami (gestykulacja), 5) umiejętnej modulacji głosu.

Jeżeli słuszne jest twierdzenie, że na sposób przemawiania człowieka wybitny wpływ ma jego temperament i wogóle charakter, to nie da się zaprzeczyć, że i odwrotnie — droga, wiodąca do wykształcenia się na dobrego mówcę, kształtuje charakter: wyrabia umiejętność panowania nad sobą (panowanie nad swemi myślami i ruchami), pobudza do krytycyzmu i rozwija pewność siebie, dając do rozporządzenia tak zardzewiały u nas oręż — jak słowo publiczne.





## MEMORJAŁ

Dyrektora Gimnazjum R. G. O. w Warszawie, Kazimierza Kulwiecia w sprawie egzaminów maturalnych, odbytych w czerwcu 1919 r., złożony p. Ministrowi Wyznań Religijnych i Oświecenia publicznego.

Załączając przy niniejszem protokoły z odbytych w Szkole R. G. O. egzaminów maturalnych oraz statystykę, dotyczącą wyniku tych egzaminów, poczuwam się do obowiązku przedstawić Ministerstwu poczynione podczas egzaminów tych spostrzeżenia swoje, dotyczące: a) egzaminowanych uczniów, b) egzaminujących nauczycieli, c) delegatów ministerjalnych oraz d) metody egzaminowania, opartej na obowiązującym regulaminie.

Po powrocie z trzyletniego pobytu poza krajem byłem po raz pierwszy obecny na egzaminach, na nowych zasadach polskiego Ministerstwa Oświaty opartych, i jako rzecz dla siebie nową, być może oceniam ją bardziej obiektywnie, niż ci, co ją tworzyli, lub mieli czas już się z nią „oswoić“.

Z drugiej strony — stosunkowo znaczna ilość maturzystów (94) daje możliwość konkretne wyniki egzaminów ująć i oświetlić metodą statystyczną, co nie może być obojętne dla miarodajnych czynników. odpowiedzialnych za bieg i rozwój życia szkolnego.

Z pośród 137 uczniów klas ósmych w szkole R. G. O., Rada pedagogiczna do egzaminów maturalnych dopuściła 94.

Młodzież ta prawie wyłącznie przybyła z Rosji i z naszych kresów wschodnich; uczyła się tam w ciągu ubiegłych lat wojny częściowo w szkołach rosyjskich, częściowo zaś — w polskich, zaimprowizowanych tam przez ludność polską miejscową i napływową w latach 1915—1917.

Młodzieży takiej, która uczyła się w tamtejszych bądź zdezorganizowanych rosyjskich, bądź niezorganizowanych należycie polskich — przybyło 94%. Pozostałych 6% uczyło się w domu, bądź nie uczyło się w ciągu lat 3 — wcale.

Wobec tego przyjęta do szkoły naszej młodzież była w znacznej mierze wykończona z normalnego trybu pracy szkolnej, i pod względem posiadanych wiadomości naukowych stanowi materiał nadzwyczaj nierównomierny, przeważnie — w porównaniu z młodzieżą, która nauki swej nie przerywała — upośledzony.

Zadaniem, którego Szkoła R. G. O. we wrześniu 1918 r. podjęła się, było ratowanie młodzieży tej od ostatecznego wykolejenia i stopniowe doprowadzenie jej do poziomu normalnego.

W pracy na tem polu główne przeszkody stanowiło:

1) duże zaniedbanie w przedmiotach polskich (język, historia i geografia ojczysta) co było skutkiem bądź całkowitego nieuczenia się tych przedmiotów (w szk. rosyjskich), bądź braku odpowiednich podreczników i wykwalifikowanych sił nauczycielskich (w szk. polskich);



2) nieznamość terminologii naukowej polskiej. Zwłaszcza dla uczniów, którzy zakwalifikowani byli przez Radę Pedagogiczną do kl. 8-ej, przezwyciężenie trudności tych w ciągu jednego roku (a właściwie 8 miesięcy) było bardzo trudnem, jeżeli zaś zważyć, że m. listopad i grudzień r. ub. z czasu nauki szkolnej należy skreślić na rzecz strat, spowodowanych postanowieniem wstąpienia do wojska — to na naukę pozostało nie wiele więcej ponad pół roku.

W ciągu tego czasu maturzyści mieli: 1) dopełnić braki w swem przygotowaniu, spowodowane 4-letnimi wypadkami wojennymi i 2) przejść normalny kurs klasy 8-ej.

Zadanie to dla części uczniów okazało się niemożliwem do osiągnięcia i tych Rada Pedagogiczna do egzaminów maturalnych nie dopuściła wcale; większość uczniów kurs klasy 8-ej wykonała z pewnemi niedokładnościami, które można było uwzględnić wobec niezwykłych warunków pracy szkolnej i życia domowego w ciężkich wojennych i powojennych czasach.

Takich uczniów — z jednym stopniem niedostatecznym do egzaminów maturalnych Rada Pedagogiczna dopuściła 47. Uczniów zaś, którzy kurs klasy 8-ej opanowali dostatecznie, również dopuszczono 47 — łącznie więc do egzaminów dopuszczono — 94.

Wyniki egzaminów dla poszczególnych kategorii uczniów dadzą się zestawzić w następującej tablicy:

| DOPUSZCZONO DO EGZAMINÓW                                                                                                          | Ocenę niedostateczną otrzymało z egzaminu |         | M a t u r |               |
|-----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-------------------------------------------|---------|-----------|---------------|
|                                                                                                                                   | piśmienne                                 | ustnego | przyznano | nie przyznano |
| Uczniów dobrych 28 (t. j. takich, którzy w ciągu roku stopni niedostatecznych nie mieli wcale)                                    | 18                                        | 11      | 19        | 9             |
| Uczniów średnich 19 (t. j. takich, którzy stopni rocznych niedostatecznych nie mieli wcale, lecz w ciągu roku mieli kilka dwójek) | 19                                        | 12      | 7         | 12            |
| Uczniów słabych 47 (t. j. takich, którzy otrzymali jeden stopień roczny niedostateczny)                                           | 47                                        | 13      | 7         | 40            |

Z wyników tych zasługują na uwagę następujące liczby:

1) Na 28 uczniów, których szkoła uznała za *dobrych*, komisja egzaminacyjna wydała matur tylko 19; 9-iu zaś matur odmówiła, ponieważ wyniki egzaminów ich wypadły ujemnie.

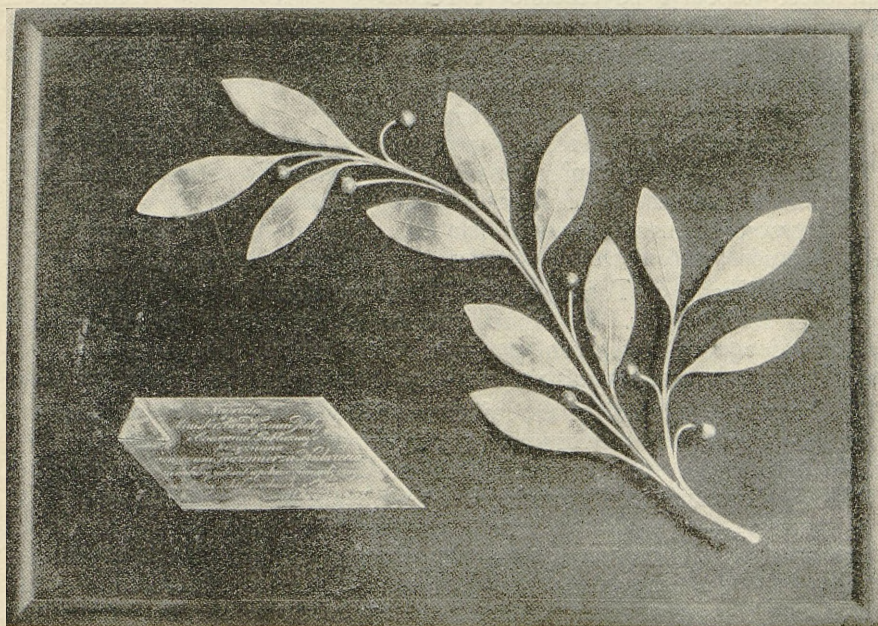


2) Podczas gdy 9 uczniom dobrym matur odmówiono, przyznano ją 14 gorszym (7 średnim i 7 słabym).

Na usprawiedliwienie takich wyników mogą być oczywiście przytoczone ze strony obrońców systemu egzaminacyjnego najróżnorodniejsze motywy, z pośród których za najpoważniejsze uchodzić mogą:

1) W samej pracy szkolnej mogły istnieć organiczne braki, które spowodowały smutny naogół wynik egzaminów maturalnych w danej szkole.

2) Musi być zachowana kontrola państwowa nad wynikami pracy szkolnej, aby szkołom wyższym i społeczeństwu nie dostarczać tandety.



Nagroda Ministerstwa Wyzn. Rel. i Ośw. Publ.  
udzielona Gimnazjum K. Kulwiecia  
za wybitny udział w zawodach gimnastycznych 31/V 1924 r. w Warsz.

3) Komisja egzaminacyjna lepiej poznała wiedzę i dojrzałość maturzystów, niż zespół personelu nauczycielskiego w ciągu roku szkolnego.

Oświadczając się z całą gotowością do korzystania z konkretnych uwag, jakie co do p. 1. delegaci ministerjalni o stanie nauczania w szkole R. G. O. poczynią, ze swej strony poczuwam się do obowiązku przedstawić Ministerstwu następujące swe spostrzeżenia i dezyderaty, które być może rzuca nieco światła na 2(b) i 3 (c) punkty — a zwłaszcza na zagadnienie ostatnie.



1. Młodzież, która w ciągu lat 3—4 przeszła w życiu swem nie-dające się opisać katusze tułaczki poza krajem, a po powrocie do kraju zmuszona była uczyć się przeważnie w ciężkim niedostatku materialnym, zasługuje na współczucie, pomoc i możliwe ułatwienia. Jej doświadczenie życiowe, osiągnięte w borykaniu się z trudnościami, równoważy stwierdzone braki w jej wiedzy naukowej.

Do nadziei na względy takie upoważnia sam ten punkt regulaminu egzaminów dojrzałości, który głosi: „Komisja egzaminacyjna powinna zwrócić uwagę na poziom wykształcenia, osiągnięty przez abiturjenta, na jego wyrobienie umysłowe i stopień rozwoju, nie zaś na sumę zdobytych wiadomości”.

2. Warunki, w jakich egzaminy maturalne odbywać się mogą wogóle, a odbywały się w szkole naszej w szczególności, stwarzają taki stan depresji psychicznej i rozstroju nerwowego, że młodzież nawet zupełnie panująca nad obowiązkowym materiałem naukowym, często nie była w stanie swojej wiedzy i swego rozwoju umysłowego ujawnić, dowodem czego być może:

- a) odmówienie matury 9 uczniom dobrym,
- b) 4 wypadki stwierdzonego podczas egzaminów rozstroju, połączonego z zaburzeniami sercowymi i żołądkowymi (uczniowie: A. Brenneisen, A. Brzozowski, W. Bronowski i T. Grabowski),
- c) 3 wypadki zupełnego cofnięcia się od egzaminów „ze strachu” — uczniów, którzy mieli w szkole opinię b. starannych i pilnych: W. Milbrat, S. Tomaszewski i B. Buczyński.

Lekarz szkolny, dr. Wł. Kociatkiewicz, który obecny był na jednej z Komisji egzaminacyjnych, posiada obfity materiał spostrzeżeń, potwierdzających stan rozstroju nerwowego egzaminowanych uczniów.

3. Pragnąc uzyskać miarodajne wskazówki co do obowiązujących obecnie programów naukowych w krajowych szkołach średnich — zwracałem się o nie do Ministerstwa Oświaty jeszcze w sierpniu r. 1918, i otrzymałem wyjaśnienie, że szczegółowe programy są przygotowywane — o ogólnym zaś zakresie wymagań ministerjalnych poinformować się można z wydrukowanego już programu egzaminacyjnego dla eksternów.

Ponieważ program ten okazał się zbyt ogólnikowym, uprosiłem wizytatora ministerjalnego p. J. Michalskiego, aby był obecny na posiedzeniu Rady Pedagogicznej, która program dla szkoły R. G. O. miała ustalić.

Na posiedzeniu tem p. Wizytator zakomunikował Radzie o poglądzie Ministerstwa na przeładowanie programów dotychczasowych i w jego obecności i przy bezpośrednim udziale ustalony został zakres obowiązujących dla szkoły norm programowych; dążył on do uniknięcia stwierdzonego przeładowania i do uwzględnienia nienormalnego przygotowania, z jakim młodzież do Szkoły R. G. O., jako reemigracyjnej, została przyjęta.

4. Zadania egzaminacyjne, dane maturzystom (zwłaszcza oddziału realnego) do rozwiązania z matematyki piśmiennie, oraz ustne pytania z tego przedmiotu wykraczały poza zakres programu, wykonanego w r. b. w Szkole R. G. O., a zameldowanego Ministerstwu w odezwie mojej z dn. 19 kwietnia r. b.



Nieuwzględnienie tego mego zastrzeżenia tłumaczy b. nieudolne rozwiązanie zadań matematycznych i zrodziło przeświadczenie wśród młodzieży, że Komisja egzaminacyjna żadnego uwzględnienia dla wyjątkowej sytuacji reemigrantów czynić nie będzie, co bardzo przygnębiająco na jej stan psychiczny wpłynęło.

5. Regulaminowy przepis, aby Komisja stawianymi uczniowi pytaniami stwierdzała wyrobienie umysłowe i stopień jej rozwoju, nie zaś erudycji, ujawnianej z pamięci, w zasadzie zmierzający do złagodzenia najbardziej ostrych objawów techniki egzaminatorskiej, — w praktyce staje się w najlepszym razie martwą literą, ponieważ:

- a) bardzo niewielu egzaminatorów tak formuje swe pytania, żeby być w zgodzie z tym przepisem: zmierzają one przeważnie do takich szczegółów, jak daty chronologiczne, nazwiska, tytuły dzieł, lub poszczególne formuły matematyczne lub prawidła gramatyczne.
- b) Nieliczni egzaminatorowie, którzy podjęli trud przygotować do egzaminu szereg pytań ogólnych, niekiedy tak te pytania formułują, że inni członkowie Komisji nie mogą zorientować się — o co właściwie pytającemu chodzi.

Jakiej więc odpowiedzi spodziewać się można po uczniu zdenerwowanym i odnoszącym słusznie nieraz wrażenie, że w takim ogólnikowym pytaniu tkwi jakaś zastawiona nań pułapka?

To też dialogi, prowadzone pomiędzy egzaminowanym i egzaminatorem nabierają niekiedy właściwości rozwiązywania zagadek.

W tych warunkach egzaminy nie mogą osiągnąć swego celu — nie dają pojęcia ani o ogólnym rozwoju umysłowym ucznia, ani nie wykazują jego wiedzy, są natomiast sprawdzianem wytrzymałości nerwowej egzaminowanego, jego przytomności umysłu i pewności siebie. Kto tych zalet podczas egzaminu nie zachował — otrzymać może swoją lub nawet pałkę (przy szerszym rozmachu egzaminatora, idącym często w parze z ciasnotą zawodowego specjalisty).

6. Formalna strona dokonywanych egzaminów działa onieśmielająco, a niekiedy wręcz przygnębiająco na egzaminowaną młodzież:

- a) już sama ta okoliczność, że nieobyty z publicznymi występami młodzieniec pojedynczo staje wobec zbiorowego grona specjalistów, wobec 8 lub 10 par wpatrzonych w niego oczu, stwarza dla egzaminowanego wysoce krępującą, onieśmielającą sytuację,
- b) poważny, chłodny nastrój, wiejący od stołu, za którym niby grono sędziowskie wobec oskarżonego, zasiedli nauczyciele obcy i swoi, z którymi łączą ucznia niezawsze różowe wspomnienia, przyspiesza bicie serca prawie u każdego, wpuszczonego do sali, maturzysty.

7. Praktykowany obecnie sposób egzaminowania maturzysty w ciągu  $1\frac{1}{2}$ —2 godzin z wszystkich przedmiotów pozostaje w rażącej sprzeczności z faktem, że sprawność mózgowa staje się tem słabsza, a znużenie większe, im do bardziej różnorodnych wysiłków myślowych w ciągu danego okresu czasu jesteśmy zmuszeni.

Każdy z ludzi dorosłych, z pracą umysłową obyty, doskonale sobie z tego zdaje sprawę.



Szkodliwość takiego wielokrotnie w ciągu krótkiego czasu zmieniającego się „nastawiania się” na coraz inny kamerton naukowy dla młodego mózgu uczniowskiego uznało i samo Ministerstwo, potępiając je w swym „programie naukowym szkoły średniej” (ob. str. 95), a tymczasem tak doniosły akt w życiu młodzieńca, jakim jest egzamin maturalny, zupełnie się z tą okolicznością nie liczy.

8. Sposób formułowania pytań, stosowany przez niektórych nauczycieli, nie tylko nie liczy się z powyższem wskazaniem regulaminem (ob. p. 4), lecz niekiedy staje w rażącej sprzeczności z zasadniczym zadaniem egzaminu: z zadawanych uczniom pytań odnosi się niekiedy wrażenie, że zmierzają one nietylko do pozytywnego stwierdzenia, co uczeń umie, ile do wykazania erudycji egzaminatora.

9. Jakiś łaskawszy, cieplejszy ton w zwracaniu się do ucznia, mający na celu złagodzenie jego napięcia nerwowego, jest zjawiskiem na egzaminie tak rzadkiem, że stanowi zwykle osobliwy epizod w kronice nużącego posiedzenia Komisji; notomiast zdarzają się dość często przebłyki zadowolenia i nawet nieukrywanego dobrego humoru ze strony egzaminatora, a nawet przewodniczącego Komisji, w razie niefortunnej odpowiedzi ucznia.

Można sobie wyobrazić, co się wtedy dzieje w duszy egzaminowanego, i jak to usposabia go do dalszych przytomnych odpowiedzi.

10. Brak współczucia dla egzaminowanego i niedość subtelne traktowanie całej sytuacji egzaminacyjnej ze strony przewodniczącego Komisji doprowadza do takiego wręcz niedopuszczalnego zjawiska, jak rozpatrywanie pracy piśmiennej ucznia, stojącego tuż przed stołem egzaminatorskim podczas egzaminu ustnego i czynienia o tej pracy takich uwag (półgłosem), które wywołują nieskrępowany śmiech najbliższych sąsiadów przewodniczącego.

Tego rodzaju humorystyczne urozmaicanie sobie posiedzenia egzaminacyjnego kosztem egzaminowanego winno być wręcz wykluczone.

11. Regulamin egzaminu dojrzałości przyznaje dość szeroką kompetencję Komisji egzaminacyjnej, dając jej znaczną swobodę kwalifikowania uczniów do matury „na podstawie stopni rocznych, ocen wypracowań egzaminacyjnych, ocen, otrzymanych przez ucznia podczas egzaminu ustnego, a przede wszystkim opinii ogólnej o dojrzałości i rozwoju umysłowym kandydata, powziętej podczas egzaminu ustnego”.

W praktyce jednak swoboda ta „Komisji”, jako ciała zbiorowego była niekiedy krępowana przez delegata, który, nie odwołując się do opinii Komisji, autokratycznie wyprowadzał decydujący stopień egzaminacyjny i dopiero stanowczy protest ze strony energiczniejszych członków Komisji skłaniał delegata do ustalania stopni drogą głosowania. Przeważnie zaś stopnie z egzaminów ustalone są nie przez całą Komisję, lecz przez przewodniczącego i egzaminatora (wbrew § 38).

12. Pod względem kwalifikacji naukowych cały personel pedagogiczny klas ósmych w szkole R. G. O. składa się z ludzi posiadających dyplomy uniwersyteckie (z wyjątkiem nauczycieli gimnastyki i śpiewów), oraz wykazać się może przeciętnie 8—10-letnią praktyką pedagogiczną.



13. Stopnie wogóle, a dawane egzaminowanym, szczególnie powinny mieć jeden tylko cel na widoku: sprawiedliwą, sumienną ocenę (oczywiście subiektywną, bo do obiektywnej dotychczas drogi nie znaleziono) odpowiedzi egzaminowanego.



Nagroda wędrowna 21 pułku piechoty  
dla zwycięskiego oddziału Gimnazjum  
K. Kulwiecia przyznana 17/X 1926 r.

W rażącej sprzeczności z celem tym pozostaje zwyczaj niektórych egzaminatorów stosowania stopni jako antidotum na stopnie innych recenzentów.

Metodę taką szeroko stosował np. jeden z delegatów ministerjalnych, głosząc ją jawnie na posiedzeniu Komisji, której przewodniczył



i stwierdzając to piśmiennie na pracach uczniowskich (ob. np. prace egzaminacyjne piśmienne z jęz. polskiego uczniów: Sopoćki, T. Dąbrowskiego, I. Snackiego, Fedosiewicza, Łuczyńskiego, Michalskiego).

Łatwo zrozumieć, na jakie bezdroża doprowadzić może tego rodzaju licytacja in plus lub in minus w razie rozbieżności zdań co do stopnia w Komisji.

14. Znaczna ilość abiturjentów Szkoły R. G. O. miała możność kształcić się w ubiegłym roku dzięki nadzwyczajnym wysiłkom własnym (praca własna na swe utrzymanie), bądź zużywając na cel ten ostatni grosz rodziców lub opiekunów, uratowany przed nawałą bolszewicką na Kresy Wschodnie — byle tylko dokończyć swe wykształcenie średnie, zagrożone kilkoletnią przerwą.

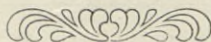
Odmówienie im obecnie matur jest równoznaczne z zupełnem przerywaniem ich dalszej nauki.

15. Gdyby nie to, że całą instytucję egzaminu maturalnego w tej postaci, jak on odbywany bywa obecnie, uważam za beznadziejny cudzoziemski przeżytek, rozmijający się często ze swym celem, a nie — raz wręcz szkodliwy, to uważałbym za konieczne obowiązujący obecnie regulamin egzaminu dojrzałości uzupełnić szczegółową instrukcją, któraby ujęła w ściślejsze normy cały tryb postępowania egzaminatorów i przewodniczących Komisji egzaminacyjnej, w tych zwłaszcza dziedzinach, które dotychczas pozostawione są taktowi osobistemu i subtelności duchowej ludzi, powoływanych do tak drażliwej i ważnej sprawy, jak decydowanie o dojrzałości naszej młodzieży.

Instrukcja taka, być może, złagodziłaby nieco najostrejsze niewłaściwości, występujące na egzaminach maturalnych.

Sądzę jednak, że nasza młoda organizacja państwowa zdobędzie się niebawem na krok śmielszy, niż leczenie instytucji obcej nam duchem i pochodzeniem, a beznadziejnie niedomagającej — że stworzy kontrolę nad szkolnictwem i nad uczącą się młodzieżą na właściwej, własnej drodze, a z obcych wzorów zachowa tylko — nieszkodliwe.

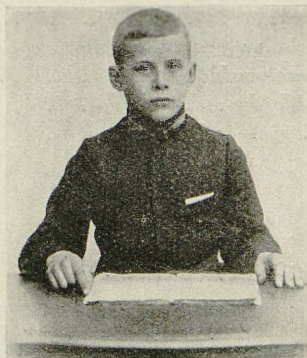
A lepiej będzie i dla narodu i dla państwa, jeżeli inicjatywa oczekiwanej reformy wyjdzie od specjalnie do tego powołanych czynników, a nie będzie wymuszona przez zdrową krytykę opinii publicznej, która niewątpliwie o dobro swych dzieci upomnieć się nie omieszką.





Modlitwa, układu ks. K. Lutosławskiego, odmawiana przez uczniów codziennie po nauce.

*Dzięki Ci Boże, za światłość tej nauki i pragnę, abym nią oświecony mógł Cię zawsze wielbić i wolę Twoją wypełniać na wieki przez Chrystusa Pana naszego. A duszom braci poległych w bitwach i na wygnaniu pokój wiekuisty racz dać, Panie!*



Przy książce.



## SPIS RZECZY

---

### I.

|                                                                                                 | Str. |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------|------|
| 1. Per aspera (wstęp) — <i>K. Kulwieć</i> . . . . .                                             | 5    |
| 2. Założenie szkoły i jej administracja w okresie moskiewskim — <i>J. Lutosławski</i> . . . . . | 11   |
| 3. Trzy lata w Moskwie — <i>P. Restorffowa</i> . . . . .                                        | 21   |
| 4. Pierwsze Boże Narodzenie na wygnaniu — <i>Z. Jętkiewiczowa</i> . . . . .                     | 27   |
| 5. Z przeżyć moskiewskich — <i>Z. Denter</i> . . . . .                                          | 29   |
| 6. Szkoła Polska na wygnaniu (wspomnienia ucznia) — <i>M. Siewierski</i> . . . . .              | 33   |

### II.

|                                                                                                         |    |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| 7. Kilka słów o wychowaniu i wychowawstwie w szkole im. Św. Kazimierza — <i>W. Topoliński</i> . . . . . | 38 |
| 8. Udział uczniów gimnazjum Św. Kazimierza w wojnie 1920 r. — <i>Cz. Cesarz</i> . . . . .               | 46 |
| 9. Drużyny harcerskie gimnazjum Św. Kazimierza — <i>S. Peszyński</i> . . . . .                          | 59 |
| 10. Wycieczki — <i>Al. Janowski</i> . . . . .                                                           | 63 |
| 11. Wrażenia z wycieczki szkolnej — <i>J. Domański</i> . . . . .                                        | 66 |
| 12. Samopomoc — <i>I. Piszczatowski</i> . . . . .                                                       | 75 |
| 13. Byli wychowawcy — <i>J. Wejtko</i> . . . . .                                                        | 79 |
| 14. Koło Opieki Rodzicielskiej — <i>M. Pajer</i> . . . . .                                              | 82 |

### III.

|                                      |    |
|--------------------------------------|----|
| 15. Personel nauczycielski . . . . . | 86 |
| 16. Lista maturzystów . . . . .      | 88 |

### IV.

|                                                                                                       |     |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| 17. Życiorysy zmarłych profesorów . . . . .                                                           | 95  |
| 18. Życiorysy poległych uczniów . . . . .                                                             | 108 |
| 19. Z dziejów szkoły im. Św. Kazimierza — <i>Z. Jętkiewiczowa</i> . . . . .                           | 125 |
| 20. Protokół z plenarnego zebrania Rady rodziców przy szkole C. K. O. z 15 marca 1918 r. . . . .      | 129 |
| 21. Praca wychowawcza nad przygotowaniem młodzieży do życia społecznego — <i>K. Kulwieć</i> . . . . . | 134 |
| 22. Memorjał w sprawie egzaminów matur. złożony p. Ministrowi W. R. i O. P. . . . .                   | 143 |







33 754

2

3590 / Kwiecień